



ŁUKASZ JAROSZ



MORTEM

NOVAE RES.

Łukasz Jarosz

MORTEM



NOVAE RES

Dla moich najbliższych: Mamy, Taty i Brata

Wszystko jest iluzją.
Andrzej Sapkowski, Sezon burz

SPIS TREŚCI

| | | | | | | | | | | | |
|-----------|-----------|-----------|-----------|-----------|-----------|-----------|-----------|-----------|-----------|-----------|-----------|
| <u>1</u> | <u>2</u> | <u>3</u> | <u>4</u> | <u>5</u> | <u>6</u> | <u>7</u> | <u>8</u> | <u>9</u> | <u>10</u> | <u>11</u> | <u>12</u> |
| <u>13</u> | <u>14</u> | <u>15</u> | <u>16</u> | <u>17</u> | <u>18</u> | <u>19</u> | <u>20</u> | <u>21</u> | <u>22</u> | <u>23</u> | |
| <u>24</u> | <u>25</u> | <u>26</u> | <u>27</u> | <u>28</u> | <u>29</u> | <u>30</u> | <u>31</u> | <u>32</u> | <u>33</u> | <u>34</u> | |
| <u>35</u> | <u>36</u> | <u>37</u> | <u>38</u> | <u>39</u> | <u>40</u> | <u>41</u> | <u>42</u> | <u>43</u> | <u>44</u> | <u>45</u> | |
| <u>46</u> | <u>47</u> | <u>48</u> | <u>49</u> | <u>50</u> | <u>51</u> | <u>52</u> | <u>53</u> | <u>54</u> | <u>55</u> | <u>56</u> | |
| <u>57</u> | <u>58</u> | <u>59</u> | <u>60</u> | <u>61</u> | <u>62</u> | <u>63</u> | <u>64</u> | | | | |

Za oknem padał deszcz.

Serce łomotało mu jak oszalałe, przekrwione oczy wirowały po całej swojej orbicie, a w mózgu rozpoczęła się faza. Fioletowo-pomarańczowe promienie gnały po suficie, by u spojenia ze ścianą zmienić się w triumfalne konfetti. Stan euforii, psychiczno-fizycznego uniesienia, ogarniał go od stóp do głowy. Unosił się w powietrzu, które pachniało niebem. Nieskazitelnym, rajskim oparem miłości. Szum radości przyjemnie łechtął jego cały aparat słuchowy. Gdy zawisł pionowo w pokoju, podtrzymywany przez przechodzące ludzki orgazm ptaki, pojawiły się kolejne wizje. Absurdalne narkotyczne obrazy.

Najmocniejszy trash metal i erekcja. Klasyczne brzmienie, surrealistyczne malowidła nieznanymi artystów i zapach silikonu. Melodyjka z przedpotopowej gry wideo, czucie genialnie wielkich piersi w dłoni i widok kruczoczarnych loków. Róża, fizyczny ból i muzyka kojąca.

Niesamowita mieszanka. Wrażenia błogie i piekielne. Lecz wszystkie tak realne w swojej niemożliwości, że wywołujące iluzję bycia czymś znacznie innym niż kilkudziesięcioma kilogramami mięsa, wielką grupą atomów, czy czym tam jesteśmy.

Trwało to jakiś czas, choć oczywiście za krótko.

Powoli tracił boskie uosobienie i wracał do postaci zwykłego człowieka. Ale czy na pewno?

Dowlekł się do łazienki i przepłukał twarz zimną wodą. Kilka razy. Gdy stamtąd wyszedł, stanął na chwilę w przedpokoju. Wbił się w ciszę jak drapieżnik wkłuwający się w swoje ofiary, dlatego że jednocześnie jej nienawidził i uwielbiał ją.

W salonie, albo raczej zatęchłym, zakurczonym pomieszczeniu ze stertą gratów, spojrzął na niski, szklany stolik. Znajdująca się na nim saszetka z płynną heroiną była kompletnie opróżniona, równie puste leżały wszystkie

strzykawki. Co prawda miał jeszcze butelkę dość mocnego syropu, po spożyciu którego miałby całkiem niezłe doznania, ale z rana musiał iść do roboty.

Jakiej roboty, przecież jutro już donikąd nie pójdziesz.

Wziął kłamekę z wieży książek. Czarną, połyskliwą berettę, z długą lufą jak na kaliber dziewięć milimetrów. Błyskawicznie ją przeładował i przyłożył do skroni.

Taa, potylicca. Byli już tacy, co przeżyli po takim „samobójstwie”. Dawaj w rdzeń, będziesz pewny.

Usiadł na kanapie i wsadził broń do ust. Zaczął łąkać, niewyraźnie przez zatkane usta. Łzy płynęły mu z oczu równo z myślami.

Nie spotkasz tam ani Moniki, ani Oliwki. Przywitaj ciemność.

Kiedy jego wskazujący palec z oporem zaczął naciskać na cyngiel, ktoś się odezwał:

– Chyba masz coś do zrobienia – to był chłodny głos. Dochodził z podartego skórzanego fotela, z rogu pokoju.

Zdziwiony, zaniechał próby odebrania sobie życia i spojrzał na mężczyznę, który mu przerwał. Miał on niezbyt wyraźną twarz, chyba szare albo niebieskie oczy. Sam nie wiedział.

– Od jakiegoś czasu nie rozmawiam ze swoimi urojeniami – odparł Niewyraźnemu, wciąż trzymając berettę, ale już z dala od własnego oblicza.

– Problem z halucynacjami jest taki, że nie wiesz, czy to omam, czy rzeczywistość.

– Z odległości niecałych trzech metrów ludzie raczej mają widoczne twarze. Nawet jak oglądający je ma dwa promile we krwi.

– Nie masz dwóch promili. – Niewyraźny nagle stał się wyjątkowo materialny i prawdziwy.

– Gdybyś istniał, nie wiedziałbyś o tym.

– No i mnie masz – nieznany kompan rzucił z uśmiechem. Lodowatym uśmiechem. – Co nie zmienia faktu, że czeka na ciebie zadanie do wykonania.

– Niby jakie? – zacisnął broń w dłoni.

– Złapać mnie. – Niewyraźny, już w pełni wyglądu, nabrał mistycznego wyrazu twarzy.

– Przecież tutaj jesteś. I nigdzie się nie wybierasz, ponieważ lubisz tkwić w głowie świra – odpowiedział zadziornie.

Tym razem nie było gestu rozbawienia ani tajemniczej miny. Teraz Niewyraźny pokrył złością każde włókno na swojej bladej facjacie i znów się odezwał:

– Musisz mnie schwytać! – rzekł ekspresyjnie, półkrzykiem, zaciskając zęby pod koniec zdania.

– Bo? – spytał obojętnie, ale tak jakby rzucał rozmówcy wyzwanie.

– Bo jestem Przystojniakiem. Albo Krwawym Rzeźnikiem. Jak wolisz. I wiesz co? Mam ochotę na trzecią ofiarę... Albo kolejną, gdyż może te dwie dupeczki nie były moimi pierwszymi? – Całą tę wypowiedź przedstawił bez żadnej mowy ciała.

Zamknął powieki, by nie oglądać nowego kolegi. Upuścił berettę na podłogę. Otworzył szufladę, gdzie mieściło się premierowe wspomnienie związane z mordercą, za którego podaje się ten, z którym przed chwilą rozmawiał. Albo tylko mu się wydawało i gadał sam do pustego fotela.

Nieważne, bo był już całkiem gdzie indziej.

2

Komendant długo mieszał kawę z mlekiem, czynność tę powtórzył identycznie po dodaniu dwóch łyżeczek cukru. Był całkiem reprezentatywnym mężczyzną – wysokim, w miarę smukłym i jak na swój wiek nieźle się trzymał. Choć to była zasługa jego żony, która dbała o to, by chodził do fryzjera, regularnie się golił oraz miał czysty i równo uprasowany mundur.

– No to już wiecie, że sprawa jest priorytetowa? – powiedział do Ilony Wolnickiej, naczelniczki wydziału zabójstw.

Wolnicka nigdy nie pracowała w terenie, ale miała plecy, które posadziły ją na stołek bossa jednego z najważniejszych wydziałów. Była dojrzałą, zadbaną kobietą, z soczystym tyłkiem i błękitnoszarymi oczami.

– Tak. Oczywiście – odparła przełożonemu, czyli szefowi wszystkich szefów.

– Kto zajmuje się tą sprawą? – spytał komendant, głupio oglądając się po swoim ciemnozielonym gabinecie, z szykownymi obrazami, miękkim dywanem i przyjemnym zapachem, co nijak nie współgrało z godłem Polski, które wisiało nad jego biurkiem.

– Wszyscy.

– To dobrze – wypił łyk kawy, po czym powoli odłożył filiżankę na stół. – A kto był pierwszy na miejscu?

– Czemu pan pyta? – Wolnicka lekko się zdziwiła.

– No tak, z ciekawości. Poza tym ten, kto jedzie na zdarzenie, przeważnie najbardziej angażuje się w znalezienie sprawcy.

– Ma pan rację. – Choć Wolnicka przecież nic nie wiedziała o tym, bo nigdy nie jeździła na miejsca znalezienia trupów.

– Więc...?

– Para oficerów, którzy współpracują ze sobą już od jakiegoś czasu i mają solidną efektywność. Komisarz Edyta Nornicka i podkomisarz

Łukasz Kowalczyk.

– Kowalczyk? – Komendant zamyślił się. – Nie kojarzę.

– On raczej nie wychodzi przed szereg.

– Ale jest dobry?

– Tak.

– Dlaczego? – Szef policji nie mógł poskromić ciekawości.

– Proszę?

– No, dlaczego jest dobrym gliną? Bo na przykład Brzytwa, czyli Edyta, bo tak na nią mówią, nie? – spojrzał na szybkie potwierdzające skinienie głowy Wolnickiej – była na kursie w Quantico i na stażu w ekipie śledczej żandarmerii paryskiej, więc porządnie poznała temat. A podkomisarz, który jej partneruje? Dlaczego jest wprawny jako operacyjny?

Ilona Wolnicka zrobiła krótką pauzę w dyskusji, po czym szczerze odparła:

– Bo jest trochę nienormalny, przez co sprawniej rozumie pomyłone umysły.

Lecz to stwierdzenie i tak było zbyt łagodne.

Łukasz Kowalczyk był po prostu inny.

3

To wspomnienie było makabryczne.

Łukasz wiedział jednak, że jego główny punkt to esencja naszego marnego istnienia.

Przybył do tej obskurnej, bezbarwnej kamienicy, kiedy na miejscu ulokowała się już ekipa techników, na schodach minął się z Ptakiem, znanym mu rudawym patologiem, a zaraz za wejściem do mieszkania numer cztery paliła papierosa Edyta.

Była młoda, chociaż biła z niej dojrzałość oraz niebanalna uroda i szeroko zakresowa inteligencja. W fabryce^[1] była jedynym sprzymierzeńcem Łukasza.

– Przecież rzuciłaś – beznamiętnie powiedział na powitanie. Rozmowy z ludźmi... jakoś je trzeba zaczynać. Nigdy nie wiedział w jaki sposób.

Edyta spojrzała na niego szaleńczymi ślepiami, innymi niż zwykle, bo przecież jej oczy zawsze nienachlanie błyszczały pięknem i spokojem.

Zostawił ją, ominął szybko hol i dotarł do pokoju dziennego, skąd dochodziły szmery, odgłosy ostrożnych kroków i dźwięki migawki aparatu fotograficznego.

Na środku pomieszczenia leżały rozczłonkowane zwłoki nagiej, młodej kobiety z jasnorudymi włosami. Odkrojona, szerniała przez proces gnilny głowa, z wciąż przestraszoną twarzą. Niżej korpus, z piersiami-mandarynkami i nieznacznie wydętym brzuchem. Po obu stronach ręce, cięte równo z pachami. Dłonie niezbyt zadbane, paznokcie nieestetycznie pomalowane. Poniżej łona nogi, w miarę zgrabne. Na udach dało się jeszcze minimalnie dostrzec siniaki na zmienionej po śmierci skórze. W całym pokoju było pełno krwi, przez co metaliczny zapach przebijał fetor trupiego rozkładu. Nawet najbardziej przyzwyczajonemu do takich aromatów osobnikowi mogłoby zawirować w żołądku.

Technicy pracowali w ciszy, mieli nałożone na usta maski. Było duszno

ze względu na parny wieczór, więc wszyscy ciężko oddychali i zalewali się potem.

Łukasz długo patrzył na tę poćwiartowaną dziewczynę, nie odzywając się ani słowem. Przyglądał się jej uważnie, po czym zbliżył się i przez rękawiczki przejrzał części ciała. Po co pytać, dlaczego ktoś to zrobił? Przecież jest to wiadome – by odstąpić cierpień życia kolejnej zbłąkanej na tym świecie istotcie.

Po w miarę długich oględzinach wrócił z powrotem do Edyty. Była już bardziej opanowana, co nie znaczy, że miała swój naturalny wyraz twarzy.

– Olga Bonin, dwadzieścia trzy lata. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Brak monitoringu. Sąsiedzi przeważnie w wieku emerytalnym. Musi tutaj leżeć od jakiegoś czasu, bo mówią, że zapach nasilał się z dnia na dzień. W końcu nie wytrzymali i zadzwonili. Sądzę, że trzy, cztery doby, bo przy tej pogodzie ciało szybko gnije – wypowiedziała się Edyta. – Co masz?

– Niezbyt interesujący kwadrat^[2], w nieciekawej okolicy. Tandetna, świecąca kurtka i wysokie buty – wskazał palcem na elementy garderoby przy wieszaku – nierówno pomalowane paznokcie, starte zęby i słabo dostrzegalne siniaki na udach. Myślę, że to dziwka. Mam ucholkę^[3] wśród ulicznych, więc się do niej przejadę. Ekipa niech poszpera, może dowiemy się, gdzie chodziła, ewentualnie w jakim burdelu miała etat...

– Łukasz... miewałam już podobne zwłoki, ale nigdy nie były tak ostentacyjnie pozostawione. – Chwila przerwy. – Musimy złapać skurwysyna.

Prawie niedostrzegalnie kiwnął głową i zmrużył oczy, po czym wyszedł na klatkę schodową.

W tym miejscu urywa się ta prywatna retrospekcja.

^[1] Fabryka – komenda.

^[2] Kwadrat – mieszkanie.

^[3] Ucholka – informatorka.

4

Następnego dnia po tym, jak rozmawiał z mordercą, którego szukał, z samego poniedziałkowego rana niczym sumienny pracoholik pojechał do fabryki.

Szedł do pokoju, który dzielił z Edytą. Jak zawsze bez energii życiowej, jakby był obcym bytem wtłoczonym w to środowisko. Mijał oficerów i mundurowych. Skinął na przywitanie może jednej osobie, nie silił się na uprzejme pogaduszki z ludźmi, którzy go nawet nie chcieli poznać. Łukasz też nie chciał ich poznawać. Odrażali go. Jeden tym, że latał w pomiętej koszuli i nawet zapomniał z powrotem nałożyć ślubną obrączkę na palec. Druga przesadnym pietyzmem w doborze stroju, drogim makijażem i egzaltowanymi gestami. Jeszcze inny tym, że patrzył na niego jak na szmatę. Jakby był najgorszym ścierwem.

Może tak jest, ale pierdolę ten wasz popieprzony świat. Wszystkich was, zwierzęta, trzeba izolować. Robicie teatrzyk przez to, że „walczyacie” o prawdę, a sami jesteście przeżarci do kości kłamstwem, pychą, arogancją. Pasujecie do tej ziemi. Demony przy was to nic.

Przed wejściem do swojego pokoju spotkał jeszcze Wolnicką, która przypominała mu o wizycie u psychologa policyjnego. Jakbym o tym nie pamiętał. Pani naczelnik od dawna miała na niego ochotę, a on przez to traktował ją jeszcze bardziej obojętnie. Przynajmniej nie miał pod górkę z przełożoną, bo Wolnicka cały czas cicho liczyła, że Łukasz zerznie ją na jej biurku jak sukę.

Z Edytą było inaczej. To on złapał się na tym, że chciał ją zerznąć. Intrygowała go. Chciał jeszcze raz w życiu poczuć z najbliższej odległości bicie kobiecego serca. By zamknąć wtedy oczy i wyobrazić sobie, że to serce Moniki. Chyba pęknąłby z bólu.

– Hej! – Edyta rzuciła na powitanie, gdy wszedł do środka.

– Siemasz. – Znow wymuszony ton. Nie potrafił już rozmawiać

z ludźmi.

Minęło pięć bezsensownych minut, gdy znów się odezwała:

– Mamy kolejnego wytypowanego.

W związku z wczorajszą wizją wzmógł swoje zainteresowanie.

– Roman Schmidt – rzuciła mu teczkę z dokumentacją policyjną. – Były chirurg, przed laty był medykiem na Bałkanach, ten konflikt zrył mu beret. Po kilku latach wykryto, że eksperymentował na martwych kobietach i dzieciach w kostnicy w szpitalu, w którym pracował po powrocie do kraju. Ma kompletną wiedzę chirurgiczną. Odsiedział rok za bezczeszczenie zwłok.

Łukasz słuchał, przyglądając się dokumentacji.

– Dlaczego go wytypowano?

– Sześć miesięcy temu na mieście krążyła fama, że jakiś świr proponował dziwkom zapłatę za to, żeby mógł im wyciąć nerkę, kawałek wątroby, takie tam. Jest tam notatka od jakiegoś Polkowskiego – kiwnęła głową na papiery, w których grzebał Łukasz. – Informacja poszła od jego uchola.

– Coś się z tego urodziło?

– Jedna panienka gdzieś zniknęła niedługo po tym, jak kręcił się ten facet. Ktoś rozpoznał Schmidta, który rzekomo był tym typem, ale to wszystko było zbyt miałkie. Wezwano go, miał alibi i tak dalej. Ale treść w dokumentach została...

– A ta dziewczyna się znalazła?

– Nie – lodowato odparła Edyta.

– Może być. – Łukasz zamknął teczkę. – Sprawdźmy to.

Po chwili wyszli z tego niewielkiego pomieszczenia, w którym znajdowały się dwa pecety na złączonych biurkach, fotele, szafka na różne rzeczy (nie tylko akta), mały zestaw do przyrządzania kawy etc.

Roman Schmidt był zameldowany na spokojnej, mało ruchliwej ulicy. Mieszkał w równie onirycznym domu – przynajmniej tak wskazywała biała elewacja czy nadszarpnięte czasem ogrodzenie z siatki. Za jego parcelą znajdował się mały laszek.

– Po co zdolny chirurg pchał się na wojnę, jeszcze taką? – rzucił Łukasz, kiedy wychodzili z Edytą ze służbowego volkswagena.

– Posiadał uprawnienia lekarza wojskowego, nie wiem... – na szybko próbowała to wytłumaczyć.

Bramka na posesję Schmidta była otwarta. Lecz mimo przeciągłego dzwonienia czy upierdliwego pukania nikt nie otworzył im drzwi.

Synestezja Łukasza sprawiła, że odczuwał czającą się w zakamarkach tego domu ciemność.

Skierowali się do najbliższego budynku obok, gdzie od razu im otworzono. Kobieta przed sześćdziesiątką z pomarszczoną twarzą, farbowanymi włosami i opuchłymi kolanami.

– Słucham? – spytała na starcie.

– Dzień dobry. Policja. Komisarz Nornicka. – Edyta wyciągnęła legitymację i okazała ją kobiecie.

– Zofia Zatocka – przedstawiła się, po czym wygłodniałe spojrzała na Łukasza, aby i ten okazał identyfikator.

Podkomisarz z nieznaczną dezaprobatą wyjął szmatę^[1]. Zatocka dokładnie przyjrzała się treści dokumentu.

– Jak to, wydział zabójstw?!

– Proszę się nie denerwować. Badamy tylko pewne tropy...

– Jakie tropy? – Zatocka, coraz bardziej zdezorientowana, przerwała Edycie.

– Czy zna pani Romana Schmidta? – zapytał Łukasz.

– Tak, a co, zabito go?

– Nie.

– To on kogoś zamordował?!

– Jest ważnym świadkiem i musimy z nim porozmawiać – Łukasz uciął spekulacje kobiety, stosując blef.

Zatocka potwierdzenia prawdopodobności tych wyjaśnień szukała na twarzy Edyty. Gdy je znalazła, odparła:

– On chyba jakąś rentę pobiera czy coś.

– Kiedy możemy go zastać? – to Edyta.

– Nie wiem. Zwykle wieczorem wraca autobusem, tutaj jest przystanek.

– Kobieta wskazała na widoczną z tego punktu zatoczkę. – Ale co on robi, to nie wiem. U niego się nigdy nie pałą światła – rzuciła z dociekliwością w barwie głosu.

– Czyli pani go dobrze nie zna?

– Wiem tylko, że nie jest do końca normalny. Przecież w więzieniu był. Nawet trochę się go boję.

– Dlaczego? – rzekł Łukasz.

– Kiedyś w nocy dostrzegłam, no, jak nie mogłam zasnąć, że przyjeżdża do siebie samochodem.

– Swoim? Mówiła pani, że porusza się autobusem... – Edyta pragnęła doprecyzowania wiadomości.

– Tak, ale ma auto, takiego dużego vana, czy jak się to nazywa... Wjechał, zniknął za domem. A dlaczego on was interesuje, skoro jest tylko świadkiem? – Zatocka nabrała szczerzej podejrzliwości.

– To wszystko. Dziękujemy. Do widzenia. – Edyta błyskawicznie ucięła dyskusję.

Musieli czekać do wieczora.

Łukasz o piętnastej miał obowiązek spotkać się z psychologiem, co było elementem jego wewnętrznej resocjalizacji. Do tego czasu nie był zbyt zapracowany, więc ze swoim przyjacielem papierosem przeglądał wszystko, co do tej pory mieli na temat Przystojniaka vel Krwawego Rzeźnika. Tak nazwali zbiór akt, bo media jeszcze nie wiedziały o tych morderstwach, więc nie wymyślili innej wyszukanej nazwy. Komendant bardzo liczył na to, że zostanie tak aż do momentu schwytania zabójcy.

Wczorajsze odwiedziny nie były przypadkiem. Muszę tam zajrzeć.

Najpierw pierwsza ofiara – Olga Bonin. Fotografie z miejsca znalezienia denatki, analizy techników i raport z sekcji zwłok. Dobrze pamiętał słowa Ptaka:

– Oprócz minimalnej ilości alkoholu nie znalazłem żadnej podejrzanej substancji chemicznej. Nie odkryłem też śladów podania anestetyku^[2], a podjęte badania pozwalają mi przypuszczać, że... najprawdopodobniej była krojona na żywca – powiedział wtedy wiekowy rudzielec, w zielono-biało-stalowej sali do badań zmarłych w kostnicy. W pomieszczeniu chłodnym, spokojnym, fachowym.

Na te słowa obruszyła się nie tylko Edyta, ale i pomocnik laboratoryjny Ptaka, młody facet o aparycji klasycznego ćpuna.

– No ale jak to?! – zapytała wtedy oburzona i zniesmaczona Edyta.

– Zostawił wam tylko te ślady, które chciał – odpowiedział Ptak.

Musiał mieć jakąś, co najmniej, walizkę z narzędziami, od razu pomyślał Łukasz w tej oazie bez zmartwień, jaką według niego było prosektorium.

– Mocne łańcuchy albo twardą linę do skrępowania, solidny knebel albo taśmę, niezawodny sprzęt: jakąś piłkę mechaniczną, skalpel... Musiał

mieć na sobie czepek, ubranie ochronne, może substancję, która usunęła jego ślady biologiczne – chwilę później wymieniał na szybko Łukasz.

Ptak podsumował, mówiąc, że to było fachowe wykonanie, od A do Z. Perfekcja.

Śledztwo doprowadziło ich do faktu, że Olga spotykała się z nieznanym, przez nikogo niewidzianym facetem, którego nazywała Oskarem. Przystojniakiem Oskarem.

Chwila przerwy. Nowa paczka fajek i jedziemy dalej.

Druga ofiara, na razie ostatnia – Katarzyna Szymańska. Studentka, dwadzieścia dwa lata – ta z kolei kilka razy umówiła się z niezmiernym Tobiaszem. Osiedle bez monitoringu, w klocku^[3] również brak kamer. Zwłoki znalezione na środku salonu – pracowni magisterskiej. Częściowo oskalpowane, bez gałek ocznych, z podejrzanym gardłem.

Łukasz patrzył z enigmatyczną pasją na fotografie korpusu bez skóry, zamiast której widniała od razu tkanka tłuszczowa. Ten sam strach na twarzy, widoczny nawet mimo braku ślepi. Rozpuszczone blond włosy, delikatne, młodzieńcze łono, smukłe nogi.

Fachowo zebrany skalp w wannie. Dlaczego skurwiel nie zawiesił go od razu na wieszaku? Jak to było? Jak to w końcu wyglądało? Wciąż nie wiedzieli. Skitrał sprzęt na hawirze^[4] czy przemknął nocą do auta? Albo od razu go wziął z bryki, tłumacząc, że ma tam ważne papiery. Specyficzne dokumenty w samochodzie? W dużej walizce? Kto by w to uwierzył?

Dlaczego w ogóle przyjęli, że obie ofiary są jednego sprawcy? Bo miał bardzo podobne *modus operandi*, obie dziewczyny znalezione zostały w mieszkaniach, co prawda zamordowane w inny sposób, ale z identyczną precyzją i sadyzmem, w bliskim czasie, w każdym przypadku po interesującej znajomości z tajemniczym mężczyzną. Oskar, Tobiasz, przecież od razu wszyscy czuli, że to ten sam zabójca. Dwóch takich specjalistów-świrów praktycznie w tym samym czasie? Niemożliwe.

Jest niewidzialny i niesłyszalny. Kurwa! Non stop te same pytania. Te same wnioski. Łukasz spojrział na niezbyt kompletny profil potencjalnego mordercy. Mężczyzna po trzydziestce, atrakcyjny, sprawny fizycznie. Jest w pełni świadomy tego, co robi. I takie tam inne ogólniki. Dołączona do tego lapidarna opinia.

Od drugiego zabójstwa minęło już więcej czasu niż pomiędzy

znalezieniem Olgi Bonin a Katarzyny Szymańskiej. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że ciała nie odkryto od razu.

Co, kutasie, chcesz zarznąć kolejną dupeczkę?

To kręcenie się w kółko zajęło Łukaszowi dzień aż do przymusowej wizyty u terapeuty.

Wchodząc do gabinetu doktor Anety Garlickiej, często wspominał pierwszą wizytę u niej, która była kwintesencją tej „terapii”.

[1] Szmata – legitymacja policyjna.

[2] Anestetyk – substancja powodująca rozluźnienie mięśni, utratę świadomości, nieodczuwanie bólu. Podanie jej ofierze powoduje, iż na sekcji zwłok lekarz wykryje, że była ona kaleczona, kiedy jeszcze żyła, podczas gdy w rzeczywistości zostało to przez napastnika upozorowane.

[3] Klocek – duży blok mieszkalny.

[4] Hawira – mieszkanie.

5

– Iloraz inteligencji bliski stu siedemdziesięciu, biegle znany język hiszpański i francuski, w stopniu komunikatywnym angielski i chiński – Aneta Garlicka wyraźnie podkreśliła słowo *chiński*. – Co pan tutaj robi?

Pani psycholog nie była przesadnie ładna, ale naturalna uroda dodawała jej wdzięku. Miała na sobie wyszukane, nowoczesne okulary, co świadczyło, że chciała być postrzegana jako osoba wyjątkowa. Łukasz szybko ją przeczytał. Chciała być oryginalna, ale nie była. Tak samo jak tajemnicza – obrączka na palcu wskazywała na męża, niewielki zwał tłuszczu na brzuchu za bluzką – na dziecko, może nawet dwoje, zważywszy na jej wiek. Ubrania z ekologicznych materiałów i ledwie wyczuwalny przez zapach drażetek miętowych aromat wegańskiego żarcia – to, dodając jej zawód i brak znaków religijnych na sobie i w gabinecie, przypuszczalnie daje poglądy lewicowo-liberalne. Pośród słów zakamuflowany wiejski akcent, nerwowy tik polegający na przekładaniu nogi na nogę, niewielka blizna na łokciu, pewnie ze złamania, dwie plomby w zębach. A w oczach błysk – uznawała go za zajmującego mężczyznę, stąd ten niby-komplement na początek.

Nie odzywał się. Chciał ją poinformować, że czyta z niej jak z otwartej książki i przekazać treść tej powieści, ale zrezygnował z tego. Już dawno odpuścił. Niezaprzeczalnie rozstał się z ludźmi.

– To pana genialny koncept na te spotkania? – spytała znów Garlicka. – Milczenie?

– Podobno jest złotem – rzucił Łukasz. – Ja muszę mieć określoną ilość godzin w papierach, ty też musisz wykonać swoje zadania. Tak, przeszedłem od razu na ty, bo to przecież następny punkt, nie?

– Dobrze. – Starła się nie zmieniać fachowego wyrazu twarzy. – Trafieś tutaj za pobicie oficera policji z twojego wydziału.

Łukasz szybko przypomniał sobie ten incydent. Gruby, niedoinformowany i niedouczony buc, zwany w firmie^[1] Kozłem,

przychodzi do jego pokoju, gdzie siedzi z Edytą. Wszystko idzie nieźle do momentu, aż Kozioł parska, zwracając się bezpośrednio do niego:

– Ty, Nietzsche – wszyscy w fabryce go tak nazywali – żonca to nie przeszkadza, że ty tak z tymi kurwami konszachtujesz?

Łukasz wstaje, bez słowa zbliża się do Kozła i wali go z całej siły wyprostowaną pięścią w twarz. Dzięki idealnej technice uderzenia cała moc włożona w strzał kondensuje się na gębie tłuściocha, a ten upada. Łukasz błyskawicznie chwyta go za nadgarstek i w mgnieniu oka wykręca mu rękę. Potem spokojnie mówi, trzymając i sprawiając regulowany ból Kozłowi:

– Powiedz to jeszcze raz.

Kiedy powrócił ze wspomnienia tej sytuacji, przytaknął Garlickiej:

– Tak.

– Dlaczego został pan policjantem? – spytała pani psycholog. Wybieg zwany zmianą tematu, prosty i daremny trick.

– Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział piąty, werset szósty – odpowiedział.

– *Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni* – Garlicka wyrecytowała z pamięci. – Jesteś wierzący?

– Wyznam boginię Melitele.

Psycholog delikatnie uśmiechnęła się pod nosem.

– Więc skąd Pismo Święte?

– Lubię tę książkę. Koran też jest niezły.

– A jakie masz poglądy?

– Zawsze byłem za Partią Mniejszości Semickiej.

– Cały czas sobie ze mną pogrywasz...

– Nie, przecież wszyscy jesteśmy Żydami. Wiesz, ile ich tutaj było przed wojną? Jeśli wierzysz, że nie ma w tobie ani grama krwi Avrama czy innej Rachel, to gratuluję naiwności.

Garlicka przewróciła oczami, by wyrazić dezaprobatę.

– Przecież musimy jakoś zapełnić tę godzinę, a ty musisz powiedzieć, że gadam i współpracuję. A to, co mówię, już chyba nie ma znaczenia?

– Skoro tego pragniesz, proszę bardzo. Mów, co chcesz. To twoja godzina. Może jakiś inny cytat...? – polubownym tonem Garlicka starała się złapać z nim kontakt.

– Księga Wyjścia, dwadzieścia dwa, dziewiętnaście. – Wyciągnął papierosy i zapalił bez pytania o zgodę; poczęstował ją, ona odmówiła. – *Kto*

by się łączył z bydłem, śmiercią niechaj umrze.

I tak za każdym razem. Łukasz coś mówił, ona go słuchała. Nie otworzył się jednak nigdy. Nie przekazał, co tak naprawdę w nim tkwi.

„Terapia”.

[1] Firma – komenda, także: środowisko policyjne.

6

Kiedy bardziej interesowało go już spotkanie z Romanem Schmidtem, akurat wtedy Aneta Garlicka rzuciła, że w końcu musi się dowiedzieć, dlaczego spacyfikował Kozła. Nie miał innego wyjścia, teraz musiał już powiedzieć. Oczywiście nie przyznał się, że Kozioł niejako znieważył Monikę, tylko nazmyślał, że ruszyło go obrażenie znajomej prostytutki Dagmary, z którą się przyjaźnił.

To było banalne. Powiedział wystarczająco przekonująco, by Garlicka mu uwierzyła. Jeszcze tylko kilka sesji i będzie miał spokój. Chyba że znowu komuś strzeli w łeb. W takim przypadku nagana i obostrzenia finansowe mogą nie wystarczyć, nawet mimo przychylności Wolnickiej.

Co zrobisz, jak cię wypieprzą z fabryki?

Wieczór nadszedł prędko, za oknem trochę popadało, ale gdy jechali znów do Schmidta, było rześko i przyjemnie.

– Tomczyk powiedział, że nie da nakazu, bo strzał z bębna^[1] to za mało – powiedziała prowadząca Edyta. Jechała perfekcyjnie, z tempem, bezpiecznie i pewnie.

– Pogadamy, zobaczymy. Jak będzie coś kręcił, to zarzucimy mu oko – odparł Łukasz.

– Posprawdzali DNA spod paznokci Szymańskiej w Interpolu. Nic.

– Skurwiel miał więcej problemów niż z pierwszą. Do czasu, aż jej nie obezwładnił.

– Śni mi się po nocach, że widzę, jak ktoś na żywca zdziera z niej tę skórę – odparła z wrażliwością i odrazą zarazem, pokonując skomplikowane skrzyżowanie.

– Mnie też – odrzekł Łukasz. Było to prawdą, że dwa razy miał koszmar z Katarzyną Szymańską w roli głównej.

– Jak tam z Garlicką? – zagadnęła go jakiś czas później, kiedy byli już blisko ulicy, na której mieszkał figurant^[2] z policyjnej bazy danych.

– Nie najgorzej. Jeszcze kilka wizyt i będę miał spokój.

– Kozioł ma kumpla w Abwerze^[3], powiedział mi ostatnio, że zobaczy jedno twoje potknięcie i nie ma cię w fabryce. Nie lubię dupka – zatrzymała się na przejściu dla pieszych, przepuszczając starowinkę z chodzikiem. – Sama chętnie bym go kopnęła w jaja.

Łukasz słuchał koleżanki, ale sprawiał wrażenie, jakby bardziej interesowało go otoczenie zza szyby pasażera.

– Ty wiesz, że on kiedyś się do mnie dobierał? Obłudny fiut ma żonę i troje dzieci...

– A gdybym ja się do ciebie dobierał? – zapytał, odrywając wzrok do okna, i przerzucając go na Edytę. Sam nie był pewny, po co to powiedział.

Patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy, instynktownie kierując. Odpowiedzi nie usłyszał. Chwilę później znaleźli się przy domu Romana Schmidta. Bramka znów była otwarta, a drzwi rozwarł przed nimi, w miarę szybko, sam obiekt ich zainteresowania.

Roman Schmidt po pierwsze nie pasował do typu przystojnego mężczyzny, co odciągało podejrzenia od jego osoby, jeśli mordercą, którego szukali, rzeczywiście był tajemniczy atrakcyjny mężczyzna – Oskar czy Tobiasz. Był o wiele za stary na twarzy jak na swój wiek, miał na sobie sztruksowe spodnie i koszulkę bez rękawków. W zakamarkach jego oczu czaiło się wszystko, co przeżył. Skomplikowane operacje chirurgiczne, w których jego ruchy skalpelem decydowały o ludzkim życiu, dzika i bestialska wojna, więzienie i trudy związane z przebywaniem w nim. Ale to nie wszystko. Coś tam jeszcze tkwiło. Łukasz wiedział o tym.

– Dobry wieczór – zaczęła Edyta.

– O co chodzi? – spytał Schmidt, głosem znużonym, zawieszonym w czasoprzestrzeni.

Edyta pokazała mężczyźnie blachę^[4].

– Dacie mi kiedyś spokój, czy non stop będziecie mnie nachodzić, wzywać?! Odsiedziałem swój wyrok, wyszedłem i jestem wolnym człowiekiem. Nie robię nic złego.

Za szybko się tłumaczysz, kolego.

– Możemy wejść i chwilę porozmawiać? – zapytała komisarz.

Schmidt dokładnie przyjrzał się Łukaszowi. Ale z niego nie dało się nic wyczytać, i były chirurg wnet się o tym zorientował.

– Na chwilę. – Zaprosił gestem do domu oboje policjantów.

To było mieszkanie, w którym od dłuższego czasu nic nie zmieniano. Trochę kurzu na meblach, niezbyt zadbana kuchnia, salon z teleskopowym telewizorem. Wszędzie panowało wrażenie pustki.

Stanęli w pokoju dziennym i chwilę milczeli. Potem Schmidt w końcu zaproponował im, aby spoczęli na fotelach bądź kanapie. Edyta usiadła, Łukasz wolał postać. Rozmowa kompletnie się nie kleiła.

– Z czego pan żyje? – pytała Edyta.

– Mam rentę i inne dodatki wojskowe. O co wam w ogóle chodzi?

– O morderstwa. Tak makabryczne, że żołądek podchodzi do gardła – rzucił nagle Łukasz.

Schmidt obruszył się.

– Jaki ja – mocno zaakcentował słowo *ja* – mogę mieć z tym związek? Nigdy nikogo nie zabiłem!

– Wolałeś sobie grzebać w trupach... Czemu nie zostałeś patologiem? – ciągnął ataki podkomisarz.

– To był... – ciężko oddychał – trudny okres... po tym, co widziałem, choćby w Prisztinie... Wyszedłem z tego na prostą. Zapłaciłem swoją karę.

Wyglądało na to, że porządnie się wzruszył.

– Mamy informację, że na cały dzień znika pan z domu... – powiedziała Edyta.

Łukasz dostrzegł w rogu pomieszczenia postać. Drobną, malutką.

– Czy wychodzenie z domu jest karalne?

– Nie, ale podobno często pan to robi, na dosyć długo, a zważywszy, że nie ma pan pracy... Chcemy tylko wiedzieć...

– Odwiedzam przyjaciół. Mam podać adresy? Chodzę do kina, na wystawy, również wernisaże, ponieważ mam znajomych wśród mecenasów sztuki. Do lekarza, na zakupy! – pieklił się były chirurg.

Tą postacią była Oliwka. Najpiękniejsza okruszynka świata. Miała łyzy w ślicznych oczkach.

– Niech pan się nie denerwuje. Możemy zobaczyć pańskiego vana?

– Nie! Jak mam się nie denerwować?! Nie macie nakazu, zadajecie bezczelne pytania, nachodzicie mnie!

Nie widzieli jej ani Edyta, ani Schmidt, tylko Łukasz. Bo Oliwii Kowalczyk już nie było wśród żywych.

Gospodarz domu wstał i wyprosił oficerów. Wtedy Edyta zerknęła na

Łukasza dokładniej. Był dziwny, jakby w transie. Patrzył w jeden punkt pokoju.

Ciemność wychodziła z kąta tego pomieszczenia.

Roman Schmidt na widok nienormalnego zachowania Łukasza zmarszczył brwi, po czym na jego twarzy pojawiło się zdenerwowanie.

Ciemność pochłonęła Oliwię.

Łukasz przerzucił spojrzenie na Schmidta. Zimne, bezcielesne, nieludzkie. Teraz w kącikach gałek ocznych Schmidta widział swoją córeczkę.

Wszystko zdarzyło się błyskawicznie.

Zbliżył się do Schmidta i uderzył go prawym sierpowym. Cios objął część brwi i kości policzkowej. Były chirurg upadł na kanapę. Łukasz w mgnieniu oka pochylił się, schwycił go za białą koszulkę i agresywnie podniósł ku sobie. Edyta nie wiedziała jak zareagować. Przez moment chciała wyciągnąć walthera z kabury.

– Gdzie jest dziecko?! – wyryczał do trzymanego delikwenta. Ten, ściskany mocno za fraki, nabrał wyrazu wielkiego zaskoczenia i przerażenia.

Odwrócił się ze Schmidtem, dobił go do ściany i znów krzyknął:

– Gdzie jest dziecko?!

Edyta chciała jakby szturchnąć partnera, a może odciągnąć go od Schmidta, ale zaniechała tego czynu, kiedy ręka kolegi z zaciśniętą pięścią znów się zamachnęła.

Cios poszedł w brzuch byłego chirurga. Potem kopnięcie z kolana, trochę niżej, pod pępkiem. Następnie Łukasz znów odwrócił się, ściskając go za ubranie, po czym krzyknął jeszcze głośniej:

– Mów, kurwa! Gdzie ukryłeś dziecko?!!! – I kolejny prawy sierp, który solidnie poprawił ranę po pierwszym trafieniu. Po tym grzmotnięciu Schmidt wyrwał się z rąk Łukasza i uciekł. Do kuchni.

Edyta, już całkowicie nie wiedząc, co jest grane, instynktownie pobięła za nim. Łukasz odprowadził ją wzrokiem, aż zobaczył, jak zaraz za wyjściem z salonu postrzelono ją w lewe ramię.

Nagle włączyły mu się racjonalizm i szybka reakcja. Wyciągnął służbowego glocka i przeładował go. Szybko zjawił się przy krańcu pokoju, najpierw zerknął na leżącą Edytę, a potem na korytarz. Zrezygnował z odciągania z linii strzału partnerki, ponieważ drzwi frontowe w tym domu były otwarte na oścież, a za nimi nikt nie czyhał. Pognął do kuchni, tam też

nikogo nie było. Tylko jakieś ciemne pudełko, którego wcześniej nie uświadczyli, ewidentnie rozwarło na szybko. Łukasz zerknął tam, zobaczył magazynek ostrej amunicji o kalibrze dziewięć milimetrów.

Wrócił do Edyty i gdy upewnił się, że jej życiu nic nie zagraża i jest w stanie wezwać pomoc oraz wsparcie, skierował się w pogoń za Schmidtem.

Ostrożnie, ale z tempem wyszedł z budynku. Mrok coraz bardziej spowijał miasto, uliczne lampy świeciły jakby złowieszczo. Zastanowił się, czy szukać Schmidta, czy może samemu wezwać posiłki, puścić wici, kto i za co jest poszukiwany, i zająć się Edytą. Wybrał opcję numer jeden.

Bramka nie była otwarta, a w takim amoku na pewno nie zamknęłyby jej za sobą.

Łukasz szedł z wycelowaną prosto klamką, blisko białej ściany hacjendy^[5] Schmidta. Na rogu budynku, energicznie odwróciwszy się, bacznie obserwował wschodnie skrzydło podwórka. Przyspieszył kroku, idąc za dom. Dostawczy van, biały i pojemny, stał nieruszany na swoim miejscu. Łukasz błyskawicznie go sprawdził. Na pace znajdowały się trzy długie powrozy i różne szmaty. Pachniało to materiałem pomocnym przy porwaniach ludzi.

Po oględzinach bryki Łukasz skierował wzrok na nieduży lasek za posesją.

Daj spokój, uciekł ci, wracaj do Edyty... Nie.

Ruszył w kierunku tego drzewozbioru. Pokonał ogrodzenie przez zniszczone przesło i zdecydowanie pobiegł ku zielonej strefie. Wtargnął w las jak opętany i strzelił dwa pociski w powietrze nad sobą. W oddali usłyszał niespokojny chrzęst liści i przeciągły odgłos gnieczonego runa leśnego.

Coś tam było, i bynajmniej nie żadne zwierzę.

Gnał od drzewa do drzewa, w ciemności, gotowy do użycia glocka. Schmidt też musiał być zdecydowany na strzelanie w decydującym momencie, przecież też miał broń. Zużył tylko jedną pestkę^[6].

Tylko nie to. Łukasz w otchłani czerni ujrzał Monikę trzymającą na rękach Oliwkę. Obie przeraźliwie płakały.

Usłyszał bliski trucht z prawej strony. Schował się za niewielkim kopcem. Chwilę później kula rozerwała na strzępy czubek tej kupki ziemi.

Łukasz przeturlał się bokiem jak foka, wychylając się zza osłony. Oddał pięć strzałów, miarowych, w ewentualnym zasięgu możliwej ucieczki napastnika.

Chcesz go zabić? Przecież tak nie wolno robić. Nie jesteś pieprzonym łowcą.

Do jego bębenków słuchowych doleciał ryk, ogromny skowyt bólu Schmidta. Dotarł w to miejsce w krótkiej chwili, biegnąc jak gepard.

Leżący wśród odchodów jakiegoś zwierzęcia Schmidt próbował dobyć dłonią broń. Nie miał żadnej rany po postrzale, po prostu seria kul świszających obok niego przywołała wspomnienia. Te najgorsze. Wtedy upadł, upuścił klamkę i nie mógł się ruszyć, jakby był sparaliżowany. Wrzeszczał z bólu.

Łukasz kopnął go górną częścią stopy w przeponeę. Widział stygmat na jednym z jego przegubów. Albo tylko mu się wydawało.

[1] Strzał z bębna – wytypowanie z policyjnego rejestru.

[2] Figurant – obiekt zainteresowania danych służb.

[3] Abwera – Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

[4] Blacha – odznaka bądź legitymacja policyjna.

[5] Hacjenda – dom, mieszkanie.

[6] Pestka – pocisk.

Dotarł ze Schmidtem pod jego posesję, gdy stała już tam karetka i jeden radiowóz. Edytę na noszach pakowano do ambulansu, a dwóch mundurowych stało przy błyszczącym od światła koguta samochodzie policyjnym. Widząc spokojnie idącego Łukasza, a przed nim pokornie pełzającego, zgarbionego Schmidta w kajdankach, stanęli równo, jeden nawet chyba chciał sięgnąć po broń, ale Łukasz rzucił im swoją szmatę, potem popchnął schwytanego, a ten przewrócił się na chłodną ziemię.

– Zabierzcie go do nas – rozkazał niebieskim^[1], po czym wziął z powrotem swoją legitymację. – Odwołajcie inne wsparcie – rzucił, kiedy zapalał fajkę.

Zaciągnął się mocno w momencie, gdy duże tylne wrota karetki nieoczekiwanie się otworzyły. Wyszła z nich Edyta, ignorując ratowników. Na lewym ramieniu miała założony niecałkowicie optymalny opatrunek.

– Co to było?! – wręcz wykrzyczała Łukaszowi.

– Rana poszła płytko, nic ci nie będzie. Przepraszam, to była kula dla mnie. – Odwrócił się, spojrzał na dom Schmidta. – Coś tam jest. On w tym wanie trzymał kogoś, wbrew woli.

– Co?

– Muszę tam zajrzeć. – Zaciągnął się ostatni raz i wyrzuciwszy peta jak najdalej od siebie, wydmuchał dym z płuc.

Suka z zawiniętym Schmidtem odjechała, Łukasz poszedł po rękawiczki do auta, a Edyta wyklócała się z medykami, że nic jej nie dolega. Koronnym argumentem było to, że pocisk tylko ją drasnął, nie utkwiał nawet w ciele.

Gdy wrócił z niebieskimi, lateksowymi rękawiczkami na dłoniach, Edyta znowu rzuciła do niego:

– Dlaczego strzelał? To chyba nie jest do końca normalna reakcja na to, że pierze go policjant?

– To powód numer dwa, aby tam zajrzeć.

– A z ciebie co za debil jest?! – Ruszyła za kumplem, ignorująco machając zdrową ręką na ratowników. – Dziecko? Jak my z tego się wytłumaczymy?

Nie odpowiedział, a Edyta rzekła na odczepnego do osób z karetki:

– Chwilka!

W szybkim tempie przejrzeni całe mieszkanie. Zero podejrzanych rzeczy. Czysty pecet. Po prostu dom zwykłego faceta, który gdy atakuje go pies, sięga po dziewiątkę i wali z tej spluwy w policjantkę, a potem spierdala w lasek za parcelą.

– Łukasz, zdawało ci się – Edyta rzuciła na parterze. – Dziecko... rozumiem, chodziło o twoją córeczkę...

Ale on wchodził już do piwnicy.

Pachniało tam jakby średniowieczną pieczarą. Zapalił światło. Na wprost widział wąską, wysoką półkę ze słoikami z pasteryzowanymi i zakonserwowanymi typowymi elementami polskiego jadła. Szedł schód za schodem, za nim Edyta. Prawie przy końcu zorientował się, że dalsza część pomieszczenia jest dziwnie zamurowana, a na świeżej – co można było dostrzec – ścianie zamontowane były mocne drzwi, zamknięte na solidną kłódkę.

Łukasz miał za nic komunikaty, że bez nakazu nie mogli tam nawet sami przebywać, a co dopiero myszkować. Strzelił kilkakrotnie w obręcz kłódky, która w końcu pękła. Edyta ciężko przełknęła ślinę, kiedy otwierał te drzwi.

Ciemno. Po omacku szukali załącznika, jeśli w ogóle tam był.

Błysk solidnej lampy ujawnił im ten widok.

Puste, stęchłe pomieszczenie, a w nim tylko klatka dwa na dwa, z małutkimi przerwami pomiędzy spojeniami.

W tej klatce, w warunkach gorszych niż ma jakiś pies na wsi, we własnych fekaliach i zeschniętym moczu, oparta o jedną ściankę, pólżąc siedziała naga, brudna i śmiertelnie przerażona dziewczynka, najwyżej ośmioletnia.

W jej oczach widniał strach, ale nie łzy. Niestety, przy całej tej obrzydliwej sytuacji można było również znaleźć w jej spojrzeniu obojętność, pogodzenie z plugawym losem. Wzbudzało to ciarki, gdy na nią patrzyłeś.

Jak wielkim bydlęciem musi być Roman Schmidt – pomyślała Edyta.
Dziewczynka patrzyła w oczy Łukasza. Trwało to wieczność. Tak, miał rację.

Dziecko.

[\[1\]](#) Niebieski – policjant w mundurze.

– Bryka jest juchcona^[1], goście z samochodówki szukają handlarza, ale chyba nic z tego nie będzie – powiedziała do niego Edyta w przedsionku jednego z pokoi przesłuchań. Draśniętą rękę miała na temblaku, po tym urazie nie wzięła ani jednego wolnego dnia. – Jedne szczątki z wykopek z tego lasku leżały tam około pół roku, więc może to ta zaginiona prostytutka. Badają DNA od jej rodziny.

Łukasz słuchał koleżanki, trzymając w dłoni popielniczkę i patrząc na siedzącego w sali Romana Schmidta.

– Najświeższe ciało, też kobieta, miała w żołądku jakieś dziwne substancje i coś wszyte koło wątroby. Grzebał jej też solidnie w mózgu – ciągnęła dalej, z coraz większym obrzydzeniem.

– Dziewczynka? – spytał cicho.

– Dotąd nie odezwała się ani słowem. To nic nienaturalnego, po takiej traumie... Musieli ją uśpić, żeby przebadać. W karetce zwymiotowała... nasieniem. Była gwałcona, ma uszkodzone narządy wewnętrzne... – Edycie załzawiły oczy. – Przeglądają zaginięcia, miejmy nadzieję, że ma rodziców.

– A ta kurwa? – Łukasz mignął twarzą na spokojnie usadowionego Schmidta z luźnym opatrunkiem w miejscu, gdzie go uszkodził.

– Za dwie godziny kończy się cztery osiem^[2], a on nic nie powiedział. Lada moment przejmie go prokurator. Cały czas go docierają, nie zmrużył oka od dwóch dób. Leżał z gołą dupą, oparty pyskiem o ścianę, chłopaki nawet go napierdalali niepełną butelką^[3]. Wzięli go na deszcz do meliny... Nasi przemarzli i nic z tego. Robili mu stereo... sukinsyn siedział w zamknięciu kwadrans, oni nieustannie tłukli w szafę, chwila przerwy, i znów ten sam manewr. Ni chuja. Nie parsknął ani zdania.

– Może wystarczyło z nim pogadać?

– Co?! – Edyta wielce się zdziwiła. – Z takim ścierwem jak z człowiekiem?

– Brzytwa Ockhama. – Łukasz spojrział na partnerkę. – Najprostsze rozwiązania są zawsze najlepsze... Brzytwa. – Rzadko kiedy zwracał się do niej ksywą, ona też nigdy nie nazywała go *Nietzsche*. – Odpocznij, jesteś na zwolnieniu. Musisz się kurować.

Nie czekając na odpowiedź Edyty, ruszył do drzwi prowadzących do pokoju przesłuchań. Przed ich otwarciem spytał:

– Udało się ugadać kominiarzy^[4]?

– Tak. Za szkocką pomógł nam też Tomczyk – oficjalnie ta cała jatka była dziełem AT^[5], bo mieli nakaz aresztowania. Odkryliśmy wcześniej zbiorową mogiłę... Oberwałam w akcji – Edyta pokrótce przedstawiła koledze tę legendę^[6].

– Ta butelka na pewno była niepełna? – zadał jeszcze jedno pytanie.

– Nie martw się, skurwiel nie ma siniaków – dodała lekki uśmiech, po czym znów spoważniała. – Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. Miałem halucynacje.

– To nie mógł być przypadek...

– Mam nadzieję, że był – zdecydowanie otworzył drzwi i wszedł do sali.

Usiadł naprzeciw Schmidta, w tym bezbarwnym pomieszczeniu ze stołem i trzema krzesłami. Położył przed sobą popielniczkę.

Edyta przyglądała się rozmowie zza szkła weneckiego.

– Wyłączamy wizję? – odezwał się męski, niski głos z górnego rogu pokoju, gdzie widniał nowoczesny aparat monitorujący.

– Nie – Łukasz odparł w powietrze, po czym wyciągnął fajki. Poczestował Schmidta, patrząc mu prosto w oczy.

Zwyrodnialec wziął papierosa. Obaj zapalili.

– Zaraz po oficerce znalazłem się od razu w zabójcach^[7] – głęboko się zaciągnął. – Chciałem tego – wydmuchał dym. – Jeden z moich pierwszych trupów był w kiciu. W toku śledztwa wyszło, że napastników było trzech. Wszystko przygotowali.

Schmidt wciąż udawał głuchoniemego.

– Dowiedzieli się, że gwałcił dzieci... dziewczynki – przytaknął sam sobie i cmoknął przeciągle. – Jak go dopadli, to najpierw spuścili mu rześki wpierdol. Kiedy był już zmiękczony, to musiał każdemu po kolei obciągnąć... Dopilnowali, by łyknął każdą kroplę spermy.

Były chirurg wzmógł swój wzrok, na jego twarzy pojawił się nieznacznie widoczny grymas, a może zdenerwowanie?

– Przywiązali go do rury – Łukasz kontynuował, paląc ze smakiem. – Strasznie się wiercił, ale udało im się wyrwać mu ze dwa zęby. Potem go zakneblowali i zdarli z łap kilka paznokci.

Schmidt odwrócił wzrok.

– Później wzięli takie grube, metalowe coś, na dwadzieścia centymetrów, albo i więcej. Wyruchali go tym w dupę. Znaleźliśmy go całego we krwi. Ale to nie koniec.

„Rozmówca” Łukasza gorzko przełknął ślinę i zostawił papierosa na przezroczystej popielniczce, którą później Łukasz zbliżył jeszcze bardziej ku sobie, i mówił dalej:

– Tak zmaltretowanego rzucili na glebę, wycięli mu, diabli wiedzą czym, jaja i pałę.

Schmidt zaczął szybciej oddychać i rozglądać się wokoło.

– Wsadzili mu to wszystko do ryja. Pytaniem było to, czy pierdolnął przez wykrwawienie, czy może udusił się tym, czym krzywdził dzieci...

– Chcesz mnie przestraszyć?! – w końcu odezwał się Schmidt. Agresywnie i nerwowo.

– Nie – pokręcił głową Łukasz. – Dwóch z tej trójki wciąż siedzi w tym samym pierdłu. Załatwię ci tam pobyt i puszcę stosowną notkę do starych znajomych. Ci ludzie w nic nie wierzą, mają tatuaż Polski Walczącej obok swastyki. Będą tkwić w izolacji do końca życia, mają tam ułożonych gadów^[8].

– Nie muszę nic mówić.

– Racja. Ale za chwilę przyjdzie tutaj jakiś policjant, a ty mu wszystko opowiesz. Ze szczegółami. Potem powtórzysz to prokuratorowi. Bo jak nie, to zaraz po otrzymaniu wyroku – zgniótnę peta w naczynku do strzepywania popiołu – trafisz tam, gdzie nic cię nie ochroni przed uduszeniem się własnym kutasem. Rozumiesz, skurwysynu?

Zagadkowa twarz byłego chirurga nagle stała się krucha i przejrzysta.

– Nie powtórzę tego drugi raz – spokojnie zakończył Łukasz, po czym zabrał popielniczkę i wyszedł.

Jeszcze przed upływem czterdziestoosmiogodzinnego zatrzymania, nim przejął go prokurator Tomczyk, Roman Schmidt złożył dokładne zeznania co do ohydnych czynów, których się dopuścił.

-
- [1] Juchcony – ukradziony i zalegalizowany niezgodnie z prawem.
 - [2] Cztery osiem – czterdziestoośmiogodzinne zatrzymanie – czas, w którym zatrzymany jest do dyspozycji policji, zanim zostanie wypuszczony lub postępowanie przejmie prokurator.
 - [3] Uderzanie niepełną butelką – metoda bicia butelką napełnioną wodą do odpowiedniej ilości, dzięki której na ciele poszkodowanego nie powstają sińce.
 - [4] Kominiarz – antyterrorysta.
 - [5] AT – oddział antyterrorystyczny.
 - [6] Legenda – zmyślona wersja wydarzeń.
 - [7] Zabójcy – wydział zabójstw.
 - [8] Gady – strażnicy więzienni.

Późnym wieczorem podjechał na ulicę dosyć popularną, ale niezbyt reprezentatywną. Zatrzymał swoją prywatną, skromną nubirę przy świecącej ciemnopomarańczowym, ostrym blaskiem latarni. Na całej długości chodnika z obu stron stały panny lekkich obyczajów, tudzież po prostu dziwki. Jedna z nich, widząc jak samochód Łukasza zatrzymał się niedaleko niej, od razu zaklepała klienta.

Była to Dagmara, znana mu prostytutka – czasem dobra informatorka, ale przede wszystkim stała dostarczycielką towaru. Nie można powiedzieć, że należała do szczególnie ładnych kobiet, ale miała coś w sobie, co przyciągało do niej mężczyzn.

– Siema – rzuciła na przywitanie i, nie wiedząc czemu, pocałowała go w policzek, ale nie przyjacielsko, bardziej jakby był jej chłopakiem.

– Masz helenę^[1]? – spytał.

– W prochu.

– Może być. – Skończył papierosa i wyrzucił na drogę.

– Co ci się stało? – Dagmara wskazała na już częściowo zagojone ślady na jego pięści po akcji ze Schmidtem.

– Nic. Spostrzegawcza jesteś. – Chwila pauzy. – Coś ciekawego na mieście?

– Dzisiaj było dwóch łysoli i jeden mówił do drugiego, że trzeba wygasić Krokodyla. Ale nie wiem, o co chodziło, miałam ręce i usta pełne roboty... – dorzuciła na koniec zdania diabelski uśmiezek.

– Domyślam się. Skoczysz do mojej hawiry?

– Zapłacisz? – prostytutka powiedziała półpytająco, półtwierdząco.

Łukasz wrzucił jedynekę i ruszył.

Niedługo potem znaleźli się w kamienicy, gdzie mieszkał. Raczej mało kto chciałby tam żyć. Dagmara, widząc kwadrat Łukasza, zaniemówiła, nie rzucając nawet żadnego komentarza. Z dziwnym zafrasowaniem przyglądała

się salonowi, kiedy rzucił:

– Daj tę herę.

Wyciągnęła z torebki woreczek z narkotykiem. Położyła go na szklanym stoliku, obok którego widniały strzykawki i pusta buteleczka po mocnym syropie na bazie barbituranu.

– Chcesz, to załatwię ci mefedron albo meskalinę – powiedziała spokojnie.

Łukasz poszedł do kuchni, skąd przyniósł małą ^[2] bez etykiety.

– Masz dwa pistolety? – spytała, zerkając na berettę na stosie książek.

– Zawsze lepiej być zabezpieczonym. – Wypił dwa szybkie łyki nieznanego specyfiku i podał buteleczkę Dagmarze.

Trochę się wzbraniała, ale wzięła.

Usiadł na sofie, a Dagmara przycupnęła swoim zgrabnym tyłkiem na fotelu w kącie.

– No chcesz się ze mną bzykać czy nie? – zapytała.

W odpowiedzi zobaczyła przeciągłe, przeczące kręcenie głową.

– Przecież nie jesteś pedałem, czuć od ciebie prawdziwym mężczyzną na kilometr. Więc co, brzydzisz się mnie?

– Chciałem pogadać.

– Co?! – rzuciła mu małą, Łukasz zgrabnie ją złapał.

– Samotność to największe kurestwo, jakie dotyka człowieka. – Wziął kolejne dwa łyki, zapalił fajkę.

Dagmara wstała i rozejrzała się po mieszkaniu. Po dłuższej chwili, wróciwszy z kuchni, wzięła się za przeglądanie kolekcji płyt winylowych stojących obok książek.

– Dlaczego trzymasz pianino w kuchni? – zapytała, buszując w winylach.

– To jest fortepian – odparł.

– Potrafisz na nim grać?

– Nie mam dla kogo.

– Niezły wybór. Od rocka po klasykę – skomentowała zbiór muzyki. – Co puszczamy?

– Klasykę. Koniec końców, tylko ona jest dobra.

Prostytutka z trudem włączyła jedną z płyt na archaicznym gramofonie. Delikatne, ale na swój sposób konkretne dźwięki popłynęły z odtwarzacza na cały pokój.

– Nie masz dziewczyny? – Dagmara usiadła z powrotem na fotelu.

– Nie.

– Kumpeli w robocie?

– W komendzie nikt za mną nie przepada. Chyba tylko jedna osoba mnie tam lubi.

– Kobieta?

Nie odpowiedział.

– Ładna?

– Ładniejsza od ciebie.

– Szczery jesteś.

– Z tej broni – skinął głową na berettę – wiele razy chciałem się zastrzelić, ale nie potrafię. Bo każde życie jest do dupy, jedno mniej, drugie więcej, ale życie nawet najbardziej do dupy jest lepsze, niż jego brak.

– Miałeś rodzinę?

Zamknął oczy. Po raz niewiadomo który zobaczył swój jeden błąd, który zdefiniował jego życie. Siarczysta zima, kręta droga do rodziny Moniki na święta. Mała Oliwka na foteliku za nią. Dwie najcudowniejsze istoty na ziemi. Rodzinny ford wpada w poślizg, Łukasz traci panowanie nad autem. Z naprzeciwka nadjeżdża solidnie rozpędzony tir. Prawa strona ich samochodu zderza się z maską molocha drogowego. Łukasz widzi, jak ciężarówka miażdży Oliwkę i wrzyna blachę w ciało Moniki. Śmierć na miejscu. Tylko on przeżywa.

Zabiłeś ich, skurwysynu! Zamordowałeś własną rodzinę!!!

Nie wiedział kiedy, ale ocknął się, gdy Dagmara napełniała strzykawkę przyrządzoną heroiną.

– Mam nadzieję, że nie masz żadnego trypra^[3] albo innego HIV-a?

Chwilę później usiadła obok niego i podała mu swoją strzykawkę.

– Fajnie jest tak z tobą pogadać, ale nie sądziłam, że zaczniesz beczeć. Nie martw się, nikomu nie powiem.

Ściągnęła mu pasek ze spodni i zacisnęła na jego bicepsie. Wstrzyknęła mu narkotyk w jedną z żył na ręce, po czym on wykonał identyczne działanie względem niej, z tym że wkłuł się w jej nogę nad srebrną bransoletką.

Nawet nie zauważył, kiedy robiła mu szybką laskę (możliwe, że nawet ona tego nie zauważyła). Był już całkiem gdzie indziej.

Obłok, falujące morze, księżyc. Chłód granitu, płacz dziecka. Krzyk

szatana, obfita ejakulacja. Wołanie Boga, krwawy aniołek. Dźwięki porządnego rocka. Dub-step, wąż, wymiociny. Jezus, ogród botaniczny, stary rynek. Lot nad szeroką i długą rzeką, szal perkusji bez ani jednego prawidłowego uderzenia. Bezdech, rafa koralowa. Najsmaczniejsze jedzenie na świecie, Afryka, zakopany żywcem noworodek. Metan w płucach, naskalne malowidło, orgazm analny lalki o gładkiej skórze, muzyka country.

Za oknem zaczęło siąpić.

[1] Helena – heroína.

[2] Małpka – butelka o pojemności 200 lub 250 ml.

[3] Trypr – choroba weneryczna.

Następnego dnia, czyli w czwartek, już po służbie, dostał wezwanie na miejsce, gdzie w wyniku postrzelenia zmarł znany mu oficer, Jacek Wiśniewski, który zajmował się przestępczością zorganizowaną.

Wjechał na ulicę z jednokierunkową jezdnią, gdzie jej spora część została zamknięta taśmą policyjną. Zatrzymał się obok prywatnego, klasycznego bmw Edyty, kończąc całkiem znośnego hot doga. Na ulicy zebrało się kilku gapiów, którzy bacznie obserwowali wszystko, niespokojnie szepcząc. Kontrolowali ich mundurowi.

Wysiadł, jeden niebieski wpuścił go na zamkniętą strefę. Obok zmaltretowanej toyoty z martwym kierowcą w środku stała Edyta i inny pies z wydziału zabójstw, niski Maciek, zwany przez kolegów *Maradoną*. Ten właśnie podszedł do Łukasza i asekuracyjnie, niezbyt przyjacielsko, podał mu dłoń na przywitanie.

– Granatowy golf zablokował drogę – zaczął szybko, intensywnie przemieszczając wzrok po całej twarzy Łukasza. – Tak jak patrzysz, z prawej strony chodnikiem szedł cyngiel^[1]. Długi płaszcz, kamera ustawiona tak, że mogła co najwyżej jego plecy zarejestrować. Wyciągnął karabin, rozumiesz, kurwa?! Jak w jakiejś pierdolonej Rosji. Jacek nawet nie zdążył się ruszyć... Ale dla pewności wywalił cały magazynek w brykę. No, będziemy mieć balistykę, ale armata pewnie lewa. Potem wsiadł do golfa, wątpię, żebyśmy mieli ich wyraźne oblicza na nagraniu. Auto jara się trzy przecznice dalej. Jeden gość, świadek, rzeczowo przedstawił sytuację, ale twarzy nie widział, był za daleko. Spisałem go szybko i zaprosiłem na jutro do firmy, bo się spieszył.

Łukasz nie odpowiedział, tylko ruszył ku Edycie, która wciąż trzymała rękę w niewygodnym temblaku. Głowa Wiśniewskiego miała dwie ogromne dziury, była oparta o kierownicę. Spora część jego mózgu zbryzgała tapicerkę i szybę od strony pasażera. Z korpusu również ciekła krew. Okna

toyoty stłukły się doszczętnie, co nie dziwi, zważywszy na ilość wystrzelonej w ich kierunku amunicji i jej kaliber.

Edyta ze zdenerwowaniem spoglądała na martwego kolegę. Znała go od kilku dobrych lat, był od niej niewiele starszy. Nie mogła oderwać wzroku od zmasakrowanych zwłok.

– Mój uchol przekazał mi wczoraj, że jakichś dwóch łysych kafarów chciało rozwalić niejakiego Krokodyla. Trzeba sprawdzić, czy ktoś o takim pseudonimie nie figuruje u nas, bo jeśli nie...

– W to nie uwierzę – przerwała mu agresywnie.

– Robił^[2] grupę Bestii. Tylko oni są zdolni do takiej rzezi.

Gang, którego członkowie określali się mianem *Bestii*, sprawiał coraz większe problemy. Zaczynali od działalności na jednej dzielnicy, powoli się rozrastali, obecnie obejmują całe miasto. Nie byli oni ludźmi inteligentnymi, głównie cenili sobie cielesne korzyści, a ich horyzonty ograniczały się do filmów akcji klasy c. Ich poziom niech określa fakt, że jako największy problem ideologiczny stawiali spór o wyższość seksu oralnego nad tradycyjnym. Z tych właśnie względów wielokrotnie zachodziło podejrzenie, że za tą bandą kretynów stoi ekipa przestępców w białych rękawiczkach, czyli współczesna mafia – która posługuje się ćwierć-mózgami, ponieważ ci idealnie opanowali umiejętność siania terroru na ulicach. W stronę Bestii kierowano następujące oskarżenia: ściąganie haraczy w różnych przedsiębiorstwach, pobieranie części zarobków prostytutek, napady na ciężarówki, czy nawet na sklepy i banki, porwania dla okupów oraz – rzecz jasna – kradzieże samochodów i udział w szeroko pojętym biznesie narkotykowym. Cała legenda, jaka powstała wokół grupy, jej brutalne metody oraz szerzenie strachu, sprawiła, że każdy łysy czuł się Bestią i – co gorsza – nikt przeciwko nim nie zeznawał ani nie składał doniesień. Z tych, których łapano, nigdy nie udało się wyciągnąć informacji, jakoby kierować tym całym towarzystwem mieli biznesmeni czy politycy, tak jakby wszyscy schwytani i skazani na więzienie mieli świadomość, że ich mocodawcy lub wspólnicy nie zostawią ich na pastwę losu. CBS^[3] zaś od prawie roku wyjątkowo leniwie rozpracowywało ten temat. Teraz jednak, kiedy zginął policjant dłubiący w tej szajce, śledztwo musiało nabrać wyjątkowych ram.

– Doktor^[4], ekipa^[5] i łapiduchy^[6] wezwane, zbytnio nie ma co tutaj robić – powiedziała Edyta, wciąż nie potrafiąc spuścić wzroku z nieżywego

kumpla. – Maradona przypilnuje, żeby wszystko zabezpieczyli.

Łukasz zrobił potwierdzającą minę.

– Mam ochotę się napić. – Zerknęła na niego. – Wskoczysz na jednego? – zniecierli zapropozowała.

Chwilę się zastanowił, po czym odparł:

– Dobra.

– Jedź za mną, odwiozę brykę na osiedle i pojedziemy twoim.

Tak też zrobili. Wybrali się do knajpy, w której minimalnie pachniało speluną, ale wybór alkoholi był tam obszerny, wystrój całkiem przyjemny, a grająca muzyka nie sprawiała uszom bólu.

Przy barze zamówił dwa razy whisky z colą, Edyta wypła to duszkiem, i skomentowała:

– Nie będziemy pić tych perfum. Bierz flachę i dwa duże kielichy.

Pięć minut później siedzieli już we dwoje w dużej łozy, przez co grupa znajomych niedaleko nich musiała się gnieść przy średniej wielkości stoliku. Widząc jednak wyraz twarzy Łukasza, nawet grzecznie nie zaproponowali wymiany miejsc. Poczęstował papierosem Edytę, ta odmówiła, więc sam zapalił, co spotkało się z dezaprobatą sąsiadujących imprezowiczów.

– Mnie też to rusza, kiedy strzelają na ulicy do psów – rzucił, napełniając dwa duże kieliszki wódką.

– Daj spokój. Nie będziemy o tym gadać.

– O czym możemy jeszcze rozmawiać? O Rzeźniku?

Wypła kolejkę bez popitki. Wykonał identyczną czynność.

– Może zejdziemy z tematu roboty...? – spytała.

– Proszę.

Niska, korpulentna kelnerka podeszła do nich gęsim krokiem z żylastym barmanem.

– To jest sala dla niepalących. Na dole mamy miejsce dla...

– Wypad – parsknął Łukasz.

Edyta delikatnie się uśmiechnęła.

– Co?! – wtrącił zdezorientowany barman.

Łukasz nieśpiesznie wyciągnął szmatę i ostentacyjnie rzucił ją na stół obok butelki czystej.

– W podskokach na jednej nodze – dodał beznamietnie.

Pracownicy knajpy przez kilka sekund tępo na siebie patrzyli, po czym zostawili ich w spokoju.

– Władza wciąga, co? – rzekła Edyta.

Grupka znajomych także wycofała się do części, w której znajdował się bar. Nie odważyli się jednak nawet fuknąć czy rzucić niepoehlebny komentarz.

– Bardzo – odpowiedział, nalewając następną kolejkę. – Więc o czym będziemy gadać?

– Może o tobie. Pracujemy razem już wystarczająco długo, bym coś o tobie wiedziała. Ale nie wiem nic. Jesteś jakiś tajemniczy donkiszot czy co?

– Ludzie nie chcą mnie poznać.

– Ja chcę. Raz jedyne opowiedziałeś mi o tym wypadku. To jedyne, czym się z trudem podzieliłeś. – Walnęła szybko łufę.

Łukasz dotrzymywał jej kroku w picciu. Dostyc szybkiego kroku.

– Wiesz coś jeszcze.

– Że czasami ci odwala?

Skinął głową.

– Tak jak każdemu. Jeden idzie rozpieprzyć kilka śmietników, drugi rżnie swoją żonę w sposób, ujmijmy to łagodnie, trochę mocniejszy, inny pędzi schlać twarz. Taki mamy zawód. Ty widzisz rzeczy, których nie ma.

– Nie jestem pewien, czy ich nie ma. Czasami wydaje mi się, że fikcją jest to, co robię na co dzień: trupy, fabryka, ty...

– Dotknij mnie. – Wyciągnęła ku niemu zdrową dłoń. – Jestem prawdziwa. – Dodała do tego psotny uśmieszek.

– Kiedy się tego pozbędziesz? – Wskazał wzrokiem na temblak.

– Mam nadzieję, że jak najszybciej.

Pół litra czystej skończyli przy wtórze rozmów o seryjnym mordercy, którego szukają, i gangu Bestii.

– Nie potrafimy się oderwać od tego całego syfu – rzuciła, otwierając po męsku drugą butelkę. Włączyli też do libacji sok na popitkę.

Łukasz zapalił czwartego papierosa. Na sali, w której pili, pojawiła się para definiująca większość współczesnej młodzieży: wypacykowany filistrowie, bystrzy jak opona samochodowa i nastawieni na żałośnie daremny konsumpcjonizm.

– Z tego nie da się wyjść...

– Mówisz o robocie?

– Tak.

Zaśmiała się. Etanol we krwi dawał już o sobie solidnie znać.

– Dlaczego jesteś taki poważny?

– Bo nie ma z czego się śmiać.

– Masz twardą głowę... Ale twoje auto chyba zostanie dzisiaj pod tą mordownią. Nie myślałam, że tyle wypijemy.

– Ja też.

– Nie no, cholera! Powiedz coś w końcu o sobie, o tym, co czujesz.

– Ty powiedz, ja jestem nudny.

– Przecież ty wszystko o mnie wiesz. Jestem sama, mam ślicznego kundelka Majkela, z braćmi utrzymuję umiarkowany kontakt. Lubię bluesa, mocną i ciężką literaturę, niszową strefę kinematografii. Gardzę polityką, elitami i śmiesznym, iluzyjnym tak zwanym współczesnym światem. No... – Kolejny kieliszek, numer niewiadomo już który, i chwila zachwiania fizycznego, mimo siedzenia w wygodnym miejscu. – A ty...?

– W nic już nie wierzę – szybko wystrzelił z siebie. – Po robocie chleję i ćпам, bo boję się być trzeźwy i świadomy. Boję się rano wstać. Średnio raz na tydzień chcę ze sobą skończyć, ale nie mam odwagi. Ogarnia mnie przerażenie, gdy przypominam sobie, że po śmierci mogę ich nie spotkać. – Choć nie uronił z siebie ani jednej łzy, jego wyraz twarzy był niczym krwawiące serce.

Schwyciła go za rękę. Mocno trzymała.

– Odprowadzisz mnie do domu? – spytała.

Opuścili lokal, zostawiając spory napiwek. Wolno, w swoim zamkniętym dla wszystkich tempie, szli przez miasto. Na ulicach nie padało, ale niezbyt przyjemny chłód niesiony przez wiatr smagał ich ciepłe od alkoholu twarze.

Pod swoim blokiem zaprosiła go do mieszkania. Nie potrafił odmówić.

Na wejściu powitał ich mały, kremowy piesek, merdając ogonkiem i wesoło poszczekując. Zdawało się, że Edyta, zmęczona drogą, chce już tylko iść do łóżka. Łukasz zaprowadził ją do sypialni. Kiedy wychodził z pokoju, żegnając się, ona, stojąc chwiejnie przed łóżkiem, rzuciła:

– Jak jechaliśmy drugi raz do Schmidta... mówiłeś szczerze?

– Słucham? – Odwrócił się do niej.

– O tym, co bym zrobiła, gdybyś mnie podrywał?

– Dobranoc.

– Zaczekaj.

Zbliżyła się do niego, nie pozwalając wyjść. Zamknęła niezgrabnie drzwi, aby Majkel im nie przeszkadzał.

– Idź spać.

– Dlaczego nie dasz sobie pomóc? – Ściągnęła temblak i czule go objęła. – Czemu się nie rozluźnisz? Dlaczego jesteś taki spięty? Taki smutny, nieszczęśliwy? – Kusila go spontanicznymi pocałunkami.

– Jesteś pijana. Nie chcesz tego.

– Chcę. Pragnę, byś chociaż na chwilę – zaczęła go rozbierać – był szczęśliwy. Daj się pokochać.

Złączyli się w długim, namiętym i intymnym pocałunku.

Zobaczył przed oczami Monikę.

Przerwał pocałunek, delikatnie odepchnął ją od siebie.

– Nie mógłbym ci tego zrobić. Nie w tym stanie, w którym jesteś. Już teraz ledwo patrzę na siebie w lustrze.

Pocałował ją opiekuńczo w głowę. Jej włosy pachniały brzoskwinią i jeszcze czymś. Pachniały Moniką.

Wyszedł, a ona, wielce zaskoczona, usiadła na łóżku. Pogłaskał Majkela za uszkiem na do widzenia i opuścił jej mieszkanie.

[1] Cyngiel – osoba wykonująca egzekucje, pociągająca za spust.

[2] Robić – rozpracowywać organizację przestępczą.

[3] CBS – Centralne Biuro Śledcze (Ceboś).

[4] Doktor – patolog.

[5] Ekipa – technicy policyjni.

[6] Łapiduchy – pracownicy zakładu pogrzebowego.

Przystojniak znowu zaatakował. Ciało jego trzeciej ofiary, Martynty Karłowskiej, znaleziono kilka godzin po tym, jak Łukasz wyszedł z mieszkania Edyty. Leniwy piątkowy poranek nerwowo kołysał miastem, gdy w luksusowej okolicy pod szykownym budynkiem mieszkalnym, wyglądającym wręcz jak apartamentowiec, piętrzyły się różne pojazdy niezwiastujące nic dobrego.

Niedługo później do tych samochodów dołączył volkswagen, którym kierował Łukasz. Na miejscu pasażera mocną kawę piła Edyta, nie miała już unieruchomionej ręki, bo po tym, jak w towarzystwie partnera zdjęła temblak w sypialni, nie założyła go już z powrotem. Łukasz zatrzymał brykę pod rzędem rachitycznych drzewek, kiedy rzuciła:

– Nie przypuszczałam, że tak się zachowasz. Dzisiaj już takich nie produkują.

Tylko spojrział na nią, nie odpowiedział.

– Ale te słowa, choć wypowiedziane po pijaku, były prawdziwe. Pamiętam, co mówiłam...

– Nie chcę być nieszczęśliwy i to niesamowite, że chciałabyś na nowo przynieść mi sens – z trudem odparł.

– Oczywiście. Mówiłam szczerze. Możemy spróbować, już na poważnie... jeśli chcesz.

– Chcę. Bardzo chcę. Ale nie potrafię.

– Rozumiem – błyskawicznie ucięła. – Cieszę się, że mamy jasną sytuację. Nasza wczorajsza dyskusja i to wszystko... zostaje między nami?

– Zostaje między nami – zawtórował.

Dopiła kawę, a potem oboje wysiedli, aby pójść i przyjrzeć się kolejnej ofierze – najprawdopodobniej – seryjnego mordercy, którego pragnęli schwytać. Chociaż znów dokonano mordu w inny sposób, u wszystkich zaangażowanych w tę sprawę dało się wyczuć pewność, dosłownie

kompletne przekonanie, że to skurwiel, którego szukają.

W obszernym, naprawdę ładnym i nowoczesnym lokum, na mocnym łańcuchu, na którym wcześniej wisiał zwałisty kwiat, teraz głową do błyszczącej podłogi zwisała martwa, naga kobieta. Miała kasztanowe włosy, wąskie biodra, starannie wydepilowane nogi i okolice intymne. Była całkiem urodziwa. Pod nią widniała ogromna kałuża krwi, która popłynęła tam z jej rozprutego gardła, niczym posoka z zarzynanej świni. Zresztą, tak to wyglądało, jak egzekucja zwierzęcia: ułożenie ciała sprawiło, że cała krew dosłownie spłynęła z ciała dziewczyny.

Łukasz szybko ogarnął sytuację. Znowu nie zostawił żadnych śladów, zabrał knebel, który z pewnością jej założył. Ale do tego zabójstwa potrzebował zapewne tylko skalpela, maczety albo noża z cienkim ostrzem. Ofiara po raz kolejny zostawiona naga, a przecież tym razem nie musiał tego robić. Ekshibicjonizmem dzieła pragnął pogłębić wrażenie dokonanej makabry.

Jeśli odbył z nią stosunek, to na pewno założył kondom. Na sto procent stał też wszelkie odciski palców z jej ciała, pewnie tak jak poprzednio pozbył się też swoich śladów biologicznych, bo do tej pory mamy tylko jego DNA spod paznokci Katarzyny Szymańskiej... Zaraz, zaraz! Tutaj muszą być kamery, taka ulica – niemożliwe, że nie ma monitoringu.

– Centrala już przejrzała kamery, nic nie ma – powiedziała Edyta, odkładając komórkę. Działo się to już po tym, jak skończyli rozmawiać z sąsiadami (wśród których kolejno znajdowali się: średniej klasy piłkarz, były pracownik administracyjny WSI^[1], syn sławnej piosenkarki i otyły dziennikarz sportowy; w jednej hacjendzie nikogo nie zastali).

– Jak to możliwe? – spytał.

Zaczął rozpaczliwie szukać rozwiązania, odpowiedzi. Edyta szła za nim, kiedy obchodził w tę i w tę budynek. Zatrzymali się przy wąskim, tylnym wyjściu ewakuacyjnym.

– Myślisz? – rzekła, gapiąc się bezsilnie w drzwi i okolice.

– Monitoring miejski obejmuje front budynku. Tutaj, gdzie jest parking, a pod tym wzniesieniem droga – zwawo gestykulował – nic go nie uchwyciło. Znow podszedł tak, jak chciał. Powiedział jej, że chłodna noc, dlatego ma rękawiczki, bo nie wierzę, żeby jakiegokolwiek z odcisków na klamce od tych drzwi należały do niego.

– Ale to oznacza, że bardzo dobrze znał tę dziewczynę...

– Tak jak pozostałe. To nie jest zwykły psychopata, tylko perfekcjonista... dłużej przygotowywał się do zbrodni, bo musiał szerzej popracować nad ofiarą.

– Jej nazwisko nie pomoże nam w śledztwie. Będą jeszcze większe naciski.

– Jakie nazwisko? – zdziwił się Łukasz.

– Karłowska. To córka wiceprezydenta. Nie wiedziałeś? Nawet ja wiedziałam.

– No, to oznacza, że musimy dogłębnie przyjrzeć się temu całemu bajzłowi politycznemu, w którym brał udział jej ojciec. Wiadomo też, że standardowo trzeba prześwietlić całe jej otoczenie. Gdzieś ją poznał, w jakichś miejscach musieli się spotykać, skoro nie tutaj, jak twierdzą sąsiedzi.

– Co sądzisz o sposobie morderstwa?

– Na starcie przekaz profilerowi^[2], żeby nam nie wymyślał bredni o judaistycznym mordzie rytualnym.

– Klei się nam już jakiś schemat... na przykład znów dom ofiary.

– Musi zabijać w ich mieszkaniach, żeby pokazywać, jaki jest cwany. Musi być sadystyczny. Ćwiartowanie, skalp, zarzynanie kobiet jak świń... Okrucieństwo jest jego wymogiem co do swojej serii... Chuj wie, jaki mu jeszcze pomysł przyjdzie do głowy, żeby utrzymać ten poziom.

– Jak ekipa skończy, to przejrzymy kwadrat. Zadzwonię do kogoś, żeby zabrał do fabryki peceta i inne sprzęty elektroniczne. Potem rodzina, znajomi i tak dalej.

– Taa... Cały czas nurtuje mnie, jak on się z nimi komunikował, skoro nie telefonicznie i nie przez Internet. Poznawał je, wiadomo, gdzieś, ale potem co? Znów czał się na nie w jakichś miejscach, inicjował niby przypadkowe spotkanie czy może puszczał ściemę, że nie ma komórki...? Dobra... jak najszybciej trzeba odtworzyć jej ostatnie godziny życia.

– Trzeba uważać na media. Żeby tylko nie złapały tematu, bo może być sajgon – odparła, po czym zmieniła temat: – Będziemy coś kombinować w sprawie Jacka?

– To nie nasze śledztwo. Maradona i Ceboś w tym grzebią. Poza tym zaraz do nas dojdzie Abwera, bo przy takim zabójstwie wchodzi z automatu. Będą nas wypytywać i przeglądać kwity. Lepiej, żebyśmy nie chwalili się, że brniemy w tę sprawę – starał się być głosem rozsądku.

– Maradona sam nic nie zdołała, a cwele z Cebosia nawet tego nie ruszą – kontrargumentowała.

– Dzisiaj mam spotkanie z bratem Gawędziarza, pamiętasz go? Ostatnio mi celnie strzelał z ucha^[3] – zakończył temat, trochę uspokajając Edytę.

I co, gnoju? Miałeś ochotę na trzecią dupeczkę, co?

Przyjaciółka, która znalazła ciało Martynty, po zażyciu ogromnej ilości substancji uspokajających i po tym, jak znalazła się w swoim ciepłym, rodzinnym domu, opowiedziała im kilka słów o córce wiceprezydenta. Martyna była studentką prawa, ponoć zdolną, lecz delikatnie przepychaną dalej przez profesorów przy zaliczeniach z racji nazwiska. Mieszkanie wynajmowali jej rodzice, to oni zajmowali się również utrzymaniem dorosłego dziecka, Martyna jednak od czasu do czasu podejmowała się dorywczej pracy, aby – jak to określała – poznać prawdziwą stronę życia. Bo Martyna Karłowska miała dobrze poukładane w głowie. Twierdziła, że prawdziwe życie to nie są bankiety dla pingwinów-karierowiczów, randki z bogatymi amantami czy hobbystyczne studiowanie kierunku, który nie zapewnia przyszłości. Cały czas powtarzała, że życie to zwykłe problemy zwykłych ludzi. Mimo dostatniego poziomu bytu nie fruwała nad ziemią. Nie zapominała o rodzinie, szkolnych znajomościach czy o pomocy biednym. Uważała, iż należy pomagać bez względu na to, czy na przykład tarapaty potrzebujących są przyczyną ich głupoty – bo nie wszyscy zostali obdarowani wystarczającą ilością oleju w głowie, co nie oznacza, że trzeba ich skazywać na wyginięcie, bo przecież każdy po coś istnieje na tym świecie. Poza tym każda trudna sytuacja wynika z indywidualnego związku przyczynowo-skutkowego. Gdyby to Martyna znalazła się w ogromnych kłopotach – również modliłaby się o pomoc.

Tomek, jej bliski przyjaciel, a może nawet coś więcej, rozplakał się jak niemowlak na wieść o śmierci Martynty. Był naturalny, nie udawał twardziela, może nawet był osobą przewrażliwioną. Głównie powtarzał to, co usłyszeli od poprzedniej rozmówczynie, oczywiście dodawał, że Martyna nie miała żadnych wrogów.

Każdy kolejny człowiek z otoczenia Karłowskiej mówił mniej więcej te same frazesy, uzupełniając wiedzę o Martynie detalami, choćby takimi, jak to, że po cichu pracowała nad swoją pierwszą książką, albo że troszkę za bardzo ciągnęło ją do socjalizmu ekonomiczno-społecznego.

To wszystko tak naprawdę nie miało dla nich znaczenia, bo Łukasz i Edyta chcieli usłyszeć co nieco o facecie, z którym Martyna od niedawna się spotykała – lecz takiej informacji nie podał im nikt, wprawiając ich w nie lada zdziwienie.

Na szczęście „uspokoił” ich Zdzisław Karłowski, czyli sam prominentny polityk. Wielce wstrząśnięty tragiczną wiadomością, długo nie mógł się opanować. Przyjął ich w swoim biurze, po otrzymaniu smutnej informacji odwołał wszystkie spotkania i zażądał świętego spokoju. Niezmiernie się rozczulał, opowiadając o Martynie. Biła z niego autentyczność, kiedy mówił, iż córka była jego jedynym dzieckiem, że tak długo się z żoną o nią starali. Wszystko to jednak nie przykryło chamskiej twarzy ewidentnego buca, co od razu wykrył Łukasz. Karłowski miał opasy brzech, małe, zadbane dłonie i elegancki garnitur szyty na miarę. To dziwne, ale nawet w takiej sytuacji wypływała od niego pycha, nawet minimalnie dostrzegalna w momencie prawdziwego żalu, co stanowiło doprawdy mistyczny paradoks. Tak czy owak, dowiedzieli się o tajemniczym typie – co ostatecznie potwierdziło, że ich morderca znów dał o sobie znać.

Jak zawsze celowo ujawniał się wśród chociażby jednej osoby z otoczenia ofiary, aby się podpisać. Tak, to był jego podpis – nikt go nie widział, ale ktoś zawsze wiedział, że zamordowana niedawno przed zgonem zawarła nową znajomość.

Martynie Karłowskiej przedstawił się jako Krystian. No to już mieli Oskara, Tobiasza i Krystiana w jednej postaci. Dziewczyna o nowym interesującym mężczyźnie w swoim życiu tylko delikatnie napomknęła ojcu, wcale nie tak dawno. Jedno trzeba było temu mordercy oddać: był piekielnie inteligentny, sprawiał wrażenie, jakby potrafił bawić się każdym człowiekiem wedle swoich zachcianek niczym szmacianą lalką. Jawił się jako geniusz wchodzenia w ludzkie umysły, owijający sobie bystre kobiece mózgi dookoła palca.

W Łukasz Krwawy Rzeźnik wywoływał klasyczne odczucia, ale chcąc nie chcąc, zaczął mu też imponować.

[1] WSI – Wojskowe Służby Informacyjne.

[2] Profiler – kryminolog lub psycholog policyjny ustalający profil psychologiczny sprawcy.

[3] Strzelać z ucha – przekazywać informację na temat działalności przestępczej w mieście,

pomagać w prowadzeniu śledztwa.

Wieczorem siedział na ławce przed rzeką i czekał na przyjście jednego ze swoich informatorów, niejakiego Mojżesza. Był on bratem złodzieja samochodowego o ksywie Gawędziarz, który wcześniej z nim współpracował.

Gawędziarz z bratem niezłe działał w temacie kradzionych fur, a kiedy wyrobił sobie porządną reputację na „mieście”, stary komuch o kryptonimie Salceson, do którego należało mniej więcej ponad trzydzieści procent nielegalnych interesów w mieście, zaprosił go do współpracy w temacie sprzedaży broni do Trzeciego Świata. Gawędziarz miał cichcem odpalać część przerzucanego przez Polskę towaru do chętnych w kraju nabywców. Kiedy lewe jericho^[1] pojawiło się w obrocie na mieście, sprawą zainteresowała się policja, przez co w konsekwencji Salceson stracił udział przy przrzuceniu broni do miejsc ogarniętych wojnami, miał również na pieńku z mafią niemiecką i rosyjską. To on przez swoją zachłanność popełnił błąd, lecz ktoś musiał zostać ukarany – padło na szefa tego procederu, czyli Gawędziarza. Do jego egzekucji Salceson, słabnący w sile, wykorzystał rozwijający się gang Bestii. I tutaj właśnie dochodzimy do momentu, gdzie Mojżesz, rodzony brachol Gawędziarza, teoretycznie zostaje lojalny wobec „miasta”, lecz w praktyce życzy pozamykania wszystkich gangsterów. Dlatego właśnie chętnie sprzedawał informacje policji – jako stałego uchola zwerbował go właśnie Łukasz.

Mojżesz zjawił się przy rzece, gdy okolica wyraźnie ściemniała i zapanował w niej mniejszy ruch. Był przeciętnej budowy typem o podłużnej twarzy, długich, ciemnobrązowych włosach i gęstej, niezbyt higienicznej brodzie. Miał na sobie białe łachmany, ale na lewej ręce nosił złoty zegarek, a w prawej trzymał kluczyki do nowego mercedesa. Przywitał się kosmatą dłonią z Łukaszem, po czym usiadł koło niego, sapnął i zapatrzył się w rzekę.

Łukasz wyciągnął fajki. Gdy chciał zapalić, powstrzymał go Mojżesz:

– To miejsce publiczne, tutaj nie wolno jarać.

– Dobrze, panie władzo. – Spokojnie schował papierosa do paczki i ukrył ją wraz z zapalniczką.

– Co to za temat? – spytał Mojżesz.

– Mocny. Wczoraj zamordowano policjanta. Wyrok.

– Kto wydał ten wyrok?

– To właśnie chcę wiedzieć.

Niemrawy rowerzysta przejechał obok nich, przyglądając się im uważnie.

– Skąd ja to mogę wiedzieć? U Salcesona nie słyszałem od dawna o egzekucjach.

– Ten glina prowadził śledztwo w sprawie Bestii. Wyřęcał Centralne Biuro, czy coś. Nie puszczał tropu, był świetnym psem. Tacy nie powinni ginąć.

– Ale właśnie tacy giną najczęściej, śmiercią tragiczną – obojętnie potwierdził uchol.

– Ruszyli glinę, a to oznacza, że ten policjant był bardzo blisko dotarcia do góry, która kieruje Bestiami – ton podkomisarza nieco się zaognił.

– To znaczy?

– Tutaj nie chodzi o jakiegoś Salcesona czy innego Golonę. Tym gangiem rządzi ktoś jeszcze większy... – Zbliżył się do Mojżesza i szepnął: – Panowie politycy albo elita biznesowa... Pomyśl. Może nawet kierują nimi anonimowo, mają czyste ręce. A dodatkowa forsa płynie... dragi, kurwy, haracze, tiry, napady i tak dalej... to zawsze solidny dodatek do VAT-u i innych wyłudzeń.

– Myślisz...? – delikatnie spytał Mojżesz.

– Takie zwierzęta, spektakularne i siejące strach, to idealne narzędzia do tych spraw. To jak obieg wody w przyrodzie. Każdy ma swoją frajdę i swój procent. Ale najwięcej zgarniają ci, którzy myślą i rządzą stadem napakowanych drapieźników.

– Ta metafora z wodą niezbyt trafiona...

– Chodziło o kasę.

– No dobra. Ale co ja mogę?

– Dużo. Zrób delikatne śledztwo. Chciałbym wiedzieć, kto strzelał do mojego kolegi.

– Po co ci cyngiel?

– Żeby go ukarać za morderstwo. Poza tym oni nie zaryzykowałiby dać takiej roboty amatorowi. Logika w takim przypadku prowadzi do założenia, że strzelali ludzie, którzy mogą głębiej znać temat... Pamiętasz, kto zabił twojego brata?

Jakaś zbłąkana dusza z psem przeszła obok nich.

– Chcesz trafić Bestie?

– Nie może być tak, że grupa matołów terroryzuje miasto, a policja nic z tym nie potrafi zrobić. CBS prowadzi tę sprawę, jakby się poruszało w pierdolonym bagnie. Na monitoringu mamy dwóch typów w aucie – jeden łysy, drugi ze średnimi włosami. Tyle widać. Ten drugi strzelał. Popytasz? – Przeniknął wzrokiem Mojżesza.

Informator ze trzy minuty się zastanawiał, po czym podrzucił kluczyki w powietrze, a gdy je złapał, odparł:

– Okej. Pojutrze o tej samej porze. Niech będzie na tej łódce – wskazał palcem przycumowaną łódź, na której widniał szyld restauracji.

– Czekał, tak nawiasem mówiąc, mam jeszcze jedno pytanie. Znasz kogoś z miasta o pseudonimie *Krokodyl*? – zatrzymał tym zdaniem uchola.

– Chyba tak – Mojżesz próbował opanować uśmiech.

– Słyszałem, że ktoś chce go odjechać...

– Nie dziwię się. Pogryzł własnego pana.

– Słucham?

– Na tego kogoś mówią Konar?

– Nie wiem. Łysa góra mięsa.

– To na pewno on. Krokodyl to rottweiler Konara. – Teraz już wybuchnął krótkim śmiechem. – Nara.

– No, cześć. – W tym momencie już pozwolił odejść Mojżeszowi.

Chwilę później dostał esemesa od Edyty. Na raport z sekcji zwłok Martyny Karłowskiej mieli się udać do syberii^[2].

^[1] Jericho – broń palna, sprzęt wojenny.

^[2] Syberia – zakład medycyny sądowej.

Martyna Karłowska leżała na prosektoryjnym stole, przykryta świecąc zieloną płachtą aż po początek piersi. Miała bliznę po poderżnięciu gardła, na całej długości szyi pod twarzą oraz niżej – tam widniały ślady po badaniach zwłok.

Sekcji nie przeprowadzał Ptak, tylko Justyna Brede – kobieta po czterdziestce, ale jakże intensywna! Tylko w pracy zamieniała się w chłodną formalistkę, prywatnie było to zwierzę: szczypta diablity, trochę anioła, oczy ogniste, włosy zadziorne, a ciało stworzone do pobudzania zmysłów. Wszyscy wiedzieli, że jest samotna, ale wszyscy też dobrze wiedzieli, że po robocie ta kocica lubi walnąć w gaźnik, pójść na całość na parkiecie czy wylądować w męskiej toalecie jakiegoś klubu z o połowę młodszym kolesiem.

Teraz jednak była w robocie, czyli jej dzikość została uśpiona. Zaczęła składać Łukaszowi i Edycie sprawozdanie. Łukasz czuł od niej ostry zapach, chyba coś na wzór agrestu. Ciekawie przyglądała się mu pomocnica laboratoryjna Justyny, filigranowa blondyneczka z porządnym cymem.

– Kobieta, przedział wiekowy dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, pięćdziesiąt cztery kilogramy wagi. Nieznaczna kifoza piersiowa. Pełne uzębienie, widać że korzystała z protetyki na wysokim poziomie – mówiła Justyna niczym automat. – Żadnych zmian chorobowych. Blizna po wycięciu wyrostka robaczkowego i przy kolanie lewej nogi, ślad po skaleczeniu na serdecznym palcu prawej ręki, znamię na lewej łopacie. Zgon nastąpił pomiędzy dwudziestą trzecią dnia wczorajszego a czwartą rano dzisiejszego. Przyczyna zejścia: upływ krwi. W żołądku znalazłam śladowe ilości alkoholu. Odbyła stosunek przed śmiercią, ale nie znalazłam żadnych śladów nasienia. Tak jak już pewnie wiecie, na ciele nie odkryto odcisków palców.

– Tak jak w mieszkaniu, do tego ani pół włoska – dorzuciła Edyta.

– Próbuujemy ustalić, czym pozbywa się tych śladów.

– To był precyzyjny mord? – spytał Łukasz.

– Oczywiście. Cięcie od lewej tętnicy szyjnej do prawej, bardzo cienkie ostrze, bo rana była bardzo głęboka. Pozycja, w jakiej celowo postawiono ofiarę, spowodowała prawie doszczętny upływ krwi.

Obok blond asystentki Justyny pojawił się Niewyraźny. Miał inne oblicze niż ostatnio.

– I co? – Zbliżył się ospale do nich, patrząc na Łukasza. – Mówiłem. – Spojrzał na martwą Karłowską. – Zabieram się za czwartą cipeczkę.

– Łukasz! – usłyszał nagle głos Edyty, która wyswobodziła go z dziwnego letargu. – Co się stało?

Justyna przyglądała się mu ze zdziwieniem, ale i z zainteresowaniem.

– Nic – uciał szybko. – Zamyśliłem się. – Chwilka ciszy. – Możemy przyjąć, że to nasz seryjniak, tak? – zwrócił się do Justyny.

– U wszystkich trzech ofiar trudno znaleźć cechy dystynktywne popełnionego morderstwa, które by nam to potwierdziły w stu procentach. Ale – ściągnęła długie, gumowe rękawice i podała je asystentce – wszyscy dobrze wiemy, kto za tym stoi...

– Nie sposób założyć, że to naśladowca, bo żadna wiedza operacyjna nie wyciekła do mediów – powiedział Łukasz.

– No właśnie... – to Edyta.

Justyna zasłoniła twarz Martyny Karłowskiej.

Łukasz dokładnie przyjrzał się partnerce.

– W necie pojawiła się mała wzmianka... Byleby nie pociągnęli tematu dalej i nie drążyli. Dopóki duże portale czy gazety nie złapią sprawy, może jakoś to ucichnie.

– Będzie to niełatwe ze względu na jej ojca – skomentowała Justyna.

– Profiler powiedział, że skala perwersji Rzeźnika będzie rosła – odpowiedziała Edyta. – Pomysłowość również. To jego osobista mapa spełnienia seksualnego, lista podświadomych żądz zakazanych, czy coś takiego.

Łukasz głęboko spojrzał w nieziemskie oczy Justyny.

– A my dalej nic nie mamy.

Pomiędzy nimi dało się wyczuć nutkę pikanterii, co chyba wzbudzało cząstkę zazdrości u Edyty.

W środku nocy obudził go telefon z fabryki. Ospale odebrał połączenie. Przed snem wypił cztery piwa, ale nie zażył niczego mocniejszego. Na szczęście, bo inaczej byłyby kłopoty. Nakazano mu kopnąć się z Edytą po nowe zwłoki, znalezione gdzieś na kompletnym wygwizdowie, podobno topielec w stawie. Łukasz niezbyt uprzejmie zapytał, dlaczego to oni mają tam jechać, ale odpowiedź była oczywista: polecenie z góry, bez dyskusji. Padło na nich.

Przyjechała po niego Edyta, która zabrała auto z firmy. Jechali za miasto w akompaniamencie cudownej ciszy, podróż ciągnęła się długo i była skomplikowana – wspierali się nawigacją, inaczej pewnie nie dotarliby na ten koniec świata. Na miejscu pomógł im miejscowy patrol – takim sposobem znaleźli się za ogromnym lasem, przy równie rozlazłym stawie. Było wilgotno, trochę chłodno, padający wcześniej deszcz znacznie podniósł poziom wody w zbiorniku. Kiedy wysiadali z samochodu, by przyjrzeć się wyłowionym zwłokom, przy których stał drugi niebieski z radiowozu, zegar wskazywał kilka minut po czwartej nad ranem. Łukasz spojrzał na cholernie ubłocone opony auta, którym przyjechali – o ile większość dróżki w to miejsce była pokryta solidnym kruszywem, tak końcówka diabelsko zapaskudziła im brykę.

Przeszli spory kawałek do zwłok, rzeczowo rozmawiając z policjantem, który ich doprowadził na miejsce – aspirant Zaraza, pulchny, miał krótkie włosy i autentyczny strach w oczach. Tłumaczył, że to jego pierwszy trup. Drugi mundurowy, który jarał fajkę koło ciała, był spokojniejszy, jakby przytłumiony.

Gdy zbliżyli się do ciała, poczuli zapach stawu, zdechłych ryb i ozonu po burzy. Trupi smród zbytnio nie dokuczał, bo był zamaskowany przez inne wonie, oraz – zdawało się wręcz – mrok nocy.

To było ciało dziewczyny, najwyżej piętnasto-, szesnastoletniej. Blade,

oślizgłe od przebywania w wodzie. Była ubrana, z prawej tylnej części głowy można było dostrzec ślad po uderzeniu tępym, dość dużym narzędziem. Leżała brzuchem do spodu.

– Kto znalazł? – spytała Edyta.

Łukasz delikatnie odwrócił zwłoki na plecy, odruchowo sprawdził przez gumowe rękawiczki puls.

– Albert Zawada, lat pięćdziesiąt sześć...

– Gdzie jest? – przerwała aspirantowi Zarazie.

– W naszym komisariacie. Zawiozłem go tam.

– To wy wyciągnęliście ciało?

– Tak. Pływało blisko brzegu, wzięliśmy taki...

– Nieważne – przerwała mu. – Dlaczego nie wezwaliście karetki?

– Potrafimy dostrzec, jak ktoś jest trupem i nie da już się pomóc – odezwał się wtóry, który skończył palić. – Nawet ten alkoholik Zawada od razu wezwał policję, nie pogotowie.

Łukasz zbliżył się do brzegu, najbliżej jak się dało, i obejrzał błyskiem cały staw.

– Wiemy, kto to? – spytał, nie zwracając się konkretnie do nikogo.

– Zawada twierdzi, że wie. Marcelina Wałach, mieszkała na początku lasku. Zaprowadzimy was tam.

Edyta telefonem zrobiła zdjęcie twarzy martwej dziewczyny, w momencie pstryknięcia fotografii w ciemności zaświeciła lampa błyskowa.

– Co ten pijak robił tutaj w środku nocy? – zapytała mundurowych.

– Chyba zabłądził... – parsknął Zaraza.

– Możliwe, o ile zabłądzenie w tym przypadku to eufemizm do zabójstwa młodej dziewczyny – skomentował Łukasz.

– Taki przypadek – dodał drugi.

– My, zabójcy^[1], nie wierzymy w przypadki. Musimy do niego pojechać – zwrócił się do Edyty. – Wy – skierował wzrok na dwóch niebieskich – nie macie innego wyjścia, musicie czekać na ekipę i patologa. Przyjedzie też nurek, trzeba przejrzeć staw. Weźcie numer od komisarz Nornickiej, informujcie nas na bieżąco. Poczujecie się jak prawdziwe gliny.

– Czyli do pana Alberta? – zapytała Edyta.

– Tak. – Łukasz zbliżył się do aspiranta Zarazy i rzucił do niego:

– Podaj mi najprecyzyjniej, gdzie jest ta wasza fabryczka. Jakie to

miasteczko, dokładnie dokąd mam jechać, zakręty i tak dalej.

Ten budynek policji był nieduży, wybudowany z dość nowej cegły, co wskazywało, że miał najwyżej kilka lat. Ładna, kremowa elewacja i równie efektowny, ciemniejszy dach trochę gryzły się z czerwoną tabliczką oficjalnie określającą, jaką funkcję spełnia to miejsce.

Albert Zawada, niedbale ogolony, krępy facet z ogorzałą twarzą, siedział w malutkim pokoju z drewnianymi, niezniszczonymi krzesłami i stołem w tym samym stylu. Zawada może nie potrzebował natychmiastowej wizyty w izbie wytrzeźwień, ale z pewnością był solidnie zmiękczonego alkoholem, co chyba pozwalało zachować mu względny spokój.

Łukasz i Edyta nie chcieli asysty, sami udali się z nim porozmawiać. Usiedli naprzeciw niego, Edyta przedstawiła ich szybko i bez zbędnych ceregieli.

– Boże jedyny, do końca życia nie zapomnę tego widoku – powiedział Zawada, po czym przeraźliwie sapnął.

Łukasz przeważnie prędko orientował się, czy przesłuchiwany jest winny. Rzadko kiedy myliło go przekonanie, że ten a ten zabił albo nie zabił. W fabryce pod tym względem był niekwestionowanym mistrzem, a w środowisku coraz częściej obrastał przez to legendą.

Zawada opowiedział wszystko raz jeszcze. Twierdził, że trochę wypił, zaplątał się w drodze z wiejskiego baru i dotarł tam, dokąd dotarł. Mówił o tym, jak z trudem wykręcał numer alarmowy i w panice czekał na pomoc.

– Dlaczego wezwałeś policję, a nie pogotowie? – zapytał Łukasz, zapalając fajkę – długo przed tym się wzbraniał, lecz nie wytrzymał.

– To pierwszy numer, jaki w tym amoku przyszedł mi do głowy. O co wam chodzi? Przecież ona nie żyła!

– Skąd to wiedziałeś? Próbowaleś ją wyłowić? – ciągnął oficer.

– Woda była zimna, a ja wypilem. Przecież widziałbym, jakby dawała znaki życia!

– Zapytam wprost – wtrąciła się Edyta – zabiłeś tę dziewczynę?

– Co?! Co ty kurwa mówisz, kobieto?! Ja?!

– Dziewczyna tam spacerowała, a ty lałeś pijany – kontynuował Łukasz. – Przesadziłeś i walnąłeś ją kamieniem w łeb... Niezła dupa, nie? Podobają ci się takie młode suczki? – cały czas przenikał wzrokiem Zawadę, a pytania zadawał jakby twierdząco.

– Wrzuciłeś ją do stawu i uciekłeś... – to Edyta. – Ale kąsało cię

sumienie, więc wróciłeś z powrotem nocą i zrobiłeś tę całą szopkę.

– Jezus Maria, nie!!! Nie zrobiłem tego. Musicie mi uwierzyć!

Łukasz wstał i wyszedł z pokoju. Już był pewny, że Albert Zawada nie zamordował tej dziewczyny. Nikt nigdy nie dowiedział się, skąd miał tę pewność. Nawet on do końca tego nie wiedział. Wielokrotnie bał się zaglądać do niezbadanych obszarów swojego umysłu. Obawiał się, co tam znajdzie.

Edyta jeszcze chwilę gadała z Zawadą, po czym przez moment rozmawiała przez telefon i podeszła do kolegi. Miała dziwną twarz – jej obraz był czymś pomiędzy frustracją a niepewnością. Niepewność ta nie dotyczyła jednak Zawady.

– Dzwonił ten... aspirant Zaraza – powoli cedziła słowa, robiąc głuche przerwy. – Niedaleko miejsca, gdzie znaleziono tę dziewczynę, wypłynęło kolejne ciało. Też dziewczynka, młodsza. Nurek przepłynął więc brzeg...

– No i...? – dopytywał Łukasz.

– Znaleźli jeszcze dwoje zwłok, na całej linii brzegowej. Chłopczyk i małe dziecko, niemowlę... Łukasz, mamy już cztery trupy.

Przyjechali nad staw najszybciej jak się dało. Na ciemnej płachcie, pod naprędcie zmontowanym, prowizorycznym zadaszeniem, leżały cztery ciała, jedno obok drugiego. Fotograf robił ich dokumentację aparatem z długim obiektywem. Technicy niemrawo, z racji nieznośnej mżawki, przeczesywali teren obok brzegu. Nurek siedział z tyłu dużego policyjnego samochodu, ponieważ przerwał penetrowanie dna ze względu na deszcz.

Łukasz i Edyta przyjrzeni się zwłokom. Obok nich stał aspirant Zaraza.

Czworo dzieci. Dziewczyna, która wypłynęła pierwsza. Druga, młodsza, z tak rozwaloną głową, że nie było widać jej czoła, tylko zdeformowaną kość czaszki. Chłopiec, może dziewięć, góra dziesięć lat, bez widocznych uszkodzeń ciała. Prawie łyse niemowlę, z kilkoma włoskami, w szarym, zanieczyszczonym glonami ubranku. Wszystkie dzieci blade jak ściana, z sinymi wargami. Gradacyjnie leżące obok siebie, wyglądały jak orszak witający umierającego. Bezwładne, cuchnące stawią wodą, bez życia.

Edyta oddaliła się od widoku czworga martwych dzieci. Ciężko oddychała, patrząc w otchłań lasu.

Łukasz założył rękawiczki, delikatnie przejrzał wyłowiony z wody plecaczek, który widniał przy trupach. Z istotnych rzeczy znalazł tam szkolną legitymację, zanadto niezniszczoną, dzięki ochronnemu etui.

– Karolina Wałach. Urodzona dwanaście lat temu – powiedziała, oglądając dokument.

W tej sytuacji nie trudno było już ustalić miejscowym policjantom, że zabite dzieci to najprawdopodobniej czwórka potomków Kazimierzy i Norberta Wałachów.

Kolejnym krokiem komisarzy była więc wizyta u państwa Wałachów. Łukasz był pewien, że u rodziców znajdzie odpowiedź, inaczej być nie mogło, nie w tej sytuacji.

Od Zarazy dowiedzieli się, że to dość trudna rodzina, a głównym jej problemem jest głęboki alkoholizm głowy rodu i permanentne bezrobocie opiekunki ogniska domowego.

Łukasz zabrał do auta Edytę, która utkwiała w zamroczeniu, nie mogąc się wziąć w garść. Pojechali za radiowozem, Zaraza pokierował ich do domu zamordowanych dzieci. Na miejscu makabrycznego odkrycia zostawili ekipę, która czekała na wsparcie, aby choć trochę skrócić ten skomplikowany i pracowity dla nich poranek.

Wałachowie mieszkali na początku lasu, ale już w zaciszu, jakby na hermetycznie zamkniętym terenie. Ich dom nie był zadbany, nie chodziło nawet o to, że nie mieli pieniędzy na renowację – po prostu nikt nawet nie dbał o ten budynek, zresztą jak i o jego otoczenie.

Pod ciemnobrązowe drzwi ze srebrną kołatką dotarli z eskortą masywnego, ale niegroźnego psa i pod czujną obserwacją bladoruskiego kota. Było ich troje: Edyta, Łukasz i aspirant Zaraza. Na błocie przed wejściem solidnie umorusali sobie buty, jednak w sytuacji, w jakiej się znaleźli, nikt nie zwracał na to uwagi.

Wrota otworzyła ciemnowłosa, blada kobieta o obojętnym wyrazie twarzy. W dłoni trzymała własnoręcznie szytą chusteczkę.

– Tak? – załamał się jej głos.

– Dzień dobry, pani Wałach – powiedział Zaraza.

– Znależliście ich? – zapytała Kazimiera Wałach.

Wszyscy troje nie wiedzieli, jak zacząć. Milczeli przed wejściem.

– Wczoraj mój mąż zabrał dzieci na spacer. Długo nie wracali, więc wezwałam policję.

Zaraza wyraźnie się zdziwił.

– Pani Kazimiero... – aspirant nie potrafił z siebie tego wydusić.

– Możemy wejść? – rzekła Edyta. – My z kolegą – kiwnęła głową na

Łukasza – też jesteśmy policjantami. – Pokazała szybko swoją blachę.

Wałachowa wpuściła ich, smarkając w chusteczkę. Do domu wszedł również pies, cały wysmarowany błotem, jakby się w nim tarzał.

W tym mieszkaniu pachniało chłodną nieświeżością, podłogi były stare, zresztą podobnie jak wszystko inne. Ściany wymalowane farbą klejową, komputer z monitorem z tak zwaną dupą, stary piecyk w kuchni, drewniane okna. Ogółem: bieda. Bieda, którą Łukasz dobrze znał.

– Odnależliście ich, tak? On pewnie się opił i gdzieś zasnął, a Marcelinka, Karolinka, Marcinek i Ania po prostu tam zostały, tak? – pytała matka, siadając na wiklinowym krześle.

Łukasz, Edyta i Zaraza stali niedaleko niej.

– Ania musi być głodna... – patrzyła na nich z nieznaną, jakby nieodkrytą nadzieją. – Muszę ją przebrać.

– Pani dzieci nie żyją – wypalił Łukasz. – Ktoś je zamordował, znaleźliśmy je w stawie za lasem.

Kazimiera Wałach zamarła. Cofnęła się i zatrzymała chwilę przed tą wiadomością, i nie chciała jej puścić. Ale nie wytrzymała. Chwila pękła i dotarło do niej to, co się stało.

– Bardzo nam przykro – dodała Edyta.

Łukasz przez moment, maleńkie kilka sekund, poczuł się obrzydliwie względem siebie, ponieważ przez ten krótki czas nie było mu przykro. Czuł, że te cztery młode istoty odeszły ze świata, w którym i tak nie miały przyszłości. Śmierć dla nich była odpuszczeniem cierpień.

Nie, sam w to nie wierzysz. Niczego nie jesteś pewny.

Matka Marcelinki, Karolinki, Marcinka i Ani łkała boleśnie, przeraźliwie, leżąc na podłodze. Łukasz próbował ją podnieść. Na nic, taki stawiała opór. Dopiero po dwudziestu minutach wraz z Zarazą zerwali ją z podłogi i położyli na skrzypiącym łóżku. Edyta przytuliła ją, również płacząc. Szczerze. Zaraza oparł się plecami o ścianę i opadł na podłogę, kuląc się w swym obszernym cieple.

Łukasz wyszedł z domu, za nim poszedł nic nierozumiejący pies. Na schodach wiernie siedział przy nim, obserwując, jak ten pali szluga.

Zaczęło padać, padać okrutnie. I grzmieć. Lało jak z cebra, gdy Edyta wyskoczyła z domu jak burza, nie zwracając uwagi na deszcz. Łukasz wyszedł za nią z zadaszania, pies pozostał pod okryciem.

– Dawaj kluczyki! – ryknęła do niego przy aucie.

Podał jej to, co żądała. Edyta z trudem wyrzuciła z siebie, że Norbert Wałach, co bardzo prawdopodobne, może być u swojego kumpla pijusa, pod numerem sześćdziesiąt cztery. Chyba chciała go bez słowa wyjaśnienia zabić. Nie zastrzelić, tylko rozszarpać.

Kolejna fala deszczu nadeszła z mocniejszymi grzmotami i piorunami.

Dojechali instynktownie do tego domu jakby niesieni zemstą. Był to mały budynek z czerwonej cegły, a obok niego widniała stajnia, gołębnik i pasmo pól uprawnych.

Edyta wyskoczyła z bryki, pognąła do tego domu. Łukasz chwilę później widział, jak wchodzi tam bez słowa wyjaśnienia, wręcz popychając kaleką staruszkę poruszającą się o kuli.

Błyskawicznie przedstawił sytuację tej kobiecie, wyjątkowo, bo zawsze tym się zajmowała Edyta. Gdy dowiedział się, że Wałach rzeczywiście spał w nocy w tym mieszkaniu, po *balandze* z jej *Zbysiem*, popędził do jednego z pokoi.

Niczym szczególnym był tam wredny zapach całonocnych wyziewów alkoholików, kilka butelek wódki i win za pięć złotych, zeschnięte wymiociny koło leżącego na ziemi jednego z mężczyzn, Zbysia, czy nierówno wiszący krzyż nad wejściem. Wyjątkowym było to, że Edyta stała pochylona nad drugim menelem, uderzając go pięściami w policzki. Raz w jeden, raz w drugi. Przeklinała przy tym paskudnie.

Łukasz odciągnął ją od prawie niebędącego w stanie się bronić Norberta Wałacha. Była bardzo wściekła. Kiedy schwycił ją za lewą rękę, zobaczył na jej twarzy grymas fizycznego bólu, więc puścił tam uścisk, ale trzymał ją z drugiej strony.

– On jest najebany, nawet się nie zorientuje, jak mu powiesz, że jego dzieci nie żyją.

– Co?!!! – ryknął Wałach. – Co ty powiedziałaś?

– Zabiłeś je, złamasie! – syknęła Edyta.

– Co?!!!

Do pomieszczenia weszła matka Zbysia. Wałach spadł z łóżka i zaczął przeraźliwie beczeć. Łkał jak bóbr.

– Nie udawaj, kurwo! – Edyta chciała go kopnąć na oślep, Łukasz ją powstrzymał.

Norbert Wałach wydał z siebie serię beznadziejnych zdań, wśród których dominowały słowa: *nie*, *co*, *niemożliwe* i *dlatego*. Zbysiu zbudził

się na chwilę, aby pierdnąć, prawie zwymiotować, i obrócić się na bok.

Łukasz wyciągnął stamtąd Edytę, zdezorientowana matka Zbysia poszła z nimi. Po chwili do przedpokoju przypełznął Wałach, kwiląc niemiłosiernie.

Miał tego dość, więc schwycił Wałacha za fraki, podniósł go i przyparł do ściany.

– Zamordowałeś własne dzieci? – spytał go.

– Pojebało cię?! – odparł przeciągle, cały czas rycząc.

– Biłeś je. A teraz przesadziłeś. Spacer, ciężki kamień i cztery trupy. Marcinek nie umiał pływać, więc go po prostu wrzuciłeś do stawu, tak jak Anię...

– Nie... Nie... – ledwo mówił Wałach, z goryczą w słowach. Był bezwładny, nie stawiał żadnego oporu.

– O co tutaj chodzi? – zapytała matka Zbysia.

– Bo kto inny?! – rzuciła Edyta, ignorując staruszkę. – Logika w tym przypadku jest prosta, więc przestań udawać, bezczelny pijaku!

Wałach nie przestawał ronić łez, płakał coraz ciszej, ale wciąż boleśnie. Łukasz czuł, jakby trzymał kukłę bez tętna.

I wtedy przyszło mu to do głowy. Mina aspiranta Zarazy po tym, jak Kazimiera Wałach mówiła, że dzwoniła na policję.

On ich nie zabił. Wiedział o tym tak samo, jak to, że mordercą czwórki dzieci nie był też Zawada. Nieodkryta część jego umysłu znów się odezwała.

Puścił Wałacha, ten runął na podłogę z niezmierną żalością.

Zaciągnął Edytę na pole i wszystko jej wyjaśnił. Najważniejsze było to, że jeszcze jednej osoby nie spytali, czy zabiła.

Wrócili na posesję Wałachów. Oboje byli już zmęczeni, ale bardzo zdeterminowani.

– Skąd wiesz, że Zawada lub Wałach tego nie zrobili? – spytała, kiedy szli z auta do domu.

– Wiem – uciął krótko.

Kazimiera nadal siedziała na łóżku, kiwając się w sobie tylko znanym rytmie. Zaraza, z grobową miną, siedział obok niej. Gdy w pomieszczeniu zjawili się Łukasz i Edyta, rzekł smętnie:

– Zaraz powinna być karetka. Tutaj nie mają nic na uspokojenie. Co u was?

Edyta wlepiła wzrok w Wałachową i nie spuszczała go z niej ani na

chwilę. Nie potrafiła jednak tego powiedzieć.

– Zabiłaś swoje dzieci? Dlaczego? – rzucił poważnie Łukasz.

Kazimiera przestała się kiwać i spytała, zwracając się do niego:

– O co ci chodzi?

– Ej, co ty mówisz? – oburzył się Zaraza, po czym wstał. Groźnie spoglądał na niego. – Kobieta straciła swoje dzieci, a ty...

– Nie przerywaj mu – odparła aspirantowi Edyta, nie spuszczać wzroku z matki zamordowanych.

– O co wam chodzi? – znowu odezwała się Wałachowa.

– Zawada rzeczywiście trafił tam przez przypadek – kontynuował Łukasz. – Twój mąż chlał z kumplem od wczoraj. I nie zrobił tego.

– Człowieku, czy mam cię kurwa wyrzucić z tego domu? – agresywnie zapytał Zaraza.

Ignorował go, mówił dalej do Kazimieri:

– Mąż alkoholik, życie z marnego zasiłku, cztery gęby do wykarmienia... Ciężko było. Ale teraz będzie już lżej. Lecz musisz jeszcze wyrzucić to z siebie. Wtedy będzie dobrze.

Zbliżył się do kobiety i pogłaskał ją po tłustych włosach.

– Nikt cię nie będzie obwiniał.

Edyta milczała, nie zmieniała pozycji. Zaraza zamarł w bezruchu, nie miał pojęcia, jak teraz zareagować.

Łukasz usiadł obok Kazimieri. Schwycił ją mocno za obie dłonie. W końcu spojrzała mu w oczy.

– Ja cię rozumiem. To nie jest twoja wina. Wybaczam ci. Wszyscy ci wybaczą.

– Jestem w ciąży – wyrzuciła z siebie, jakby pozbywała się stukilowego balastu. – Już nie mam na to siły.

– To był ten impuls? – zerknął na Edytę, ale ona wciąż stała tam, gdzie stała, z identycznym wyrazem twarzy co ostatnio.

Zaraza przykrył dłońmi usta i nos na znak głębokiego szoku.

Wałachowa kiwnęła twierdząco głową.

– Wyrzuć to z siebie. Jestem przy tobie. Będzie lżej. Nie było żadnego spaceru z ojcem... ani wzywania policji, tak?

– Tak.

– Opowiadaj. – Mignięciem twarzy uspokoił Zarazę, Edyta nadal trwała w swym inercyjnym zamroczeniu.

– Nie wiem dlaczego. Ta ciąża... już nie potrafiłam tego udźwignąć.

– To za dużo na jedną osobę – odparł.

– Marcelina wróciła ze szkoły. Powiedziałam jej, że musimy poważnie porozmawiać i najlepsze do takiej dyskusji będzie świeże powietrze. Zabrałam ją za las. Tam spytała mnie w końcu, o co chodzi, i obróciła się w stronę wody. Wzięłam kamień, przeprosiłam i... – Uroniła z siebie dwie suche łzy.

Sucha łza, niezły oksymoron. Jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś zabić swoje dzieci?!

– Kontynuuj – ponaglił ją.

– Wrzuciłam ją do tej wody. Wróciłam do domu. Powiedziałam Karolinie, że zabieram ją na spacer, że pójdziemy tam, dokąd poszła Marcelina. Powiedziała, że na biwak trzeba wziąć kanapki. Zapakowała to do plecaka. Miała straszny wzrok, kiedy... Ten kamień tak okropnie wdarł się w jej skórę...

– A Marcinek?

– Obiecałam mu, że dam im się pobawić przy stawie z Karoliną. Popchnęłam go do wody.

– I Ania...?

– Utopiłam ją przy brzegu. Zawsze robiłam odstępy, czasowe i odległościowe, od jednej, do drugiej...

– Teraz jest źlej?

– Nie.

– Nigdy już nie będzie. – Puścił jej dłonie.

– To dziecko też zabiję. Nie mam siły...

– Urodź, a dopiero potem walnij samobójca. Nie w odwrotnej kolejności, dziecko nie jest niczemu winne.

– Nie powstrzymacie mnie. W więzieniu i tak...

– Tacy jak ty trafiają do wariatkowa.

– Dlaczego?! – zapytała Edyta, głosem zimnym i nienaturalnym.

– Marcelina miała wycieczkę... Karolina potrzebowała nowych butów... Marcinek ciągle chorował... A Ania... bezustannie płakała...

– Ja ci tego pizdo nie daruję – syknęła Edyta.

Potem szybko wyjęła klamkę, odbezpieczyła i wręcz podskoczyła ku morderczyni. Wycelowała walthera w jej usta, chwytając drugą ręką za jej włosy.

Łukasz gwałtownie odsunął ją od Wałachowej, schwycił za rękę i pchnął dalej, po drodze otarli się z Zarazą. Chciała się wyrwać z uścisku. Próbując ją uspokoić, wyrzucił jej walthera z dłoni.

– Żadnej zemsty! Taki mamy zawód.

– Ja ją przytulałam, rozumiesz? Pocięzałam dzieciobójczynię!

– To piekielnie trudne, ale potrafisz sobie z tym poradzić. Żadnej zemsty, Edyta.

Trochę się opanowała i wpadła w jego objęcie. Dla Zarazy to wszystko było już za dużo.

Wtedy wyrodna matka parsknęła:

– To dziecko też nie może żyć! – Położyła prawą rękę na brzuchu. – Jak się urodzi, będzie płakać. Ja tego nie wytrzymam.

W pokoju zapanowała głucha, żałosna, okrutna cisza.

^[1] Zabójcy – oficerowie wydziału zabójstw.

Pozostała część weekendu przebiegła spokojnie. Niedzielne spotkanie z Mojżeszem nie przyniosło Łukaszowi żadnych rewelacji. Umówili się ponownie za dwa dni, w tym samym miejscu. Później odbył próbę samobójczą, poprzedzoną delikatnym ćpaniem. Tak łagodnym, że miał tripa^[1] niczym nastolatek, który zjarał skręta z sałatką^[2] z marihuany i tytoniu. Czyli słabiotkiego. Jak dla niego, jeszcze o wiele bardziej słabiotkiego.

Nowy tydzień na swoim początku nie przyniósł nic ciekawego. Przed spotkaniem z Garlicką do pokoju w fabryce, gdzie siedział z Edytą, wtargnęła Wolnicka, srogo wściekła, w obcisłej kiecce. Rzuciła na biurko gazetę codzienną, otwartą na środku. Spoglądając na Łukasza, trochę złagodniała.

W gazecie było napisane, że policja poszukuje seryjnego mordercy, który za ostatnią ofiarę wziął córkę wiceprezydenta miasta, co wielokrotnie powtarzano w tym niewielkim artykule. Ostrzeżono tam też przed wpuszczaniem obcych osób do swoich mieszkań, wzywano policjantów do wzmożonych patroli. Ale konkretów co do Przystojniaka było tyle, co kot napłakał. Śladowe napomknięcie o wyjątkowej brutalności zabójcy, nieznaną liczbą ofiar i raz jeszcze personalia: Martyna Karłowska. Tyle.

– Zamiast szukać osoby, która zabiła troje ludzi, to wy jeździcie po jakichś wiochach – syknęła szefowa.

– W tej wiosce mieliśmy cztery trupy – odparła równie ostro Edyta.

– Bierzcie się do roboty!

– A od czego mamy zacząć?

– Nie wiem, to wy jesteście operacyjni. Działajcie!

– Nie ma śladów, nie ma świadków. Nic – włączył się Łukasz. – Zero tropów. Musimy czekać, aż popełni błąd.

– No właśnie – zawtórowała Edyta.

– Brzytwa, a ty przestań w komendzie wypytywać wszystkich o Wiśniewskiego. Tę sprawę prowadzi CBS.

– Ale tempo mają...

– Wewnętrzni grzebali w kwitach – podjęła znów Wolnicka. – Od nas to Maciek konsultuje sprawę z Biurem.

– Konsultuje?! – zaskoczyła się Edyta. – To my jesteśmy wydział zabójstw, a tam było zabójstwo.

– Owszem, lecz powiązane ze sprawą, którą prowadzi Ceboś.

– Prowadzi... – Edyta parsknęła i odwróciła twarz.

– Koniec dyskusji. Nietzsche, naprawdę musimy czekać na potknięcie naszego mordercy? – naczelniczka zwróciła się do Łukasza.

– Niestety tak. Prędzej czy później znajdzie się świadek, jakiś trop czy mocniejszy ślad... Jak nie do trzech, to do czterech razy sztuka.

– Byle nie do pięciu. A te pismaki skąd wiedzą?

– Na mnie nie patrz – burknęła Edyta. – Ja nie gadam z hienami.

Łukasza nawet nie spytała. On ledwo rozmawiał z ludźmi ze swojej pracy, a co dopiero z dziennikarzami.

– Przeciek od Karłowskiego, na pewno. Może później któryś niebieski ze zdarzeń^[3] im coś napomknął. Nic nie wiedzą – odpowiedział, mimo że nie musiał. Jak na niego, to duży wyczyn.

– Komendant już się niepokoi – dodała Ilona Wolnicka.

Spojrzał na zegarek.

– Ja też, ponieważ od czterech minut jestem spóźniony. Muszę iść.

Takim sposobem wymigał się od kontynuacji tej rozmowy. Lecz ta, która czekała na niego z Garlicką, wcale nie była lżejsza.

[1] Mieć tripa – być w stanie odurzenia narkotykowego.

[2] Sałatka – mieszanka narkotyków lub innych używek.

[3] Niebieski ze zdarzenia – policjant mundurowy pracujący na miejscu znalezienia zwłok.

– Nigdy nie rozmawialiśmy o twoich rodzicach – zniecka podjęła Aneta Garlicka. Miała na sobie ciut nadmierny makijaż, który nie poprawiał jej urody, ale maskował zmęczoną twarz.

– Nie ma o czym – odparł i gestem spytał, czy może zapalić.

Zrobiła minę, która z pewnością nie wyrażała zgody na zadymienie pokoju, i kontynuowała temat:

– Są aż tak nijacy?

I kto to mówi.

– Nie wiem.

– Nie masz z nimi kontaktu?

Schował papierosa do paczki i położył ją przed sobą.

– Nie. Jeśli w ogóle żyją.

– Możesz to rozszerzyć? – zgrabnie udała zainteresowanie.

– Rozszerzyć... – odwrócił wzrok, cmoknął i rzucił: – Zaraz po urodzeniu zostawiono mnie pod sierocińcem, który prowadziły siostry zakonne. W sumie dobrze, że tam, bo słyszałem różne nieciekawe historie z biduli, którymi zajmowali się niekatolicy.

– To przykre.

– Te nieciekawe historie?

– Twoje dzieciństwo. Ktoś cię adoptował?

– Nie. Wychowałem się w kabarecie.

– Smutne – teraz Garlicka wydawała się szczerze rozczulona.

– Łatwo nie było, ale dostawałem duże wsparcie od sióstr. Miałem więc kilka matek, ale żadna nie poświęcała mi tyle czasu, ile przeważnie matki poświęcają dzieciom. Ale mam do nich wielki szacunek, zresztą tak jak do księży i ludzi wierzących... Tak, do osiemnastki regularnie chodziłem na msze w niedziele, modliłem się co rano, spowiadałem się, brałem udział w różnych nabożeństwach.

– To co się później stało z twoją wiarą?

– Dojrzałem.

Dostała esemesa. Szybko go odczytała, nie odpisała. Odkładając telefon na miejsce, zamyślona próbowała wrócić do dyskusji:

– Nie rozumiem...

– Równie dobrze mógłbym wierzyć w drzwi. One też mi nigdy nie odpowiedzą. – Przez kilka sekund drapał się po żebrach.

– Właśnie na tym polega wiara. Nie na pewności, bo wtedy to nie byłaby wiara.

– Masz rację. Lecz ja już w nic nie wierzę, i chyba to się nie zmieni. Niemniej jednak mam nieustający respekt do księży, zakonnic, zakonników, osób świeckich, jak i wszystkich związanych z Bogiem. Gdyby nie te wyśmiewane siostry, pewnie gwałciłyby mnie obleśne, grube baby. Gdyby nie jeden ksiądz, nie zrobiłbym matury i oficerki. Od osiemnastki ostro zapieprzałem fizycznie, ale i tak pomagał mi ten zaprzyjaźniony kapłan. A katolicy, ewangelicy, czy nawet inni protestanci dawali mi chwile radości, kiedy byłem dzieciakiem: prezenty i tak dalej.

Przestał mówić, chyba uznawszy, że to już za dużo.

– Mów dalej, to pasjonujące.

Taa, pasjonująca to jest wiadomość tekstowa, do której chcesz szybko wrócić, a nie słuchać opowieści sieroty.

– Chodź już tam nie chodzę, nie mam problemów ze świątyniami. Nie przeszkadzają mi modlący się tam ludzie czy krzyż w szkole. To taka moja luźna refleksja, że jak się postawi w mieście jakąś tęczę albo inny pomnik wyzwolonej feministki, to nawet jak nikt tego nie rozwali, to długo ten symbol nie przetrwa. A Kościół w Polsce przetrwał zabory, wojny, komunizm i wciąż trwa w tym niby demokratycznym państwie.

Garlickiej najwyraźniej nie spodobała się jego wypowiedź, co wnioskowało po jej wyrazie twarzy, ale szczerze mówiąc, miał to w dupie.

Wstał i rzucił:

– To wszystko, nie? Mogę wyjść?

– Nie – agresywnie zabroniła. – Usiądź – zmieniła ton na fałszywą grzeczność – może w końcu się dowiem, dlaczego zostałeś policjantem.

Usiadł.

– Że niby w bidulu coś mnie drgnęło?

– A niby gdzie...?

– Masz rację. Ale to nie jest opowieść dla słabych psycholożek.

– To miał być atak?

Pomiędzy nimi jakby rozbłysły iskry. Duże, intensywne.

– Nie, po prostu wiem, że jesteś słaba. Ty wciąż wiesz o mnie tylko suche fakty, które umiarkowanie i pod kontrolą ci dawkuje. Ale za nic nie dojdiesz do tego, co jest we mnie, głęboko, bo chyba o to ci chodzi?

– Masz skomplikowaną osobowość... – próbowała zacząć dysputę.

Lecz Łukasz zerwał się już z łańcucha i nie miał dla niej litości.

– No, nie no, proszę cię. – Przewrócił oczami i pokręcił głową. – Co za banał. Nikt nie ma skomplikowanej osobowości, tylko ludzie nie potrafią z siebie czytać.

Garlicka delikatnie się zaśmiała.

– A ty potrafisz?

– Co tydzień dowiaduję się o tobie nowych wieści. Wiem, że wewnątrz jesteś cholernie niedowartościowana, ponieważ stopień twojego poczucia wartości jak oszalały lata w górę i w dół. Zrobiłaś studia, żeby wyrwać się z otoczenia prowincjonalnych charakterów, ale uświadomiłaś sobie, że tak naprawdę ludzie w mieście i na wsi niewiele się różnią. Wcale nie jesteś cierpliwa, na jaką się kreujesz.

Sam nie wiedział, że pójdzie na taką ofensywę. Ale w sumie, czemu nie? Ona nie chciała go poznać, nie była jego sprzymierzeńcem. Po prostu jej nie lubił, po co to tłumaczyć?

Aneta Garlicka zamarła. Z niedowierzaniem słuchała dalej.

– Jesteś sumienna, lubisz wypełniać wszystkie obowiązki, nawet te, które cię wkurzają. Cenisz otwartość, dialog. Najgłębiej w tobie jest jednak nieszczęśliwość, gorycz, żółć. Nie martw się – większość ludzi tak ma. Obstawiam, że zdarza ci się płakać, gdy jesteś sama po całym dniu. Obawiasz się, że zostaniesz samotna przez to, że zostawi cię mąż, a dzieci dorosną i też odejdą. Tak, głęboko w tobie tkwi jeszcze strach. Paranoiczny strach przynoszący ból. – Chwila przerwy. – A z suchych faktów: makijaż nie przykrył zmęczenia spowodowanego nieprzespaną nocą, lecz nocą obfitą w ruchanie – poprawiacie swoje małżeństwo, to pewnie wasz nowy plan do zrealizowania.

Teraz zmieniała się w tępy śłup.

– W zasadzie to strzelam, ale jesteś na tyle wierna ideałom, że nie zdradziłabyś męża, a wasze bliźniaki są od wczoraj na wycieczce,

nietypowej, bo zaczynającej się w niedzielę, ale widziałem, jak tydzień temu podpisywałaś zgody. Dzisiejszy numerek w przerwie w pracy też to potwierdza – wskazał palcem na jej piersi – masz niedbale założony stanik.

Instynktownie zakryła ręką cycki, które przecież były zasłonięte bluzką.

– No, i jeszcze esemes. Pewnie coś w stylu: *Hej, mam ochotę poczuć go między twoimi balonami albo w twoich ustach.* Ukryłaś uśmiech, ale przyjemnie drgnął ci policzek, a twoja późniejsza konsternacja mówiła: *Jeszcze tego nie robiłam, ciekawe, jak to jest, jestem przecież taka liberalna.*

Trafiony, zatopiony. Zapanowała cisza. Długa, nieciekawa, lękliwa.

– Nie przekazywałem ci wcześniej tego, że jesteś otwartą książką, paradoksalnie chciałem cię ochronić. Ale pękłem, sprowokowałaś mnie, a mogłem wyjść. Po prostu cię nie lubię. Na pocieszenie dodam, że mnie nikt nie lubi. Gardzą mną, mają mnie za ścierwo. A ta historia...

– Wyjdź – jęknęła.

– Dobra. – Klepnął się w kolana i wstał. Gdy ruszył ku wyjściu, usłyszał:

– Więc jaka to historia?

Odwrócił się. Z zaciekawieniem spojrzął na Garlicką. Nie patrzyła mu w oczy.

– Wampir z sierocińca. Miałem trzynaście lat. Zadał piętnastolatce szesnaście ciosów nożem kuchennym w brzuch. – Głucho się zaśmiał, przez nos. – Nikt go nie podejrzewał. Dorwałem go na gorącym uczynku, jak chciał zabić kolejną dziewczynę. Wyrwałem mu nóż, powaliłem i skopałem.

Zrobił długą przerwę.

– To był mój najlepszy przyjaciel. Strzelił samobója kilka lat po tym.

– Masz we wszystkim rację – obojętnie odpowiedziała.

– Nie sprawiło mi to satysfakcji. Ale skurwysynem zostałem niedługo po oficerce, i tak mi już zostało, przez tę robotę. – Podeszedł bliżej, dotknął klamki od drzwi. – Jakaś częśćka mnie chciała, żebyś odkryła moje najskrytsze wnętrza. Może byłoby mi trochę lżej. Wystarczyło zrobić mały wywiad środowiskowy, kilka osób wie, jakie wydarzenie mnie zdefiniowało.

Wyszedł.

Nie wiedzieć czemu, Aneta Garlicka poczuła do siebie obrzydzenie.

Śnił o tym, że płynie samochodem po jeziorze czy stawie, kiedy jego komórka złośliwie zawibrowała i bezlitośnie zagrała. W jednej chwili przeniósł się z abstrakcyjnego onirycznego obrazu do rzeczywistości, która w jego przypadku i tak była jedną wielką aberracją.

W rogu ekranu dostrzegł godzinę: nie tak źle, dopiero kilka minut po wpół do północy. Czyżby kolejny śliczny trup nie mógł się doczekać spotkania z podkomisarzem Łukaszem Kowalczykiem? Nie tym razem.

Obcy numer i nieznany damski głos zza słuchawki. Gardłowy, ściszony. Kobieta się przedstawiła, powiedziała, skąd dzwoni, zapytała o jego personalia celem potwierdzenia i wyjaśniła, o co chodzi:

– Dagmara Wróblewska leży u nas w szpitalu. Prosiła, żebyśmy zadzwonili do pana.

– O co chodzi?

– Została zgwałcona... bardzo mi przykro. Nalegała, abym pana wezwała.

Mocno uderzył go fakt o krzywdzie wyrządzonej prostytutce.

– Coś zagraża jej życiu?

– Jest w poważnym stanie, przeszła zabieg, ale z pewnością czekają ją kolejne. Ma ciężkie uszkodzenia ciała, lecz jej życiu nic nie zagraża.

Kamień z serca.

– Dobrze. Będę tam niebawem.

Ekspresowo się zebrał i gnał przez uśpione ulice do szpitala.

Na korytarzu, na oddziale, w którym przebywała Dagmara, natychmiast zaczepiła go pielęgniarka, młoda, płowowłosa kruszynka.

– Tak? – zapytała, patrząc na niespokojnego Łukasza.

– Dagmara Wróblewska, jestem jej... przyjacielem. Prosiła, żebym przyjechał.

– To ten pokój – wskazała dłonią pobliskie drzwi.

Wnet pod nie podszedł, spojrzął przez szybę obok na śpiącą Dagmarę, podłączoną do aparatury wspomagającej oddychanie. Miała zabandażowaną część głowy, opatrunek na prawym oku. Leżała na brzuchu, oparta o lewy policzek, na trzech poduszkach.

– Gdzie jest lekarz, z którym mogę porozmawiać? – zapytał pielęgniarkę, która wciąż stała tam, gdzie pierwszy raz do niego się odezwała.

– Ale pan nie jest z rodziny...

Wyciągnął szmatę, migiem okazał ją płowowłosej kobiecie.

– Jestem z policji. I właśnie oficjalnie wszczynam śledztwo w tej sprawie. Doskonale pani wie, że aktualnie dochodzenie w sprawach o gwałt wszczyna się z urzędu.

Nikt nie mógł mu przeszkodzić. Był zdeterminowany, rozłoszczony i przekonujący. Tej nocy chyba każdego zmusiłby do mówienia prawdy.

Doktor, z którym zamienił kilka zdań, siedział w seledynowym pokoju, pił kawę i ciął w pasjansa na komputerze. W pomieszczeniu było niezbyt jasno, atmosfera tam panująca prawie idealnie nadawała się do spania. W momencie, gdy wszedł Łukasz, lekarz musiał błyskawicznie oderwać wzrok od ekranu peceta i bezzwłocznie z nim pogadać. Po prostu musiał.

– Tak, powiem panu szczerze, to wyjątkowo ohydna sprawa. Dawno nie spotkałem się z taką brutalnością względem kobiety... możliwe, że nawet nigdy.

– Sprawca był jeden? – spytał Łukasz.

– Trudno to określić.

– Proszę powiedzieć, co jej zrobiono.

– Bestialski, wielokrotny gwałt w odbytu. Musieliśmy natychmiast zrobić zabieg, aby nie doszło do komplikacji, zakażeń i tak dalej. Ale drogi rodne również były uszkodzone. – Lekarz miał prawdziwy, smutny wyraz twarzy. – Oddycha samodzielnie, ale z trudnościami, więc na razie pomagamy jej maską tlenową. Była duszona. Nie wiadomo, czy będzie widzieć na prawe oko, ma pęknięte żebro, wybite dwa zęby. Czekamy na wyniki badań na obecność HIV.

Nie mógł tego słuchać.

– Powiedziała coś?

– Tylko tyle, żeby pana wezwać. W komórce miała pana numer, cały czas to powtarzała.

– Gdzie ją znaleziono?

Doktor odpowiedział, że nie wie dokładnie, w którym miejscu, ale niedaleko przystanku autobusowego na krańcu miasta. Dodał też, że do tej pory nikt z policji nie przyszedł, choć była wzywana.

Łukasz, idąc do Dagmary, nie wiedział co jej powiedzieć, co zrobić.

Lecz kiedy usiadł przy niej i zobaczył ją budzącą się, już był pewien, co musi zrobić.

Pogłaskał ją po policzku. Delikatnie, wyjątkowo łagodnie, jakby dotykał niemowlęcia. Z jej oka, tego niezakrytego, popłynęła łza. Wytarł ją.

– Nie mogę się obrócić na plecy... Boli... Przepraszam – mówiła głosem wyrzuconym w otchłań. Nie tylko dlatego, że miała uraz krtani.

– Nie masz za co przepraszać. Jestem tutaj... i będę cały czas. Jak długo chcesz.

– Dlaczego mnie to spotkało?

Nie potrafił odpowiedzieć.

– Muszę wiedzieć... czy on był jeden...

– Nie. Czterech. Mówili, że zasmakuję Bestii.

– Dobrze – uciał, widząc, w jaki sposób, z jakim bólem i trudnością, mówi na ten temat. – Nie musimy dzisiaj o tym rozmawiać.

Poleciały kolejne łzy.

Łukasz jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu co począć.

– Znajdę ich... i zabiję. Nie będziesz się musiała niczym martwić.

– Zrobisz to... dla mnie?

– Tak.

Nie kłamał. Wiedział, że te skurwysyny nie mogą chodzić po ziemi. To jedyna kara, która ma sens.

Schwycił ją za rękę. I trzymał.

Bardzo długo.

Wiadomym było, że nie chciała o tym opowiadać. Śledztwo trzeba było więc opóźnić, jedyny trop był taki, że za gwałt odpowiedzialni są członkowie gangu Bestii. To był dla niego kolejny powód, by porządnie wziąć się za tę grupę.

Z rana załatwił jej ochronę w postaci mundurowego z fabryki. Sam za to musiał jechać do komendy, jednak ostrzegł niebieskiego, że jeśli spuści oko z Dagmary, to do emerytury będzie odbywał wyłącznie piesze patrole.

Nie powiedział o tym wszystkim Edycie. Poranek zleciał im na robocie papierkowej, jak zawsze w subtelnym milczeniu. W pewnym momencie do pokoju wszedł zmachany Maradona, z gazetą w ręku.

– Trafiliśmy nawet na okładkę. Mała rubryka, ale jedyńska to jedyńska – wybełkotał, ciężko dysząc.

– Co?! – gniewnie zapytała Edyta.

– Wolnicka już tutaj idzie. Ja się zmywam, mam dość tego opierdalania – podał gazetę Edycie. – Kończę tę waszą dzieciobójczynię ze stawu. – Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Chwilę później ktoś znów je otworzył. Z większym impetem. Edyta ledwo zdążyła przeczytać dwa pierwsze zdania artykułu w tabloidzie.

– Dwieście groszy. Tyle trzeba dać, żeby wiedzieć, ile my wiemy! – wrzeszczała naczelniczka wydziału zabójstw. Miała krwistoczerwoną sukienkę w kolorze swoich zimnych ust.

– Nie mam zamiaru się tłumaczyć, bo nic kurwa nie zrobiłam – odwarknęła Edyta.

Łukasz nie odpowiedział, choć Wolnicka spojrzała na niego.

– Sposoby morderstw, nazwiska, adresy, cała wiedza operacyjna. Jeszcze tego brakowało, by ujawnili personalia oficerów. Krwawy Rzeźnik? – Wyrwała gazetę z rąk Edyty i wymachiwała nią wściekle. – Przystojniak?! Myślicie, że jestem idiotką?!

– Mamy kreta w wydziale, ale czemu przychodzisz do nas? – wtrącił się Łukasz.

– Czemu? To wy zaczęliście tę sprawę, to wy siedzicie w niej najgłębiej. A ty się lepiej nie odzywaj – zwróciła się bezpośrednio do niego – bo wiesz na włosku, z kolejnej nagany mogę cię już nie wyciągnąć.

Naprawdę była wkurwiona, skoro atakowała nawet obiekt swojej fascynacji erotycznej.

– Brzytwa – Wolnicka oddała gazetę Edycie – gadałaś z ABW. Chcę mieć szczegółowy raport na ten temat...

– To nie było jawne przesłuchanie – przerwała przełożonej, protestując.

– Jeszcze dzisiaj mam go mieć na biurku. A zdrajca – pogroziła palcem – mówię wam i powiem wszystkim w tej zasranej sekcji – wyleci na zbity pysk i dostanie wilczy bilet do każdej komendy tego syfiastego kraju.

Wyszła, a za nią został bitewny kurz. Łukasz nawet zdziwił się, że nie napomknęła nic o Garlickiej. Czyżby pani psycholog dalej trzymała rękawice w górze?

Rozmowa w pokoju zawiesiła się, by ponownie wybuchnąć po jakimś czasie:

– O co pytali? – rzucił, wklepując coś na klawiaturze.

– O Jacka. Co o nim wiem i tak dalej. Powiedzieli, że sprawa została powierzona CBS i że my mamy tego nie ruszać. Pod groźbą poważnych sankcji. Ale jak mamy tego nie ruszać?

– Może dzisiaj od uchola dowiem się czegoś konkretnego. Masz coś?

– Gadałam z Agatą...

Łukasz pokazał minę wyrażającą niewiedzę na temat tego, kim jest Agata.

– Żona Jacka – wytłumaczyła Edyta. – Nawet wdowie nie dają spokoju, zamiast ruszyć w miasto, bo tam jest odpowiedź. Przyznała mi, że Ceboś podejrzewa o coś Jacka. Szkalują go po śmierci. Ten Krokodyl...?

– Nie, nie – migiem zaprzeczył. – To na pewno nie to.

– Więc Bestie?

– Otóż to. Trzeba w końcu się za nich wziąć. Wczoraj... zgwałcili moją bliską przyjaciółkę.

Edytę najbardziej zdziwiło to, że Łukasz ma jakąś bliską przyjaciółkę.

Znów gdzieś tam była zazdrość.

Przed tym, jak pojechał na spotkanie z Mojżeszem, pogadał jeszcze chwilę z Dziadziem, oficerem z kryminalnego, który zajmował się gwałtem na Dagmarze. Dziadzio rzeczywiście był wiekowy, dorabiał, mimo iż już nie powinien pracować na takim stanowisku, trzymały go jednak koneksje, te wyjątkowo silne, sprzed lat, kiedy Polska była bardzo dzikim krajem. Szczycił się gęstym wąsem, podobno lubił szczypać po tyłkach młode policjantki, a jako ubiór uznawał tylko oldschoolowe ciuchy ze skórzaną kamizelką na czele. No i był niezłym gliną. Łukasz poprosił go, aby konsultował z nim śledztwo, podał mu jedyny cienki trop, dość stanowczo zaproponował, aby nie dociskał ofiary i rozmowę z nią zostawił jemu.

Łukasz naprawdę nie przepadał za gadkami z ludźmi innego od siebie autoramentu, a takimi była większość, która go otaczała. Lecz czasami trzeba było porozmawiać, nawet poprosić i podziękować z góry.

Dziadzio zachowywał się dość sympatycznie i nie sprawiał kłopotów. Na koniec dyskusji spytał Łukasza:

– Ty, Nietzsche – rzekł ochryple – chcesz namiary na młodą, śliczniutką, okrągłą dupeczkę, która rżnie się jak maszyna, a ciągnie tak idealnie, że mnie się młodzieńcze lata przypomniały? – Zbliżył się do ucha Łukasza i szepnął: – Jest od nas z firmy.

– Wiesz co, Dziadzio? Może innym razem. – Podkomisarz poszedł w swoją stronę.

Otoczają mnie zwierzęta, nie ludzie. Tak bardzo głupie zwierzęta.

Zrobiło mu się żal tych daremnych małych człowieczków. Z wzajemnością, bo oni na swój sposób też odczuwali to względem niego. Z tym, że on żal czuł również do siebie. Więc chyba jednak lepiej być zwierzęciem. Lecz on tego nie potrafił.

Te rozmyślenia oddalały się, kiedy patrzył w rzekę, stojąc na łodzi i popijając lekkiego portera. Zmierzchało. Na zewnątrz restauracji kolację

jadła tylko jedna para. Mojżesz zjawił się tam dyskretnie, przywitał się z Łukaszem i rzucił:

– Cydr mają tutaj dobry.

– I co?

– Z cydrem?

– Pytam, kto odjechał policjanta. – Nie patrzył w oczy uchołowi.

– A ty masz jakieś wnioski? – Mojżesz podrapał się po brodzie.

– Zmieniasz zawód?

– Może mi to pomóc w tym, jak będę pomagał tobie. Obopólna korzyść.

– Nie założyli kominiarek. To logiczne, bo jakby glina zobaczył, że toruje mu drogę bryka z kierowcą, który ma zakrytą twarz, mogłoby się nie udać. Ale wybrali tę ulicę, bo wiedzieli, że panuje tam mały ruch i nie ma zewnętrznych kamer przemysłowych, jedynie słaby aparat monitoringu miejskiego. Nie wierzę, że byli tak zuchwali, po prostu wiedzieli, że obraz z kamery będzie dowodził, iż zamachowcami może być prawie połowa kolesi z tego miasta. A to oznacza, że go śledzili, byli pewni, że tamtędy przejedzie, i mają dojścia do informacji o monitoringu. Co potwierdza tezę, iż ich mocodawcy są duzi.

– Wilczur. Ktoś taki wydał wyrok – wypalił Mojżesz. – Z tym, że ja nie mam pojęcia, kto to jest. I na pewno się nie dowiem.

– A kto wykonał? – Łukasz teraz zerknął na informatora.

– Strzelał Mehmet – wyszeptał Mojżesz. – On jest aktualnie cynglem Bestii.

– Znasz go?

– Trochę. Był instruktorem krav magi. No i mówią, że kiedyś służył w AT.

– Imię i nazwisko?

Mojżesz parsknął śmiechem.

– W tej branży unika się nazwisk, przecież wiesz.

– Gdzie go znajdę?

– Strasznie dzisiaj nierozgarnięty jesteś. Albo zdeterminowany.

– Masz jakiś konkretny?

– Konkretny? Człowieku, powiedziałem ci, kto zabił twojego kumpla.

– I co z tego? Mam latać od kwadratu do kwadratu i pytać, czy jest Mehmet...? Dobra, zapytam inaczej. Jakie ma słabości? – Łukasz dopił

piwo.

– Na pewno duperę^[1]. Ale nie jest z miasta, nie wiem, gdzie stacjonuje.

Para stołująca się na łodzi wezwała kelnera celem poproszenia o rachunek.

– Coś jeszcze? Muszę z ciebie tak wszystko wyciągać?

– Ma jeszcze kumpla debila, znają się od podstawówki. Jest Bestią. Mówią na niego Razor – Mojżesz wymówił tę ksywę po polsku, nie po angielsku. – Jest bramkarzem w jednym klubie.

– Jakim?

Informator podał mu nazwę lokalu.

– Aaa! – zawołał na koniec Łukasz. – Dowiedz się możliwie jak najwięcej, kto z Bestii lubi napadać na prostytutki.

– Po co?

– Nieważne. Czekam, aż się odezwiesz. Zmień numer, bo tego już długo używasz do kontaktu ze mną. Jak dasz wiadomość, pamiętaj jak się podpisać.

– Dobrze, piękny bossie. Masz świadomość, że nie muszę tego robić?

– Tak. A ty masz świadomość, że ja znam twoje grzechy, złodzieju – zrewanżował się pięknym za nadobne.

– Serio, będziesz mnie szantażować?

– Muszę to wiedzieć, Mojżesz. A ten Wilczur... Jaja sobie ze mnie robisz, nie?

– Absolutnie nie.

Mojżesz odszedł. Chwilę później Łukasz zapłacił za piwko i też opuścił restaurację.

^[1] Duperą – dziewczyna, kobieta.

W czynnościach, jakich podejmował się w związku ze swoim zawodem, często pomagało mu to, że nie śmierdział psem. Dlatego często mógł załatwiać sprawy tak, że nikt nie domyślił się, iż ma przed sobą glinę.

Klub podany przez Mojżesza to było dosyć popularne miejsce, szczególnie wśród ludzi „z miasta”. Nie znajdował się on w centrum, ale przychodziły tam niezłe dupy, a w kiblu bez przesadnej ostrożności można było zawinąć kreskę^[1]. Lecz nie to interesowało Łukasza – tylko trzech bramkarzy stojących przed głównym wejściem do lokalu. Za ochroniarzami dobijała się na zewnątrz muzyka przeszywająca układ słuchowy i oddechowy, będąca połączeniem dubstepu i house’u.

Zatrzymał samochód między autami ludzi z prowincji o obcych blachach^[2]. Prawdę mówiąc, jego nubira nie prezentowała się lepiej niż tamte bryki. Nim znalazł się przed wejściem, minął karlicę i laskę z solidnym kuprem, napuszone małolatki, które nie zostały wpuszczone na zabawę, i pijanego typka, rozpoczynającego ciężką walkę o powrót do domu.

Jeden goryl miał skórzaną kurtkę, łysą głacę i nie był wysoki. Drugi mierzył grubo powyżej metra dziewięćdziesięciu, miał czarne, bardzo krótkie włosy, zgarbiony nos i zniekształcone lewe ucho. Trzeci był żylasty i szczupły, jechało od niego wodą kolońską, jego policzek dzieliła szpetna blizna.

– Który z was to Razor? – Łukasz uprzedził bramkarzy i pierwszy zadał pytanie.

– Ja – odezwał się drugi, ten wysoki, z twarzą potłuczonego półgłówka.

– A co? – Zmierzył wzrokiem Łukasza, od góry na dół.

– Podobno Bestią jesteś.

– Jestem Bestią, no i co? – Ton Razora był niemiły, zniekształcony.

– No to choć, Bestio – mignął twarzą za siebie i chciał się obrócić w tył,

ale Razor rzucił:

- Ale co, masz do mnie biznes czy chcesz za darmo wpierdol dostać?
- Interes mam. – Odwrócił się, ruszył, oddalając się od wejścia.

Razor poszedł za nim. W pewnym momencie, nie wiadomo skąd, Łukasz zwinnie wyciągnął pałkę teleskopową i obróciwszy się, zdzielił nią Razora po mordzie. Dryblas upadł niezgrabnie, przed oczami zatańczyły mu gwiazdki. Łukasz, wykorzystując moment otumanienia bramkarza, schwycił go za prawidłowo wyglądające ucho i mocno szarpnął ku sobie. Pozostali dwaj ochroniarze ruszyli ku niemu, dlatego rzucił pałkę na ziemię, wyciągnął glocka i zręcznie przeładował go, posługując się udem. Wymierzył broń w ich kierunku, wciąż trzymając za ucho Razora, który jeszcze nie doszedł do siebie. Łysy i Żyłasty zatrzymali się.

- Nie ruszać się, kurwa! – ryknął do nich.

Następnie przystawił klamkę pomiędzy oczy Razora i powiedział:

- Gdzie się ukrywa Mehmet? Mam dla niego rachunek.
- Fajna atrapa. Weź schowaj tego straszaka, to dziadostwo.

Razor chciał złapać pałkę, która leżała w zasięgu jego rąk, wtedy Łukasz strzelił w powietrze. Huk ogłuszył Razora, dwóch bramkarzy oddaliło się asekuracyjnie. Na placu przed klubem można było usłyszeć dźwięki nerwowego stanu, szczególnie kobiece krzyki. Wewnątrz lokalu wszyscy imprezowali w najlepsze, dudniące brzmienie robiło swoje.

- Zapytam jeszcze raz. Gdzie jest Mehmet?! – głośno zadał to pytanie.

Razor, trzymając ręce wysoko na widoku, odparł:

- Nie wiem!

– Źle się za to zabrałem – Łukasz powiedział sam do siebie. Potem wycelował dziewiątkę w stronę Łysego i Żyłastego. – Jak wezwiecie psiarnię^[3], to wrócę tutaj i was odjebię – zdecydowanie rzucił do nich. – Wstawaj! – Następnie znów skierował wzrok na Razora.

Przeszukał go, założył mu kajdanki i schował pałkę teleskopową. Zaprowadził tego troglodytę pod nubirę, trzymając broń przy jego plecach. Nakazał mu wejść do bagażnika. Razor nie protestował.

Kiedy zamknął go w miejscu raczej nieprzeznaczonym do przewożenia ludzi, schował z powrotem zabezpieczoną klamkę i wsiadł do auta. Ostro odjechał.

W szybkim tempie, ale uważając na radiowozy, pojechał za miasto, niedaleko wiecznie pustego mostu.

Otworzył bagażnik, celując lufę w twarz Razora. Naprawdę był gotów pociągnąć za spust, także ta improwizacja wyszła bardzo wiarygodnie. Razor był, krótko mówiąc, zestrany. Kompletnie spanikował, klęcząc na żwirze przed zbiornikiem wodnym. Czuł chłód glocka za sobą, z tyłu głowy.

– Nic nie wiem! – wrzeszczał.

– W takim razie twoim truchłem zajmą się rybki – odparł Łukasz, spokojnie, ale dosadnie.

– Nie!!!

– Mehmet! Gdzie jest?!

– Nie wiem!

– Kłamiesz.

– Naprawdę nie wiem!

– Jego imię i nazwisko?!

Cisza.

– No mów bydlaku!

– Mirek Śliwa.

– Gdzie mieszka jego panienska?

Razor nie podał mu dokładnego adresu, tylko nazwę miejscowości.

– Wiesz, co znaczy twoja ksywa?

– Co?

– *Razor* to po angielsku brzytwa, durniu. – Ochroniarz chyba pierwszy raz w życiu usłyszał swój pseudonim wymówiony po angielsku. – A słowo brzytwa kojarzy mi się z osobą, której mógłbyś co najwyżej buty czyścić, pod warunkiem jakbyś sobie umył środkiem dezynfekującym łapy i mordę.

– Ja wcale nie jestem Bestią, tylko tak mówiłem. To Mehmet jest u nich cynglem... – odparł spanikowany Razor.

– Wiem.

Łukasz schował klamkę i zadzwonił do komendy.

– Siemasz, tutaj Nietzsche. No, z zabójców. Słuchaj, sprawdź mi na cito w rejestrze figuranta o imieniu Mirosław Śliwa, zwą go Mehmet, podobno był kiedyś w AT. I jeszcze... – zwrócił się do Razora i agresywnie spytał go o personalia – ...i jeszcze Dawid Wnuk, niejaki Razor. Bardzo pilne. Chodzi o zabójstwo policjanta.

– Co to wszystko znaczy? – spytał chwilę później zdezorientowany Dawid Wnuk. – Jesteś psem?

– Niezły teatrzyk, nie? – Łukasz podniósł go na równe nogi. – Jedziesz

szmato na dołek^[4], cztery osiem cię czeka.

– Za co?

– Za niewinność.

Znalazł w nubirze łańcuch do kajdanek, zamontował na uchwycie na tylnym siedzeniu i przypiął go do biżuterii założonej Razorowi. W taki sposób eskortował go do fabryki.

Wnuk był czysty, miał żelazne alibi w czasie, kiedy strzelano do Jacka. Ale Mehmet, czyli owy Marek Śliwa, posiadał ciekawszą kartotekę. Okazało się też, że nigdy nie pracował w policji. Najważniejsze jednak było, że raz spisano go z kobietą, która podała adres zgadzający się z miejscowością, w której według farby^[5] Razora rzekomo mieszkała aktualna dziewczyna Mehmeta. Co rozumiało się samo przez się.

Łukasz wyciągnął z domu Maradonę i pojechali z zespołem antyterrorystycznym do miejsca, gdzie mógł ukrywać się cyngiel podejrzany o zabójstwo gliny.

^[1] Zawinąć kreskę – wciągnąć porcję narkotyku.

^[2] Blachy – numery rejestracyjne.

^[3] Psiarnia – policja.

^[4] Dołek – areszt policyjny.

^[5] Farba – istotna, nieoficjalna informacja, przeciek.

Kamuflujący pojemny van zatrzymał się na drodze. Było wilgotno, asfalt namoknięty, powietrze ostre. Z pojazdu bezszelestnie wyłaniali się antyterrorysty niczym mrówki z rozkopanego mrowiska. Wszyscy prawie identyczni, czarni, z bronią szturmową w ręku i dodatkowym uzbrojeniem na uniformie, wysocy, dobrze zbudowani. Zamaskowani.

Przeskoczyli ogrodzenie na tyłach parceli, na której mógł znajdować się figurant, zrobili to bardzo zwinnie. Równie sprawnie tę przeszkodę pokonał Łukasz, który szedł za ostatnim kominiarzem. Maradona, z racji wzrostu, miał z tym większe trudności. Wyglądał trochę jak dziecko uciekające przed ujadającym kundlem.

Nie było czasu na rozpoznanie, akcja miała status prowizorycznej. Przed wszystkim obejrzano tylko budynek i jego okolice za pomocą lornetki, w związku z tym założono, że w domu znajdują się dwie osoby – Mehmet i jego dziewczyna. To nie była prawidłowo przygotowana akcja, ale Łukasz chciał szybkiego efektu.

Kominiarze błyskawicznie się rozdzielili. Obstawili punkty strategiczne z każdej strony budynku, w najbardziej optymalnych pozycjach. Łukasz i Maradona poszli za grupą, która miała wdrzeć się do tego jasnopomarańczowego domku.

Taranem wyważono drzwi. Rozpoczęła się szybka i intuicyjna akcja. Czarni^[1] cały czas wydawali bojowo-ostrzegawcze okrzyki, zdecydowanie i błyskawicznie sprawdzali kolejne pomieszczenia, strzelając prewencyjnie w puste pola. Komisarze wchodzili tam, kiedy usłyszeli słowo *czysto*. Wszystko działało się bardzo prędko.

W sypialni na parterze śpiący ledwo zdążyli się ocknąć. Dziewczyna – w zwiewnej, jedwabnej koszuli nocnej, z rdzawymi włosami i ostrymi sutkami przebijającymi materiał piżamy. Mężczyzna – czarnoskóry, wysoki i umięśniony, całkowicie nagi. Jego fallus potwierdzał teorię, jakoby

młodym Murzynom co roku dokładano odważniki na fiuty.

Obezwładniono go i skrupowano. Zaniechano tego czynu przy kobiecie, lecz cały czas kontrolowano ją złowieszczym celownikiem. Kiedy zabrzmiał znak bezpieczeństwa w całym budynku, Łukasz włączył światło w sypialni, a przebywający tam czarni zdjęli noktowizory. Wkrótce potem rozjaśniło się całe wnętrze domu, więc oficerzy mogli wyłączyć latarki.

– Co się dzieje, kurwa, panowie?! – wrzeszczał Murzyn, płynną polszczyzną.

– Zamknij pysk – rzucił do niego Maradona.

– Mirosław Śliwa – powiedział Łukasz do przerażonej dziewczyny – był tutaj?

Kobieta nie mogła pozbierać słów, drżała ze strachu.

– Był?! – krzyknął podkomisarz.

Na nic.

Wyszedł z domu, zapalił szluga przed wejściem. Wtedy na sąsiedniej posesji zauważył Mehmeta. Gangster pospiesznie wskoczył w czerwoną corollę i odjechał, jakby brał udział w wyścigu. Łukasz wyrzucił fajkę, poleciał do opla, którym przyjechali z Maradoną, i ruszył w pościg. Samochód z fabryki znajdował się za domem, także Mehmet miał solidną przewagę.

Ale Łukasz znalazł go za pierwszym skrzyżowaniem. Jechał za nim co sił w silniku, rzucił przez radio informację, wymieniając numery rejestracyjne corolli, litery z blach rozwinął oczywiście do imion. Pędził z włączonym kogutem, na bombach^[2].

Wąska droga, wokoło zabudowania. Corolla wyprzedziła sunącego ze średnią prędkością nissana, Łukasz powtórzył za nią ten sam manewr, omal nie zderzając się czołowo z dostawczakiem. Następnie ostry skręt, czerwona toyota z trudem go pokonała na śliskiej drodze. Łukasz gwałtownie zahamował przy tym rozwidleniu jezdni, przez co ścigany nieznacznie się oddalił. Rozpoczął się teren, którego nie otaczały domy. Mehmet wyprzedził na długiej prostej obszerny autobus ze śpiącymi robotnikami, z przeciwka jechała mała osobówka. Kierowca autobusu, jak i prowadzący nieduże auto przeciągle strąbili corollę, ale przestali, słysząc syrenę policyjną i widząc migające niebieskie światło sygnalizujące stan wyjątkowy. Osobówka zjechała na pobocze, dzięki czemu Łukasz również mógł ominąć autobus. Jeszcze jedno skrzyżowanie, potem liniowa droga prowadząca do przejazdu

kolejowego. Na nieszczęście światła przed torami zabraniały pokonania tego fragmentu drogi. Ze wschodu pędził pociąg towarowy. Mehmet jechał na maksymalnych obrotach piątego biegu silnika. Łukasz też drałował brykę, ciągnąc się ciut za czerwonym samochodem przestępcy.

To był moment.

Nie miał wyjścia, musiał spowalniać opla. A Mehmet pruł dalej, jakby nie widział rozpędzonego pociągu. Ta wariacka determinacja utwierdziła Łukasza w przekonaniu, że ten człowiek zastrzelił z broni automatycznej oficera policji.

Hamował. Czyli jednak nie chcesz zginąć, morderco własnej rodziny? Jesteś żałosny. Żałosny i śmieszny.

Mehmet w ostatniej chwili zmieścił się tuż przed trąbiącym pociągiem. Corolla, mijając tory, omal się nie rozsypała, mając tyle na liczniku.

A nieoznakowany radiowóz ledwo zatrzymał się przed sunącą, wstrzymującą prędkość maszyną. Było śmiertelnie blisko. Natomiast kiedy tory się zwolniły, było za późno, by ruszyć za Mehmetem, który zniknął.

Wrócił do domu laski gangstera, wyjaśnił wszystko Maćkowi. Potem w końcu dowiedział się, o co w tym wszystkim chodzi.

Z miejsca akcji zwinęła się jednostka szturmowa AT, zostawiając wolno dziewczynę i jej egzotycznego kochasia.

– Nic z tego nie rozumiem – rzekł Maradona, stercząc na polu jak żaba.
– Co to wszystko znaczy?

Łukasz nareszcie spokojnie zapalił i odparł koledze:

– To rzeczywiście dupa Mehmeta, Maria Kunis.

– Więc dlaczego on był w tamtej hawirze? – spytał Maradona, wskazując na sąsiedni dom.

– Tam mieszkają jej rodzice. Śliwa rzeczywiście uważał, że w razie czego nie dojdziemy do jego panienki, bo nikt w mieście, oprócz Razora, nie wiedział, skąd ona jest. Pewnie zapomniał, że kiedyś ją z nim spisano. Lecz i tak się zabezpieczył.

– Ukrywał się u jej starych?

– Miał taką logikę: jeżeli my dojdziemy aż dotąd, on będzie miał możliwość spieprzenia. Kunisowie byli bez wyjścia, musieli go przyjąć, przecież tę hacjendę – wskazał dom Marii Kunis – na pewno postawiono za jego forszę. Jeżeli byłoby gorąco, miałby szansę na ucieczkę. No i zmył się.

– A ten czarnuch?

– W sytuacji, kiedy grozi ci dezet^[3] za odjebanie gliny, chwilowo masz w chuju to, że panna zdradza cię z afrykańską „wielkością”. No ale fakt faktem, że ten Murzyn jest nieźle zuchwały, przecież Mehmet mógł go zajebać.

– I co teraz?

– Nic. I to jest najgorsze – spojrział głęboko w oczy kolegi. – Roześlemy list gończy, trzeba dać info do prasy i telewizji. Do tego, wiadomo, obstawić lotniska, przejścia graniczne i tak dalej. No, i porządnie docisnąć Razora. Jak nie będzie chciał współpracować, należy wziąć działkę z depozytu i wmanewrować go w dragi^[4].

– Czyli jesteśmy w dupie? – spytał zrezygnowany Maradona.

– Tak. W ciemnej, czarnej dupie.

^[1] Czarny – antyterrorysta.

^[2] Na bombach – na sygnale.

^[3] Dezet – dożywocie.

^[4] Wmanewrować kogoś w dragi – zrobić kogoś w posiadanie narkotyków.

Następne dwa dni były prawie całe deszczowe, nijakie, próżne. Szarość aury współgrała z szarością miasta: niby samochody jeździły po drogach, przedsiębiorstwa pracowały, a fabryki produkowały; ludzie spełniali obowiązki zawodowe, uczyli się i zajmowali codziennością, ale to wszystko nie jawiło się zwyczajnie, naturalnie. Coś wisiało w powietrzu. Coś sztucznego, paradoksalnego, sarkastycznego oraz złego. Tak, ta niewiadoma miała postać ciemności.

W środę wieczorem jechał do Dagmary, która wciąż leżała w szpitalu (to nie była pora wizyt, ale policyjna szmata otwierała wiele drzwi). On to dziwne powietrze interpretował w ten sposób, że Przystojniak jest gotów do kolejnego morderstwa. Wręcz wiedział o tym. Czuł bezsilność, jadąc przez ulice zaciśnięte w złowieszczym, duszącym i miazmatycznym smogu. Budynki śmiały się niczym klaun z koszmaru. Był czysty jak świnia: zero dragów, zero alkoholu w organizmie.

Przyglądał się ludziom na przejściach, obserwował ich niczym zręczny pisarz, który ma taki nawyk. Nie rozumiał ich, nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Im dłużej żył, tym mniej wiedział, więc wychodzi na to, że pewną wiedzę o świecie i jego celu ma się tylko, będąc dzieciakiem. To świadomość słodka, ale niestety bardzo naiwna.

Po co szukasz odpowiedzi? W jakim celu? Nie ma i nigdy nie będzie żadnej puenty. Bo puenta nigdy nie istniała.

Dagmara wyglądała trochę lepiej. Leżała na boku, nie miała już maski tlenowej. Rany i stłuczenia złągodniały. Fizyczne rany. Bo te psychiczne w ogóle.

– Nie potrafię o tym mówić. Nie dam rady, jeszcze nie teraz – jej głos wciąż tkwił w bezdennej pustce.

– Nie po to przyszedłem. Powiesz, kiedy będziesz chciała. Monitoring nam nic nie rozjaśni, nie mamy świadków... Tylko ty nam możesz pomóc,

ale nie będę naciskał.

– Dziękuję.

Pogłaskał ją po włosach, obok opatrunku na oku.

– Nie chcę dłużej tutaj być...

– Wiem. Ale musisz jeszcze trochę wytrzymać.

– Zabierzesz mnie stąd niedługo?

– Tak.

– Nie mam dokąd wrócić...

– Zawsze jest dokąd wrócić.

– Mówię poważnie.

– O co chodzi?

Chwila przerwy w konwersacji.

Te ściany są okrutnie białe. Dlaczego nie mogą być, nie wiem, zielone albo fioletowe?

– Nie mam pieniędzy – odparła, roniąc łzy. – Wtedy chciałam zarobić na ratę czynszu, dlatego poszłam jeszcze...

Starannie wycierał jej twarz i oko.

– Teraz to już na pewno mnie stamtąd wywalili. Pewnie właściciel zmienił zamki i może da mi moje rzeczy, jeśli będzie miał dobry humor.

– A rodzina?

– Siostra jest za granicą, nie mam pojęcia gdzie. Ojciec... nie wiem, czy żyje. Uciekłam od niego po tym, jak mnie rozdziwaczył, kiedy miałam trzynaście lat. Matki nie pamiętam, na innych krewnych nie mam co liczyć.

To nie był dobry pomysł, ale inny nie przyszedł mu do głowy.

– Zamieszkaż u mnie.

– Nie mogę...

– Stoję nieźle ze szmałem. Kiedy będziesz gotowa, znajdziesz inną pracę.

– Ale ja nie mogę cię tak wykorzystywać.

– Od tego ma się przyjaciół. Ja bym miał pierwszego – dodał nieznaczny uśmiech. – Chyba fajnie by było.

Fajnie, doprawdy? Nic głupszego nie przyszło ci do głowy? Ciekawe, co by powiedziała Monika, gdyby się dowiedziała, że chcesz wykorzystać skrzywdzoną dziewczynę. Nikogo nie chcę wykorzystać. Chcesz. Nie chcę.

– Zrobisz to dla mnie?

– Tak. Lekarz powiedział, że może w piątek będziesz mogła wrócić do

domu. Zajmę się planem twojej rekonwalescencji.

– To ma sens, żebyśmy razem mieszkali? Nasza przyjaźń ma sens?

– Oczywiście. Przyjaźń zawsze ma sens.

– Łukasz?

– No?

– Nie zabijaj ich.

– Co?

– Nie chcę, żebyś ich zabijał. Bo to nie ma sensu.

A co ma?

– Dobrze.

Cóż ja najlepszego czynię? Przecież ja w ogóle go nie znam. Ale jest taki pociągający... A jaki bystry! Jak on całuje! Ma do tego stworzony język. Te myśli uciekały Adzie Maciejewskiej ze świadomości, kiedy on ją ścisnął i namiętnie całował. On, czyli Radek. Tak się przedstawił w niedzielę. Teraz spotkała się z nim drugi raz i wszystko wskazywało na to, że wylądują w łóżku. Ada nawet nie wiedziała, jak ten Radek ma na nazwisko. Lecz on był niesamowity i musiała się mu oddać.

Pojawił się ni stąd, ni zowąd, przysiadł się do niej w knajpie, do której notorycznie chodziła od rozstania ze swoim byłym. Jakiego rozstania? Bartek Kosiński ją po prostu zostawił dla innej. Była samotna, rozbita. A on puścił w jej stronę kilka banalnych frazesów. Co za idiotka. Lecz jak on wyrażał te zdania, jaki miał urok, jaką tajemniczość krył w sobie. To było aż nienormalne. Cztery dni później spotkali się w tym samym klubie. Niby przypadkowo, ale ona do końca w to nie wierzyła. Z jego ust popłynęły kolejne zdania – proste, lecz przekonujące. Żadne komplementy, tanie podrywy zdesperowanych lamusów czy teksty daremnych lalusiów wrywaków. Nie. Po prostu rozmawiali. Zwyczajnie-niezwyczajnie. Jakby się znali dziesięć lat. Potem musiała mu się oddać. Trafili do jej mieszkania, nawet nie zamknęła drzwi na klucz.

Stali w przedpokoju, oddając się dzikiej rozkoszy. Oboje byli jeszcze w ubraniach, a było już tak wspaniale. Nagle przerwała ognisty pocałunek, ledwo jej na to pozwolił.

- Za wcześnie – powiedziała.
- Co?
- W ogóle się nie znamy.
- Mylisz się. Znamy się kompletnie.
- Jak to możliwe?
- Bo nasze spotkanie to coś więcej.

Dalej już nie pytała. To było takie piękne. Ona, Adrianna Maciejewska, zwykła konsultantka telefoniczna, dziewczyna ze wsi, niezbyt ciekawa, średnio inteligentna, doznała czegoś takiego. Całe życie miała pełną świadomość, że jej jedynym atutem jest niebanalna uroda. Mimo to w tym momencie tym bardziej czuła, że Radka nie interesuje jej wygląd, lecz wnętrze. Dusza. Ona miała to samo w stosunku do niego. Widzieli się tylko dwa razy, a byli w symbiozie – niemożliwie silnej, cielesnej i umysłowej, na dobre i na złe.

To była miłość. Albo jej potężna iluzja.

Nie zabrakło oczywiście jej trywialnej odłony. Ależ on jest cholernie przystojny, pomyślała Ada, kiedy na jej łóżku wchodził w nią całym sobą.

Poczucie winy.

Cały czas dotykało go to uczucie. Wyjątkowo dziwne jak na kogoś, kto bez skrpułów mianuje się jakimś tam Radkiem, czy innym Krystianem, i robi kobietom wodę z mózgu. Więc jednak chyba to nie było poczucie winy dotyczące właśnie tych działań – lecz czegoś innego.

Niemniej jednak z tą Adą Maciejewską poszło jak po maśle. Zresztą jak z każdą. Psychika ludzka jest wyjątkowo prosta, wystarczy wiedzieć, gdzie szukać jej punktów zapalnych. Większość gatunku ludzkiego to nieskomplikowane istoty, motywujące się prostymi środkami. Żyją w zamkniętej czasoprzestrzeni, nie rozumiejąc i nie dopuszczając do siebie, że istnieją inne, całkowicie różne światy. Przez swoje ograniczenie widzą tylko małą część wszystkiego – część banalną, ale dla nich niezbadaną i trudną.

Po prostu wystarczy być najlepszym – pomyślał. Dla siebie, nie innych.

Ja, nie żaden Radek, zawsze byłem najlepszy.

Musiał sobie jakoś zająć czas. Te jelita były takie długie.

Najlepsze jest to, i on zdawał sobie z tego sprawę, że tak naprawdę nie ma żadnej recepty, na nic – jest tylko fikcja samego istnienia, bytu, i tylko w to wierzył. Wszystko inne to to, czym zajmujemy sobie czas naszego życia. Myśli, działania, uczucia. To była jego ideologia.

Nie ma cię, dodał w duchu. Nie ma nic.

Jest tylko iluzja.

Wyszedł spokojnie, ale z pośpiechem. Klatka schodowa była straszliwie pusta. Plac za wejściem również. Ale ta pieprzona walizka musiała upaść i otworzyć się. Wyleciał „tylko” zakrwawiony skalpel. Błyskawicznie wsadził go z powrotem, zapiął neseser.

Odwrócił się instynktownie. W jednym oknie złapał wpatrzony wzrok kobiety. Widziała go?

Skrył się szybko i ruszył przed siebie.

Biegł.

To była zgrabna, ładna kamieniczka otoczona gęstą roślinnością. Edyta i Łukasz podjechali pod ten budynek, zatrzymując volkswagena przy chodniku, obok karetki. Edyta trwała w niespokojnym stanie oczekiwana na obejrzenie kolejnego dzieła Przystojniaka. Ten czwartkowy wieczór był suchy, jakby niebo już wystarczająco się napłakało przez ostatnie dni.

– Byłam na przesłuchaniu w CBS – powiedziała, kiedy oboje z Łukaszem wyszli z auta. Skierowali się ku kamienicy.

– Kto cię maglował? – zapytał.

– Nadkomisarz Pleśniak, kojarzysz?

– Przeniósł się do nas z terroru^[1], już nie pamiętam z jakiego miasta. Z kryminalnego szybko awansowali go do Cebosia.

– Zadawał pytania, jakby był jakimś platfusem. Mają pretensje o to, że uciekł wam ten... Mehmet.

– Co poza tym? – Wewnątrz zastanawiał się, dlaczego zadał takie idiotyczne pytanie.

– Stara bieda.

– Dobrze, że nie nowa.

– Jak twoja przyjaciółka?

– Coraz lepiej.

I tutaj skończyła się mała pogawędka. Z całą pewnością, nie musząc zagłębiać głęboko w pamięć, mogli stwierdzić, że czegoś takiego w życiu nie widzieli.

W mieszkaniu ofiary niczym sieć pająka rozłożone były jej jelita. Trzeba się było nie lada wygimnastykować przez tę scenę, aby dojść do pokoju dziennego, w którym tkwiły rozprute zwłoki kobiety. Ładnej, z urodą wręcz semicką, ze świetnymi, pełnymi piersiami, fantastycznymi nogami i pośladkami pobudzającymi wyobraźnię. Miała rozwalony nie tylko brzuch, ale i układ płciowy. Zastygła krew otaczała ją, jakby chciała podkreślić, że

należy do ofiary. Cięcie na szyi, bezlitosne i precyzyjne, było jakby pokwitowaniem, że mordercą jest Rzeźnik. Ale przecież wszyscy wiedzieli to od początku.

Zapach mdły, okropnie ostry, wygonił Edytę z miejsca zbrodni. Łukasz został. Założył maskę od techników, foliowe ochraniacze na buty oraz rękawiczki i zbliżył się do ciała.

Oczy. Jej oczy mówiły wszystko. Zawierały w sobie niezrozumienie, ból, żal. Te oczy, ciemne, świetnie komponujące się z kruczocarnymi, prostymi włosami, były śmiercią. Tak, jakby zamieszkał tam kres.

Gdy wyszedł z tego kwadratu, po drodze przeglądając szczegóły, równocześnie sąsiednie mieszkanie opuścili Maradona i Kozioł. Odezwał się ten drugi, beczelnie gapiąc się na tyłek Edyty:

– Z tego waszego *Milczenia owiec* to porzygać się można.

– Co mamy? – Łukasz zwrócił się do Maćka.

– Sąsiadka widziała przez chwilę twarz naszego Przystojniaka.

Dlatego wezwała psy.

– Co?! – energicznie włączyła się Edyta.

– Nie ma się co napalać – uciął Kozioł.

– Było ciemno, latarnia ledwo świeciła, a babka ma słaby wzrok – rzekł Maradona. – Wyszedł facet, z walizki wypadł mu chyba skalpel. Odwrócił się i spojrzał w okno tej Marii Prus. Może naskrobiemy jakiś portret. Idziecie do niej? – pytanie skierował do Edyty i Łukasza.

– Nie, na dzisiaj wystarczy – odpowiedział Łukasz. – Jutro rano startujemy, także przygotuj nam wszystko, co o niej wiemy.

– No dobra – odparł Maradona, z nikłym entuzjazmem.

– Idź sprzedawać wiedzę operacyjną – impertynencko parsknął Kozioł.

– Może jeszcze złapiesz jakąś redakcję.

Łukasz zdecydowanie ruszył w stronę grubasa, z impetem bojowym, ale Edyta mocno schwyciła go za ramię.

– On chce cię sprowokować – rzuciła, by go uspokoić.

Zaniechał agresywnego nastawienia względem Kozła, ostudził groźny zapał i spojrzał mu w oczy. Przez dłuższą chwilę, sarkastycznie i ciężko, ale paradoksalnie, bo wraz z lekkim, takim megalomańskim uśmiechem. Potem poszedł z Edytą na dół, a Maradona i Kozioł się rozdzielili.

Edyta zwymiotowała zaraz za wyjściem z kamienicy. Łukasz wytarł jej usta, czule przytulił i zawiózł do domu.

[\[1\]](#) Terror – wydział do walki z terrorem kryminalnym i zabójstw.

Psy, szczególnie z takiego kręgu jak wydział zabójstw, muszą sobie jakoś odreagować ten syf, z którym się spotykają w robocie. Łukasz wszystko to trzymał w sobie, więc zachodziło spore ryzyko, że kiedyś ten ładunek wewnątrz niego pęknie, eksploduje, razem z nim.

Na razie miał jednak halucynacje. Rzecz w tym, że do końca nie wiedział, co jest fikcją, a co rzeczywistością.

Granica kolejny raz niebezpiecznie zatopiła się w nicość, kiedy jeszcze nie wstrzyknął w siebie narkotyku, a już obok niego w samochodzie siedział Niewyraźny.

– Mocny ten twój towar – parsknął. – Musisz znaleźć inny sposób, bo igły zostawiają ślady i będziesz miał kłopoty.

Ignorował go. Trzymał w ręku strzykawkę z mocną herą. Szykował się do jazdy na autostradzie skrajnych doznań. Auto tonęło we mgle. Albo tylko mu się wydawało.

– Te jelita to było przegięcie, wiem – kontynuował Niewyraźny. – Ale grzebanko w narządach rozrodczych to taki ukłon w stronę Kuby Rozpruwacza. Przecież ty się urodziłeś w którąś tam rocznicę jego pierwszego morderstwa, nie?

– I co z tego? – Łukasz nie chciał kontynuować tego dialogu, bo Niewyraźny był taki rzeczywisty, materialny.

– Skoro nie chcesz ze mną gadać, to po co się odzywasz?

– Bo siedzisz w moim mózgu.

– Zbliżam się do mistycznej piątki, a później już będę pobijał kanoniczny wynik Kuby. Wysoko postawię poprzeczkę.

– Nie. – Skoczył mu do gardła. – Bo cię dorwę, skurwielu.

Na twarzy Niewyraźnego rozbłysnął szelmowski uśmiech.

Skonsternowany biegacz zapukał w szybę volkswagena. Łukasz dał mu znak, że wszystko w porządku. Niewyraźny znikł.

Ćpasz w służbowej bryce. Świetnie.

Wstrzyknął w siebie heroinę. Znow się zaczęło.

Ściśnięty żołądek, słowiański hip-hop i melancholijny ogień. Drżące pośladki, zapach zlodowaciałego truchła i wielki pionek szachowy. Fetor amorficznego trędowatego, zerwane paznokcie, mdląco szare banknoty i krzyk niemowlęcia. Zatopione piekło, kraina w krwi, raj w ekskrementach. Rabin-transwestyta, poetycka ballada i dinozaur w stanie orgazmu. Paradoksalna góra, punk rock, metamfetamina w ludzkiej postaci i epilepsja niepełnosprawnej strzygi. Chłopiec z przebitym jądrem, smak najlepszej sałatki świata, dym cygara, drewniana pianistka z dwoma karkami i najjaśniejsze włosy łonowe. Nieregularny rytm respiratora, sado-maso ze staruszką, poczucie triumfu i brak wstydu. Linia produkcyjna bezzębnych człowieczków, prosty kawałek muzyki popularnej, smak chmury i koniec pracy mózgu.

Nie wiedział, kiedy zaczął jechać, a wraz z nim ruszyły promienie o niezbadanych kolorach. Serce ledwo wytrzymało, oczy prawie się zapadły. Nie, nie jechał. Płynął. Leciał. Nie po tym świecie, gnał w innym wymiarze.

Dotarł pod dom Justyny Brede.

Drzwi tego domu miały kolor głębokiej czerni, a elewacja mieniła się krwistą czerwienią. Albo tylko mu się wydawało.

Justyna otworzyła zdziwiona, zaciekawiona i chyba nieco przestraszona. Jej ciało zdobił bordowy szlafrok, z twarzy zmyła cały makijaż – co minimalnie odjęło jej uroku. Spytała:

– O co chodzi?

Bez zaproszenia wszedł do wnętrza budynku. Agresywnie rzucił się na nią, niczym wygłodniały wilk. Wbił w nią język jak kobra w swoją ofiarę. Rozbierał ją z prędkością światła, gdy dostał mocnego plaskacza w twarz.

– Myślisz, że jestem dziwką?

Odwrócił się. Zrobił tylko dwa kroki, bo wiedział, co zaraz powie Justyna:

– Czekaj.

Trzy minuty później wszedł w nią analnie, palcami dogadzając z przodu. Wyła z bólu. Z podniecenia. A później z kompletnej rozkoszy.

Trywializm i próżność zatriumfowały nad uczuciami.

Chyba jednak wszyscy jesteśmy zwierzętami.

Maradona dołożył na białą tablicę kolejne fotografie – ofiary numer cztery, Adrianny Maciejewskiej. Trzydziestojednoletnia kobieta pochodziła z małej wsi, w stan rozpaczy swoją śmiercią wprawiała rodziców, trzy siostry i brata.

– Rodzina przyjedzie dzisiaj na identyfikację, to ludzie żyjący skromnie – powiedział Maciek, przekazując Łukaszowi i Edycie dokumenty ofiary.

– Więc tak... – podjął dalej – nasza Adrianna pracowała jako konsultantka w sieci telefonii komórkowej. Byłem tam, dobrze znała ją jedna babka i co nieco mi o niej opowiedziała.

– Dawaj – Edyta zachęciła kolegę do wypowiedzi.

– Maturę zrobiła u siebie, potem poszła na bezrobocie. Pięć lat temu przyjechała tutaj, znalazła pracę, wynajęła mieszkanie z tą... Anną Chyż. Wyprowadziła się od niej dwa lata temu, stać ją już było na własny kwadrat. Miała faceta, nazywa się... – Maradona zerknął do notesu – ...Bartosz Kosiński. Wiem tylko tyle, że montuje jakieś anteny czy coś takiego. Rozstali się pół roku temu. Namierzamy go.

– Coś jeszcze? – spytał Łukasz.

– Był jakiś facet... dużo starszy od niej, zaraz jak wprowadziła się do tej Chyż. Nie wiem o nim nic.

– Hawira? – to Edyta.

– Czysta.

– Co z tym portretem?

– Sąsiadka, Maria Prus, powinna już tutaj być. Nie utrzymywała kontaktów z Maciejewską, tak jak pozostali sąsiedzi. Przez ostatnie plus minus dwa lata przychodził do niej facet, nocował i tak dalej. To pewnie ten Kosiński, bo mówili, że raczej młody.

– Dobra – skwitował Łukasz. – Znajdźcie tego Kosińskiego i jedźcie po świadka.

Skierował się ku wyjściu, kiedy Maradona rzucił:

– Aaa, jeszcze jedno. Anna Chyż twierdzi, że Adrianna od rozstania często chodziła do jednej knajpy... Czekaj. – Maradona znów szperał w zapiskach, po czym podał nazwę klubu.

– Możesz odwiedzić to miejsce? – Łukasz zapytał partnerkę.

– Tylko skończę tę papirologię – odparła, wskazując na stertę dokumentów.

– Okej. To pojedziemy tam razem, albo do ciebie dołączę. Zdzwonimy się, tylko coś załatwię.

Tym załatwieniem było zabranie Dagmary ze szpitala do domu. Skołował szybko jakieś ciuchy dla niej. Nie spóźnił się. Porozmawiał z lekarzem, oddelegował jednego z policjantów, który ją pilnował, i wziął przyjaciółkę z tego miejsca.

To już była inna kobieta. Cały czas cierpiąca tak jak Łukasz. To ich połączyło.

Nie zdążył posprzątać mieszkania, a chciał to zrobić, aby nowe lokum Dagmary nie wyglądało jak pieczara. Lecz cóż, wyglądało. Kobiecie jednak to kompletnie nie przeszkadzało. Obiecał jej, że jak skończy pracę, to natychmiast wróci. Była nieznacznie otumaniona lekami, trochę lepiej wyglądała pod względem fizycznym. Będzie widziała na prawe oko. Babskie sprawy też się zagoją, ale nie obejdzie się bez zabiegu. Przed wyjściem przytulił ją mocno i długo.

Jakkolwiek na to patrzeć, z każdej strony atakowały go kobiety. Prosty przykład: poprzedniej nocy udana misja pod tytułem *Przelecieć seksowną panią patolog*, rano – jak zawsze – praca z Edytą, a za chwilę wprowadzenie do swojego domu kolejnej dziewczyny. To koniec? Gdzieżby! Zaraz jak wsiadł do samochodu, zadzwoniła Wolnicka z pytaniami o śledztwo. A później ponownie Edyta – czekała na niego w knajpie, którą lubiła odwiedzać Adrianna Maciejewska.

To było miejsce, do którego przychodziły tak zwane nazwiska. Teraz jednak nie znajdowało się tam żadne, chociaż kto wie, przecież Łukasz i Edyta praktycznie nie znali żadnych nazwisk. W klubie leciała spokojna, melodyjna piosenka, śpiewana przez cierpiącego mężczyznę. Rozpaczał, bo porzuciła go kobieta. Albo zdradziła. Lub coś innego. Gdyby jednak przeżył prawdziwy dramat, taki jak Łukasz czy Dagmara, w mig zaniechałby pieprzenia onirycznych głupot o złamanym sercu czy samotnej sobotniej nocy.

Edyta siedziała przy barze, rozmawiała z kelnerką, krótko ściętą kobietką, wyglądająca jak Metyska. Łukasz podszedł tam. W klubie pachniało przepychem, transparentnym, ale gustownym, ze smakiem. Równie dobrze czułby się tutaj ktoś ze średnią krajową, jak i osoba z wieloma zerami na koncie, rzecz jasna z jakąś konkretną liczbą z przodu.

Dwie osoby z personelu zapamiętały Maciejewską. Wpadała tam często, już chyba z pół roku, sama, sącząc mocne, depresyjne drinki albo zwykły sok. Kelnerka Metyska zapamiętała, że raz widziała ją z facetem. Jakim? Nie miała pojęcia.

– Przykro mi, ale przez tę knajpę przewija się co noc dziki tłum ludzi. Chyba w niedzielę gadała z jakimś gościem, nawet nie wiem, czy sobie podprogowo nie wkleiłam obok niej faceta po tym, co mi powiedzieliście. Ją zapamiętałam, bo wpadała często, sama – odparła szczerze i w miarę wyczerpująco kelnerka, wpatrując się w fotografię Ady Maciejewskiej. Miała chrypę, jakby dała czadu na dobrym koncercie.

Edyta zostawiła jej zdjęcie, które zdobyli z domu ofiary, aby każdy z pracowników lokalu dokładnie się jej przyjrzał. Jak będą to robić, zobaczą niewinnie uśmiechającą się dziewczynę, wyglądającą młodo, w tle wiosennej przyrody.

Komisarze usiedli przy kremowym stoliku, czekając na kawę, i rozmawiali, wygodnie rozsiadłszy się w czerwonych fotelach z wysokiej jakości skóry.

– Zastanawiam się, czy wysłać tutaj ekipę – powiedziała Edyta.

Łukasz przecząco pokręcił głową, z grymasem na twarzy.

– W tym miejscu będą tysiące odcisków, a my nie mamy ani jednego śladu do porównania. Tomczyk dostanie w łapę od właściciela i nie da nakazu. A jak da, to nic z tego się nie urodzi.

– Musiał tutaj zostawić jakiś ślad, to miejsce publiczne.

– A niby dlaczego? – Rozłożył ręce jak ksiądz przy *Ojciec nasz*. – Mógł siedzieć tak jak ja, widzisz? Nie dotykam palcami niczego. Natomiast jak wyszedł, woda wyczyściła szkło, zmywając jego paluchy i DNA.

Podano im kawę.

– Mamy w ogóle wierzyć, że on tu był? – rzekła Edyta.

– Co uważasz?

– Ten barman, który ma czerwony nos od wciągania ścieżek, ma nikłą świadomość, że Maciejewska tutaj bywała. Kelnerka twierdzi, że jeśli sobie

tego nie uroiła, to może kiedyś, chyba w niedzielę, gadała z facetem.

– Masz jakiś pomysł?

– Trzeba kogoś tutaj przysłać, cały personel musi być przebadany i przepytany. Starannie i z tempem.

– Co z monitoringiem?

– W tej knajpie nie ma kamer, to zwiększa ekskluzywność, nikt się nie obawia, że zostanie z kimkolwiek uwieczniony na taśmie. A na zewnątrz, wyobraź sobie... jest awaria od soboty, a wizja świetnie obejmuje lokal.

Łukasz ironicznie parsknął.

– No w porządku. – Wziął duży łyk czarnej bez cukru. – Założmy, że w to wszystko wierzymy. Rzeźnik miał informację, że na ulicy padła kamera...

– Znajomy w centrali?

– Czemu nie? Trzeba komuś rzucić ten trop. Ale idźmy dalej... Wyszedł na polowanie. Niezła ulica, dużo klubów. Wybrał sobie naszą Adę. Kelnerka się nie pomyliła i w sobotę albo w niedzielę rozmawiał z nią, może nawet tutaj, gdzie siedzimy.

– Jedno spotkanie wystarczyło?

– Skup się. To równie dobrze mogło być któreś z rzędu ich spotkanie, ale założmy, że tak.

– Wczoraj wylądowali u niej?

– Trafili do mieszkania. Numer z jelitami to była kolejna popisówka. Lecz każdy w końcu się potyka. Do czterech razy sztuka. Podchodzi bardzo blisko i dużo ryzykuje.

– Uważasz, że Prus da nam jakiś jego konkretny obraz?

– W takich sytuacjach twarz się zapamiętuje.

Chwila ciszy. Kawa była naprawdę dobra.

– Pogadamy z Kosińskim, spróbujemy się dowiedzieć co nieco o facecie, z którym się spotykała, jak przyjechała do miasta – podsumowała Edyta. – Ale sądzę, że to cienka koncepcja.

– Mamy cztery ofiary – Łukaszowi też zabrało się na konkluzje. – Olga Bonin, prostytutka, dwadzieścia trzy lata, obskurne mieszkanie. Poznał ją pewnie jako klient. Zmanipulował i zabił. Może udał, że chce się bzykać w jej mieszkaniu, obiecał dodatkową kasę. – Pauza celem skończenia kawy, którą zawsze prędko wypijał. – Krojona za życia. Ofiara numer dwa – Szymańska. Pozbawiona gałek ocznych i obdarta ze skóry. Studentka, rok

młodsza od pierwszej zamordowanej. Trzecia równie młoda, bogata na starcie dzięki karmiącej politycznej ręce. Spuszczona krew.

– I egzemplarz czwarty – dokończyła Edyta. – Starsza, bo po trzydziestce, normalnie pracująca, nie edukowała się. Porzucona przez faceta.

– W tych zbrodniach jedyną cechą dystynktywną jest mieszkanie – znów podjął temat. – Każda ofiara była na swój sposób inna. Skurwysyn jest niewidzialny, ale zaczyna się gubić. Moim zdaniem miał za krótki odstęp czasu pomiędzy Karłowską a Maciejewską. Złapiemy go.

– Musimy.

– Nigdy jeszcze nie szukałem takiego seryjnego mordercy. Każdy, dosłownie każdy zostawiał jakiś ślad. Prędzej czy później znajdowali się ludzie, tropy, konkretny profil. Kurwa mać, kogo my szukamy?!

Do Edyty ktoś zadzwonił. Odebrała. Po chwili, z grobowym wyrazem twarzy, lodowato rzuciła do partnera:

– Maria Prus nie żyje.

– Co?!

– Skurwiel przetrącił jej kark.

Ponieważ Maria Prus była śladem – mogłaby dodać.

Pod kamienicą filował wścibiński fotoreporter, który trzymał przycisk aparatu niczym pewny cyngiel palec na spuście broni. Edyta wyrwała mu urządzenie i roztrzaskała je z całą siłą o płytę chodnikową. Do budynku weszli szybko, całkowicie ignorując wściekłego fotoreportera, który oczywiście nie został tam wpuszczony.

Na klatce schodowej stał cały przekrój społeczności tej kamienicy, zdenerwowanej i próbującej się czegokolwiek dowiedzieć. Oficerowie, nie bez problemu, dostali się do mieszkania Marii Prus, których drzwi pilnowało dwoje mundurowych.

Ciało kobiety leżało niedaleko od wejścia, pomiędzy salonem a łazienką. Sąsiadka Maciejewskiej miała rozsunięty szlafrok, pod którym kryła się piżama; ułożona była brzuchem do posadzki, ze skrzyżnym karkiem, przez co wyglądała wyjątkowo upiornie.

Maradona podał Edycie kolejny numer bulwarówki z ich sprawą na okładce, pośród szokującej informacji o tym, że pijany biznesmen zasikał hotel, i niewiarygodnego stwierdzenia byłej aktorki, która wyznała, że w młodości uprawiała seks tylko z niewidomymi, bo była taka paskudna.

– Kiedy to się stało? – Edyta zapytała pochylonego nad zwłokami Ptaka.

– Leży tu już od kilku godzin – odparł rudawy patolog.

– Ty będziesz kroić Maciejewską?

– Kogo?

– Wczorajsze zwłoki z tej kamienicy – błyskawicznie wyjaśniła komisarz.

– Nie. Justynka. Ja zajmę się nią, poza tym mam jeszcze dwa trupy z wypadku samochodowego.

– Co o niej powiesz? – Edyta skinieniem głowy wskazała denatkę.

– Gość zna się na robocie.

– Może coś zostawił – rzekł Maradona, odbierając gazetę z rąk Edyty. Niestarannie zwinięta, schował ją do kieszeni.

– Nie mamy nawet co na to liczyć – skwitował Łukasz. – Więc jak? – Spojrzał na współpracowników.

W tym momencie do mieszkania wbiła ekipa techników, tłumacząc się korkami na mieście.

– Jest ubrana na noc, więc albo wtedy, albo rano... – rzucił Maciek.

– Późną nocą albo wczesnym rankiem, jak zmylicie się wy i ekipa, ale jeszcze zanim zbierali się tutaj pismacy – odpowiedział Łukasz.

– Jutro możemy się spodziewać w tym tabloidzie kolejnych szczegółów od tego, który się rozpruł^[1], no i fotografii, wczoraj przed zamknięciem numeru nie zdążyli za wiele zdziałać – dodała Edyta.

– Jak wszedł do budynku? – spytał Łukasz.

– Normalnie, zmyślił coś – to Maradona.

– Jest trzy czwarte nocy, jesteś samotną babką po sześćdziesiątce, przez domofon dzwoni do ciebie obcy facet, który chce wejść do twojej kamienicy. Co robisz?

– Na pewno nie otwieram.

– Chyba że ten ktoś jest wiarygodny – odparła Edyta.

– Wieczorem w sąsiedztwie było morderstwo, masz wzmożoną czujność – ciągnął dalej Łukasz. – W takich okolicznościach tylko jednej osobie możesz otworzyć główne wejście.

– Do czego zmierzasz? – spytał Maradona.

– Że przedstawił się jako glina...

– Słucham?! – zapytała zdziwiona Edyta, przyglądając się Łukaszowi.

– A ten przypadek z zepsutym monitoringiem na ulicy, w której jest klub? – kontynuował.

– Chcesz powiedzieć, że nasz Przystojniak to pies?! – oburzył się Maradona.

– Nie, to zbyt śmiałe stwierdzenie, ale całkiem logiczne. Na razie chcę powiedzieć, że może mieć dobrą podróbkę policyjnej legitymacji, którą pokazał jej przez judasza. Kiedy otworzyła drzwi, zorientowała się, że to on...

– Ale było już za późno – dopowiedziała Edyta, przerywając Łukaszowi.

– Widzicie jakieś nieścisłości w moim rozumowaniu?

– Ja pierdołę – dosadnie skomentował Maradona.

Znow zadzwoniła komórka, tak jak wtedy w knajpie, idealnie po kulminacji rozmowy, jak w serialu pisanym na kolanie. Tym razem brzęczał i grał telefon Maćka.

– Kosiński jest w fabryce – powiedział po skończeniu połączenia.

Ptak sfinalizował wstępne oględziny nieszczęsnej Marii Prus i przemówił:

– Tak was słucham i w to wszystko nie mogę uwierzyć.

– Musimy mieć jak najszybciej wyniki sekcji tej kobiety i rozszarpanego trupa z wczoraj – zakomenderowała patologowi Edyta.

– Zrobimy, jak to się mówi, co w naszej mocy – odparł Ptak, po czym wychodząc, dodał jeszcze: – Idę wezwać panów workowców^[2].

Bartosz Kosiński czekał na nich w ich pokoju. Siedział lekko roztrzęsiony informacją o śmierci byłej, miał ręce zniszczone od pracy fizycznej, bardzo wyraziste czoło, a oczy niczym jakiś aktor uważany za ikonę męskiej urody.

– Jak to... się stało? Jak zginęła Ada? – zapytał, wpatrzony w kubek kawy, który stał przed nim i zionął ciepłem.

– Zabójstwo. Tylko tyle może pan wiedzieć – odparła Edyta. Oboje z Łukaszem siedzieli naprzeciw ostatniego faceta Maciejewskiej.

– Ty ją rzuciłeś? – zaczął konkretnie Łukasz, bez sztucznego zwrotu grzecznościowego, używanego przez większość. Przecież wszyscy jesteśmy równi, nie?

– Tak – odpowiedział Kosiński. Szczerze, ale pewnie.

– Dlaczego?

– Poznałem... poznałem inną kobietę.

– Zdradziłeś ją?

Edyta dziwnie zerknęła na Łukasza.

– Tak.

– Kiedy ją ostatni raz widziałeś? – rzuciła Edyta, nie bawiąc się już w panowanie.

Kosiński wziął delikatny łyk kawy.

– Z miesiąc temu.

– Co robiłeś wczoraj, powiedzmy, pomiędzy siedemnastą a dwudziestą? – Łukasz spytał prosto z mostu.

– Ale o co chodzi? – Kosiński lekko się przestraszył.

– Standardowe pytanie – wytłumaczył podkomisarz.

– Skończyłem pracę o dwudziestej, potem wróciłem do mieszkania i spędziłem wieczór z narzeczoną w domu – powiedział Bartosz Kosiński.

– Czy Ada skrywała jakąś tajemnicę?

– Nie wiem.

– Skup się.

– Nie wiem!

– Wiemy, że Ada przed związkiem z tobą spotykała się z niezidentyfikowanym mężczyzną – podjęła Edyta. – Próbujemy ustalić jego tożsamość.

– Raz jeden powiedziała, że był od niej starszy i nadziany.

– Czy masz w rodzinie kogoś z dziwnymi zaburzeniami? – znów odezwał się Łukasz.

Pracując w zabójcach, cały czas pytał. Wszystkich związanych ze sprawami, o wszystko, niekoniecznie związane ze sprawami. Teraz już wiedział, że każda wiedza może się przydać. Nawet najbardziej nieważna.

– Nie rozumiem.

– Chodzi mi o stan psychiczny, dziwne zachowania, nietypowy sposób na życie.

I kto to mówi. Jadąc do fabryki, widziałeś na drodze, raz albo dwa razy, swoją martwą córkę. Córeczkę, którą pozbawiłeś życia.

– Nie – odpowiedział Kosiński.

– Na pewno?

Chwila zastanowienia, siorbiący łyk kawy, pociągnięcie nosem.

– Mój kuzyn...

– Tak? – półpytaniem zachęciła go Edyta.

– W młodości zażywał psychotropy. Miał trepanację czaszki. Żyje sam z matką i gumową lalką... Naprawdę twierdzi, że jest z nią w szczęśliwym związku, czy nawet w małżeństwie. Raz byliśmy u niego z Adą. – Kosiński wyciągnął chusteczki higieniczne, zakaszłał w jedną, a potem się wysmarkał. – Zachowywał się wyjątkowo dziwnie. Ada mówiła, że spotkała go kiedyś w galerii, a on... jakby przekazał jej, że wygląda jak jego lalka.

– Kiedy to się stało? – spytała Edyta.

– Rok temu, albo i więcej. Ale to się nie powtórzyło. To chory człowiek, lecz nieszkodliwy.

– Jak się nazywa i gdzie mieszka? – powiedział Łukasz.

Kosiński przekazał im adres kuzyna, który zwał się Adam Piechota. Później nastąpiła dalsza część indagacji przeprowadzanej przez oficerów. Seria kolejnych zróżnicowanych pytań została zwieńczona przez Łukasza:

– Czym zajmuje się twoja narzeczona?

– Jest przedszkolanką – to była ostatnia odpowiedź Kosińskiego.

Niedługo później Łukasz dostał cynk od Maradony, że Jaśniak, który zajmował się w komendzie pecetami i innymi sprzętami elektronicznymi, ma coś dla niego. Wchodząc do pokoju, najpierw podjął rozmowę z Maćkiem, który stał przy drzwiach. Jaśniak, w grubym swetrze i sztruksowych spodniach, ze skupioną twarzą bez okularów ani szkieł kontaktowych, co nietypowe dla ludzi gapiących się niemal całą dobę w przeróżne ekrany, uważnie patrzył na monitor laptopa. Na jego biurku panował, jak to określają niestaranini i niechlujni ludzie, artystyczny nieład, z różnego typu sprzętem na czele.

– Tutaj masz adres gościa, który nazywa się Adam Piechota – Łukasz przekazał białą karteczkę Maradonie. – Weź kogoś ze sobą i sprawdź go. To niezły dureń, więc uważajcie na siebie.

– Skoro przygłup, to słabiotki trop...

– Trzeba wszystko sprawdzić. W wolnej chwili spróbuj dowiedzieć się na mieście, czy ktoś potrafi robić konkretne podróbki szmat. Może jest jakiś taki fałszerz. A ty masz coś?

– Ta centrala to chyba lipa. Kozioł tam jeszcze węszy, ale on nie ma zamiłowania do żmudnej pracy. Sprawdziłem patrole... no, wczoraj wyjątkowo lali się w okolicy, mieli nawet dwie próby samobójcze, ale dla nas to wszystko gównem znaczy.

– Dobra, idź już.

Maradona wyszedł. Łukasz podszedł do Jaśniaka, przywitał się z nim, wrywając go z transu informatycznego.

– Jej nowy laptop jest czyściutki – zaczął specjalista. Miał przyjemny głos.

Do pokoju wtargnęła Edyta, zbliżyła się do nich.

– Bilingi ze smartfona będziecie mieć niebawem. Mejle i tak dalej nic wam nie pomogą. Ale przejrzałem starego lapka^[3], którego chyba już nie używała. Na twardej^[4] odnalazłem jej fotografie z jakimś facetem. – Jaśniak pokazał im zdjęcia. Była na nich Ada, młodsza niż w momencie śmierci, z raz starszym mężczyzną, ale przystojnym i gustownym. Fotografie wykonano bardzo profesjonalnie. – Te pliki były zaklastrowane, ale ja je wydobylem.

– Możesz mówić po ludzku? – zaapelowała Edyta.

– Z dysku twardego tak naprawdę nic się nie usuwa na zawsze – odrzekł Jaśniak.

– Nieważne.

Resztę dnia Edyta i Łukasz spędzili na identyfikowaniu nieznanego faceta, wspieraniu innych policjantów w rozmowach z personelem klubu, w którym bywała Ada, wypełnianiu dokumentów przy wtórze wniosków oraz wizycie w kostnicy, gdzie poznali szczegóły dotyczące kolejnych ofiar Krwawego Rzeźnika – jednej wyjątkowo krwawej, drugiej nie, ponieważ przypadkowej.

Mężczyzna, z którym swego czasu związała się Maciejewska, nazywał się Antoni Pisarz, miał firmę obsługującą finansowy sektor publiczny i podobno jeszcze jedną, zarejestrowaną w jednym z państw na Karaibach – z wiadomych przyczyn, dotyczących nieujawniana wysokości dochodów ani żadnych innych szczegółowych danych. Nie przebywał w kraju, ale został wezwany, aby po powrocie przybyć na komendę w celu odbycia ważnej rozmowy. Jego sekretarka, grzeczniutkie piskłę po drugiej stronie słuchawki, przekazała, iż natychmiast wysyła stosowną wiadomość do Antwerpii i za chwilę osobisty asystent prezesa bezpośrednio przekaże tę informację panu Pisarzowi. Bogiem a prawdą, bezcelowo było typować tego faceta.

Rozmowy w knajpie przyniosły tyle, co nic.

Wnioski? Te co zawsze, z małym dodatkiem:

– Nikt z jej otoczenia nie wiedział o nowym mężczyźnie. Jeśli i rodzina nie miała o tym pojęcia, może to oznaczać, że rzeczywiście mogli się poznać w niedzielę – stwierdził Łukasz.

– Nie wiemy, jak się przedstawił. Nie złożył podpisu – skwitowała Edyta.

No i jeszcze raporty z sekcji. Makabryczne w przypadku Adrianny Maciejewskiej i chłodne w sprawie śmierci Marii Prus.

Łukasz unikał wzroku Justyny. Obronił się też przed rozmową z nią, chyba jej się to nie spodobało.

Edyta czuła, że coś między nimi zaszło.

[1] Rozpruć się – wydać, zdradzić swoje środowisko.

[2] Workowiec – mężczyzna pakujący zwłoki do worka.

[3] Lapek – laptop.

[4] Twardziel – dysk twardy.

Nie dotrzymał obietnicy danej Dagmarze. Tym razem skończył swoją nieregularną pracę późnym wieczorem, a i tak nie wrócił od razu do domu. Zrobił sobie rajd, idąc tropem Krwawego Rzeźnika.

Mieszkania po Oldze Bonin nikt nie wynajął, mało tego, nikt nawet nie zwrócił uwagi, jak Łukasz dopasowuje do zamka tego kwadratu odpowiednie wytrychy ze swojego skórzanego piórniczka (pamiątka z bidula), z którym nigdy się nie rozstawał. Oczywiście nikt nie widział też, jak zręcznie tam się włamuje. Fotoreporterzy jakiś czas temu zrobili swoje przed wejściem do budynku i na klatkowskiej^[1], więc w tym momencie już nikt nie baraszkował w okolicy. Sąsiedzi w wieku emerytalnym, brak zabezpieczenia elektronicznego przy głównych drzwiach – to również znacznie ułatwiało wtargnięcie do tego miejsca.

Powietrze już u progu pachniało spokojnie. Nie śmiercią, ale też na pewno nie życiem. Ta hawira była pusta jak wydmuszka. Posprzątana przez właściciela, z wyjątkiem mebli w kuchni i armatury w łazience. Głupia myśl, żeby wziąć tam prysznic, wartko mu uleciała. Położył się na miejscu, gdzie leżała rozczłonkowana Olga. Tkwiła wtedy w kawałkach, na pokaz, ostentacyjnie gnijąca.

Była pierwsza, więc musiał się solidnie przygotować. Długo i skrupulatnie. Zbajerować tanią kurewkę to nikły wyczyn, ale już kroić ją za życia w jej własnym mieszkaniu – no, to wymagało nie lada finezji i całkowitego braku empatii, ma się rozumieć. Trzeba być skurwiałym potworem bez układu nerwowego i bez duszy, ażeby równo, precyzyjnie ucinać łeb młodej dziewczynie. Może zrobił to od razu? A może jednak sycił się jej cierpieniem, ćwiartując ją najpierw niczym kurczaka?

Studenckie mieszkanie Katarzyny Szymańskiej również było puste. Łukasz narobił nieco zamieszania, zbudzając dozorcę. Ale wiadomo, szmata otwiera wiele drzwi. Właściciel tego lokum chyba nawet szykował remont,

bo podłogi były pozrywane, ściany na nowo zagruntowane. Łukasz stanął w miejscu zostawienia ciała studentki.

Wszedł w rytm. Lecz nie miał metody, więc znów kombinował. Poderznął gardło, wyciągnął oczy i zdarł skórę. Może w odwrotnej kolejności? Trzeba było, skurwielu, jeszcze posypać solą, może by ci stanął, chory pojebie. Bystra, samotna blondyneczka z niezłą dupcią – wymagało to większych starań, co, Tobiaszu?

Klucze do mieszkania Martynty Karłowskiej wciąż pozostawały w policyjnym magazynie, nikt po nie się nie zgłosił. Podobno właściciel tego luksusowego budynku zajął się filantropią i wycierał tyłki niemowlakom z Lanús, które już wiedziały, że w przyszłości będą chciały błyskotliwie kopać piłkę, by pobić legendę El Diego.

W tym miejscu też nie czaili się już żadni dziennikarze. Najpierw stanął przed wejściem awaryjnym z mocną szybą. Myślał, jak dotarł tutaj Przystojniak. Potem okrążył budynek, wszedł przez główne drzwi, a następnie windą wyjechał na piętro, na którym mieszkała córka wiceprezydenta.

Usiadł na fotelu z półokrągłym oparciem, spoglądał w dostrzegalne ślady krwi, których nikt nie zmył do końca. Ciekawe, czy ta cała sąsiedzka ferajna nie obawia się, że nawiedzi ją duch ładniutkiej kasztanki, zupełnie bez krążenia, bo jakiś psychol spuścił z niej całą posokę. Duch bez krwi, dobre. Wysuszona zjawa. Co, przyjemnie tarmosiło się jej ciepłutką cipkę? Inteligentną bogaczkę, która była zawsze za słabszymi? No, opowiadaj, Krystianku.

Niewyraźny nie zjawił się jednak ani na sekundę.

Darował sobie wejście do mieszkania Ady Maciejewskiej. Palił papierosa w miejscu, gdzie mógł stać Przystojniak – wtedy gdy feralnej nocy spojrzała na niego Maria Prus, co przypłaciła życiem. Więc teraz to okno było ciemne. Bo zwyrodnialec przetrącił jej kark jak jakiś agent Mossadu. Wykonał to działanie zuchwale, gdy ekipa zmyła się z miejsca. A Maciejewska? Szkoda gadać. Rozpruta. Zmasakrowana. Jelita z ekskrementami na powitanie. Zbrodnia tak obrzydliwa, że po prostu chciało się rzygać.

W dodatku jutro gazety będą miały świetną sprzedaż, co wywoła maksymalną panikę w mieście. Może to i dobrze? Ale morderca może się podniecić, poczuje się pieprzoną gwiazdą i już nie będzie stosował takich

przerw jak pomiędzy Szymańską a Karłowską. Będzie regularnie zabijał.

Dziwne, ale Łukasz Kowalczyk pomyślał, że to dobrze. Już cię czuję. Czekam na twój jeden, jedyny błąd, a wtedy mam cię. Donikąd przede mną nie spierdolisz, wszędzie cię znajdę, pobiegnę za tobą nawet do piekła. Już się gubisz, przez co popełniasz kikszy. Mam nadzieję, że kolejny twój błąd wstrzyma tę twoją chorą serię. A wtedy znajdę cię. Po tropach, jak pies.

Roztańczył się wiatr, zaczęło siąpić. Głęboko wciągnął dym z fajki.

Jak już cię znajdę, to cię skopię. Jak psa.

^[1] Klatkowska – klatka schodowa.

Zdziwił się, kiedy u progu własnego mieszkania poczuł miły, świeży zapach. Malina i cytrus, chyba lima. Jeszcze bardziej się zaskoczył, gdy zauważył, że w tej niegdyś nieprzyjemnej norze było czysto. W dodatku brzmiała rytmiczna, nieco transcendentalna muzyka elektroniczna z jego obszernej audioteki.

W kuchni również przyjemnie pachniało, ale była to woń dobrego, polskiego jedzenia. Poczuł się trochę jak za dawnych lat – kiedy wracał z najgorszej roboty do domu, a tam czekało na niego błyszczące mieszkanie, które było jego strefą buforową, ostoją i siedliskiem miłości. Wtedy też z wielką chęcią wchodził w skromne progi, czekał na niego smaczny posiłek – ale przyrządzała go Monika, i to była kurewsko duża różnica. Monika, czyli bezdyskusyjnie najlepsza kobieta na świecie. A kiedy jeszcze trzymała na rękach słodziutką Oliwkę, był pewny, że nie zasługuje na takie dary, na to błogosławieństwo.

Teraz niestety było inaczej. W salonie na kanapie spała Dagmara, okryta po uszy grubym kocem, przy zaświeconej lampce. Gdyby to była Monika, wszystko mogłoby się jeszcze zmienić. Niby dlaczego nie możesz zacząć wszystkiego od nowa? Odrzuciłeś Edytę, łudzisz się, że z Dagmarą łączysz cię tylko przyjaźń... Przecież potrafisz kochać i wierzysz w miłość. To jedyne, w co wierzysz.

Ale ona nie wierzy w ciebie.

Dagmara zbudziła się, leniwie zmieniła pozycję na siedzącą, lekko się wyprostowała, po czym zaczęła się tłumaczyć:

– Mam nadzieję, że nie będziesz zły. Posprzątałam trochę, masz stary, ale sprawny odkurzacz.

Nic się nie odzywał.

– Zrobiłam obiad. Za rogiem jest całkiem dobrze zaopatrzonego sklepik. Myślałam, że zjemy razem, ale długo nie wracałeś.

– Przepraszam, byłem w pracy.

– Ciężki dzień?

– Taki jak zwykle.

Usiadł na fotelu, tam gdzie kiedyś zmaterializował się Niewyraźny.

– Dziękuję za obiad i za to, że ogarnęłaś tę jaskinię – dodał.

– Daj spokój, nie ma za co. Chcę się jakoś odwdzięczyć.

– Jutro skoczmy do jakiegoś centrum handlowego, kupisz sobie ładne wdzianka.

Dłuższa chwila przerwy.

– Muszę skończyć z ćpaniem – rzucił nagle. – Wczoraj chyba jechałem na spidzie. Nie chcę mieć bąbli na twarzy jak te cwele, które za działkę pozwolą sobie nasrać na klatę. Ten szajs każdego zrzuci na dno, nieważne, czy jesteś typowym łomem z osiedla, czy inteligentnym oficerem z wydziału zabójstw.

Nie odpowiedziała.

– Pierdolnięcie przez herę, to nie jest wymarzona śmierć. Jeszcze dzisiaj wyrzucę też wszystkie syropy...

– Będzie trudno skończyć z tym gównem – skomentowała bardzo poważnie.

– Damy radę?

– Damy.

– Dobra – zmienił ton na luźniejszy – idę spróbować tego twojego dzieła kulinarnego. – Wstał i ruszył do kuchni, z niedużym uśmiechem na twarzy.

– Czekaj, Łukasz.

– No? – odwrócił się i stanął.

– Chcę ci o tym opowiedzieć...

– Jesteś pewna?

– Tak.

– To obiad zaczeka.

Przysiadł z powrotem, do długiej i skomplikowanej rozmowy. Widział, jak wiele ją to kosztuje. Opowiedziała, jak czarna bryka z zaciemnionymi szybami podjechała pod nią i mroczne oczy zaprosiły ją do środka, gdzie czekała na nią banda czterech zwierząt z iście atawistycznym podejściem do zaspokajania żądz. Mieli zakryte twarze, trzech z nich to była zgraja ogromnych, wysokich chłopów, a czwarty miał raczej wątlą posturę. To

właśnie on, niepozorny i spokojny, najbardziej się wyżył na Dagmarze.

Szczegółów nie pamiętała. Jakiś las, błoto, wilgoć. Ból. Upokorzenie. Bestialstwo.

W pewnym momencie doznała przebłysku. Przypomniała sobie barwę głosu jednego z napastników i jego dziarę^[1] na bicepsie – kobietę trzymającą na łańcuchu jakiegoś straszego psa – tak powiedziała. Możliwe, że pitbulla. To był ten, który chciał zlikwidować Krokodyla, czyli – jak w toku działań operacyjnych z informatorem dowiedział się Łukasz – swojego rottweilera, który go pogryzł.

Wyleciała mu z głowy jego ksywa. Dagmara po tym, co usłyszała, dostrzegła w wybrakowanym magazynie własnej pamięci jeszcze jeden szczegół – udo tego mężczyzny okalała paskudna blizna.

Blizna po ostrych zębach groźnego psa.

Gdy Dagmara wypłakiwała się w jego objęciach, z całych sił starał się przypomnieć sobie pseudonim jednego z oprawców przyjaciółki. Stłamsił w mózgu niepotrzebne informacje i zajrzał głęboko, kierując się skojarzeniami. Tak do niego dotarł.

– Konar – usłyszał głos Mojżesza.

Mam cię, bydlaku. Teraz się zabawimy.

Następnego dnia uruchomił wszystkich swoich uchoi, z Mojżeszem na czele. Teraz już nie bawił się w delikatność i ostrożność, bo w sprawy takiej rangi zwykle angażował tylko najbardziej zaufanego informatora. Tym razem jednak nie interesowały go konwenanse.

Konara chciał złapać równie mocno, co Przystojniaka.

^[1] Dziara – tatuaż.

Ten klub to była istna autostrada, mieszcząca się na znanej i ruchliwej ulicy. Lokalu nie urządzono zbyt gustownie: znajdowało się w nim za dużo wszystkiego naraz. Klasyczny bar i siedzenia dla odwiedzających mieszały się tam z kiczowatymi laserami na parkiecie i wyjątkowo bezwstydnym ubiorem kelnerek. Owo miejsce nie mogło zaliczać się do nazbyt szykownych, skoro jego właścicielami (a zarazem menedżerami i ochraniarzami) byli trzej postawni mężczyźni, najbardziej ceniący sobie gładko ogoloną głowę i złotą biżuterię. W „mieście” znani byli jako Żółtek, Bokser i Rysiu. Cała trójca figurowała w aktach policyjnych – za kradzieże, rozboje, pobicia i wymuszanie haraczy – a Bokser był nawet oskarżony o zabójstwo, ale miałkie dowody uratowały go przed więzieniem. Aktualnie pracowali dla Salcesona, jednego z nieformalnych liderów miejskiej przestępczości zorganizowanej, lecz mocno słabnącego w swej potędze. Z racji wykonywania brudnej roboty dla szczyh mafii mieli status nietykalnych. Dzięki temu powiększał się też ich majątek, przez co choćby mogli sobie pozwolić na zakup lokalu i stworzenie tam swojej dyskotekowej autostrady.

Niedzielnego wieczora Żółtek i Rysiu siedzieli na bardzo drogim zapleczu, pełnym najwyższej jakości mebli i elementów ozdobnych z dużym przepychem. Poszli się tam zrelaksować, odpuszczając sobie stanie na bramce. Najpierw dwie zgrabne kelnerki, jedna cała w tatuażach, druga z wielkimi, sztucznymi balonami, zabawiły ich seksem oralnym. Później gangsterzy pili sporo alkoholu, rozmawiając.

– Słyszałem, że psy węszą, bo Konar z kumplami przerznął jakąś dziwkę – rzucił w pewnym momencie Żółtek.

– Wielkie mi rzeczy, wczoraj sam ruchałem pannę z agentury – odparł Rysiu.

– Ale oni ją zmasakrowali – dodał Żółtek.

– Taa?

– No.

– Salceson przyznał mi, że Bestie na rozkaz niejakiego Wilczura polują na niego – podjął po chwili gangus^[1] o ksywie niczym kolokwialne określenie osoby o żółtym kolorze skóry. Palił przy tym cygaro. – Chcą wykorzystać to, że dołuje w interesach.

– To niezbyt dobra wiadomość.

– Ja do nich nic nie mam. Oni do mnie też. Mehmeta, dla przykładu, to nawet lubię.

– A stary dobry Salceson ma to pewnie w dupie – odpowiedział Rysiu. – Ty, a słyszałeś, że Gonzo zaliczył dupodajną Różyczkę? – zmienił temat.

– Taa? A powiedz mi, kto jej nie zaliczył? To największa kurwa w okolicy. – Żółtek rzucił w kąt cygarem, nie smakowało mu, więc skomentował niczym godny cytowania eseista: – To gówno jest przereklamowane.

– Róża, dupa duża. Rózi daj do buzi – Rysiu palnął ordynarny tekst.

Obaj prychnęli śmiechem. Potem Żółtek otworzył następną drogą wódkę.

– Co my tu kurwa mówimy o jakiejś dziwce, co miała więcej chujów w mordzie niż ty frytek. – Wypił duży kieliszek alkoholu. – Ta nowa dupa Salcesona... to jest prawdziwa klasa, a nie jakiś kurwiszon. Zabrał ją do restauracji, w której ty byś mógł co najwyżej pomyje zjeść. Pili krug coś tam...

– Co to jest? – zapytał zdziwiony Rysiu.

– Szampan za dwa i pół tysiąca euro.

– Ja pierdolę. Ładna ona chociaż jest?

– Niby Słowianka, ale kurwa normalnie taka łacińska, że aż mi się przypomina Kolumbia.

– Wtedy to żeśmy się nadupczyli... Ty, weź polej, bo w gardle sucho.

– Może byście ruszyli dupy na bramkę? – spytał Bokser, który zniecka pojawił się w wejściu.

– Siemasz! – Żółtek zawołał go gestem ręki.

– Pójdziemy za chwilę – rzekł Rysiu. – Po wypiciu kielicha gorzały.

– Dobra. – Bokser usiadł na fotelu. – Ale najpierw musi tu przyjść ta wydziargana^[2] i strzelić mi rześką laskę.

Żółtek, Bokser i Rysiu wybuchnęli chamskim, prymitywnym śmiechem.

[1] Gangus – gangster.

[2] Wydziargany – wytatuowany.

Przyjechali pod klub wysłużonym, ale sprawnym mitsubishi, równocześnie kiedy Bokser wysiadł ze swojego bmw najnowszej serii. Wyszli z auta, w momencie gdy gangster zniknął za wejściem głównym. Do lokalu szli zwrócenii plecami do kamery monitoringu miejskiego. Byli ubrani cali na czarno, na rękach mieli solidne, skórzane rękawiczki. Jeden był wątły, ale z bojowym wyrazem twarzy, drugi łysy, lepiej zbudowany, z prezencją cymbała na sterydach. Wszystko było zaplanowane, wiedzieli, że trzech mężczyzn pełniących tam uniwersalną funkcję będzie przebywać na zapleczu. Zresztą, Pierwszy-Niepozorny był gotowy na wszystko.

Rozglądając się wewnątrz klubu i upewniając, że na sali nie przybywa żaden z trójki, rozmyślali, ale obaj o czym innym. Łysy-Cymbał wiedział, że jest tutaj tylko jako zabezpieczenie, bo takich akcji nie wykonuje się w pojedynkę. Tak jak wtedy, kiedy zablokował drogę temu policjantowi, a Mehmet rozwalil go z kałasznikowa. Był świadom, jak sporo ryzykuje, ale stawka w grze, w której po swojej stronie mieli Wilczura, była zbyt duża, aby rezygnować z takich działań.

Z kolei Wątły, zbliżając się do realizacji planu, był coraz bardziej ukojony i pewny. Liczyło się tylko to, że mógł zabijać. Bo kiedy pozbawiał ludzi życia, zapominał o tym wszystkim. O tym piekle. Wystarczyła chwila, by przed oczami znów pojawiły się mu obrazy. Kilkuletni chłopiec z jelitami na wierzchu, Irak. Zbiorowy gwałt na ciężarnej kobiecie, wioska pod Belgradem. Potem ci gwałciciele z mózgiem na spodzie i dalsze kadry z Bałkan: psy obdarte ze skóry i nabite na pał, wiszące dziewczynki, jeszcze bez piersi i okrągłych ramion, niemowlę przepołowione widłami na pół. Tak, z pewnością Jugosławia była gorsza. Dziksza. Próbował odegnać od siebie te myśli, przypominając sobie o tym, jak pakował w dupę tę paskudną dziwkę, która przy duszeniu prawie zesła. Jak jej było? Dagmara, chyba tak. Tłumaczyłem jej, że jak mi obsra penisa, to ją uduszę. Jej zabicie by mnie

uspokoilo. Kurwa! Dalej te przeklęte Bałkany: katolicy, muzułmanie, protestanci, jeden pies. A wraz z nimi moszna zerwana maczetą biednemu Draganowi.

Szli ku zapleczu, mijając roztańczonych ludzi na parkiecie. Dziewczyny z prowincji, bogaci, młodzi mężczyźni, zwykli imprezowicze, laski z wyższych sfer. Niektórzy nie tylko po alkoholu, bo z mocnym dodatkiem, wciągany albo jarany. Później minęli bar, salę z efektowną lożą i wykorzystali zamieszanie, aby dostać się do strefy zamkniętej dla postronnych.

Na wąskim korytarzyku muzyka dyskotekowa powoli ucichała, ale jeszcze nim usłyszeli donośny rechot Żółtka, Boksera i Rysia, Wąty musiał odrzucić kolejne nieludzkie wspomnienie. Lekarstwem na jego podświadomość miała być Darlene, którą bezwstydnie pierdolił w klopie budynku skrajnie lewackiej organizacji. Darlene, beczelnie śliczna.

Zakradli się pod półokrągłe wejście i spojrzeli na pomieszczenie za nim. Upewnili się, że przebywali tam ci, którzy wedle zlecenia nie mogli już chodzić po ziemi.

Wycofali się spokojnie, wracając w stronę klubu. Pierwszy szedł Łysy-Cymbał, a za nim Wąty. W pewnym momencie typ z makabrycznymi myślami z przeszłości wyciągnął granat zza pasa, odciągnął zawleczkę i rzucił go daleko za siebie.

Chwilę później nastąpiła eksplozja. Odwrócił się i rzucił w dym jeszcze jeden granat.

Kolejny wybuch.

Łysy-Cymbał został na korytarzu, a nieznany, niepozorny, wąty facet spokojnie ruszył w obszar siwej zadymy. Zaplecze wyglądało, jakby stoczyła się tam wojna. Rysiu leżał bez życia z głową całą we krwi. Bokser nie miał prawej ręki, z kikuta tryskała mu obfita posoka. Wąty strzelił bandycie w głowę, a ten wyzionął ducha. Najdalej tkwił Żółtek. Ledwo oddychał. Połowa jego korpusu się żarzyła, błyskawiczny ogień już wygasał. I on otrzymał kulę dziewięć milimetrów w samo czoło.

Potem bez pośpiechu wyszli. Klub funkcjonował tak, jakby nic się nie wydarzyło. Dopiero na zewnątrz słyhać było krzyki i rozpaczliwą rozmowę z dyspozytorem alarmowym.

Dwóch egzekutorów, jak gdyby nigdy nic, wsiadło w mitsubishi i odjechało. Łysy-Cymbał myślał o forsie, którą zgarnie. Natomiast Wąty

o Darlene. Bezczelnie ślicznej Darlene, którą i tak musiał zabić.

W poniedziałek z samego rana oficerowie wydziału zabójstw zostali wezwani na miejsce, gdzie dokonano potrójnego morderstwa, zamachu na tle gangsterskim. Edyta i Łukasz przyjechali tam jej prywatnym bmw. Ulicę, na której ulokowany był klub, w znacznej mierze zablokowano policyjnymi taśmami. Komisarz zatrzymała samochód jak najbliżej się dało. Miejsce eksplozji było już całkowicie bezpieczne, technicy kończyli pracę przed lokalem, szukając jakichkolwiek śladów. Kilkanaścioro gapiów chyłkiem obserwowało plac po tej małej wojnie.

– Czyli jesteśmy w punkcie wyjścia – mówiła Edyta, wyłączając silnik i rozpinając pas.

– Niestety – odparł Łukasz, kończąc kanapkę przygotowaną dla niego przez Dagmarę. – Pisarza możemy sobie darować, Piechota ma mocne alibi, chociaż i tak to żaden z nich, i dobrze o tym wiemy. Bęben nie ma już kogo typować, a w mieście ani widu, ani słyhu o kimś robiącym podjebki^[1] szmat.

Przez taśmy wpuszczono ich automatycznie, a przed wejściem do miejsca zdarzenia spotkali wychodzącego Maradonę. Podał rękę Łukaszowi i przywitał się z Edytą szybkim cześć. We troje przystanęli do rozmowy.

– Długo sprawdzali, czy teren jest bezpieczny – zaczął Maciek. – Nie wzywałem nikogo więcej, bo byśmy tylko stali jak chuje na weselu. W środku ekipa już skończyła, zabrali zwłoki. Spisałem świadków, ale straszny bełkot i panika. Rozwaliło kamerę, najprawdopodobniej odprysk z wybuchu. Musieli mieć mocne zabawki.

– Był ktoś z pezetów^[2] albo z Cebosia? – zapytała Edyta.

Maradona pokręcił przecząco głową.

– Kto to? – rzekł Łukasz, skrupulatnie przyglądając się skutkom eksplozji na ulicy.

– Zdjęli im odciski na porównanie, ale to trzy goryle Salcesona. Żółtek,

Bokser i Rysiu.

– Ten sam Bokser, co strzelał do Winiarka? – rzuciła Edyta. Winiarek był policjantem z narkotykowego, to właśnie za to zabójstwo swego czasu chciano posadzić Boksera.

– Ten sam. Sprawiedliwość w końcu dopada każdego – skomentował Maciek.

– Taa. Nie słyszałem o tym – dodał pochmurnie Łukasz. – Co z tymi świadkami?

– Mówią, że było dwóch gości – podjął Maradona. – Przyjechali czarnym, skorodowanym mitsubishi, to by się zgadzało, bo pięć przecznic dalej taka bryka spłonęła do spodu, jak twierdziła osoba wzywająca straż, nim przyjechali, auto poszło z dymem. Jeden zamachowiec był łysy i duży, drugi szczupły, ale dziwny.

– No i...?

– No i nic. Weszli na zaplecze, wrzucili dwa granaty, Rysiu zszedł na miejscu, Bokser i Żółtek dostali jeszcze w łeb z krótkiej dziewiątki.

– Balistyka? – zapytała Edyta.

– Są łuski, ale skoro to fachowa robota, to nie możemy liczyć na odciski. Pewnie klamki nie ma już na tym świecie.

– Monitoring w klubie?

– Mają tylko podgląd.

Poszli w końcu obejrzeć miejsce akcji, towarzyszył im Maradona. Ulica w porównaniu z zapleczem to było nic. Normalna mikro-Hiroszima. Tam, gdzie leżały ciała, ustawiono kryminalistyczne ramówki zwłok.

– Rysiuwi trzeba było twarz przemyć, żeby go skojarzyć, Bokserowi odwalilo rękę, a Żółtek zwęglił się w połowie.

– No to startujemy – powziął Łukasz. – Pytanie jest proste: kto i po co robi taką zadymę? – Kierował wzrok to na Edytę, to na Maćka.

– Długi? – spytał ogólnie Maradona.

– Nie sądzę, ten Bokser był cynglem Salcesona, wątpię, żeby chłopcy narzekali na brak gotówki. Poza tym, gdyby chodziło o kasę, nawet o towar, to spuściliby im rześki wpierdol, ale nie załatwiali ich – skonstatował Łukasz.

– Przejmują władzę w mieście – rzuciła Edyta.

– Kto?

– Ci sami, co zabili Jacka.

– To jest logiczna wersja – powiedział podkomisarz. – Pamiętasz – bezpośrednio zwrócił się do partnerki – po śmierci Winiarka była głośna sprawa handlu bronią do Trzeciego Świata. Po tej aferze ten cały Salceson osłabł w sile.

W wejściu na zaplecze pojawiło się dwóch gliniarzy. Jednym z nich był nadkomisarz Pleśniak, który niedawno przesłuchiwał Edytę. Miał trochę cygański profil etniczny, nosił długi, sraczkowaty płaszcz. Drugiego Łukasz nie kojarzył, był on strzelisty i żylasty, o nadzwyczajnie długim podbródku.

Pracownicy wydziału zabójstw ignorowali tajniaków z CBS, bo ci nawet nie podeszli się przywitać.

– Po tym, jak Wiśniewski był bardzo blisko prawdy, przywódcom Bestii zrobiło się ciepło w dupie – kontynuował Łukasz.

– I postanowili: *Będziemy lepiej kryci, jak przejmujemy całe miasto* – dodała Edyta.

– To niestety daje nam zapowiedź dalszej jatki – swoje trzy grosze wrzucił też Maradona.

– Może za tym stać ten wasz Mehmet? – spytała Edyta.

– Śliwa jest karkiem, ale ma włosy, to by nam nie pasowało do zeznań świadków. Uważam, że nie ryzykowałby tak – odpowiedział Łukasz.

– Już? – ironicznie burknął Pleśniak. – Skończyliście swoją błyskotliwą wymianę zdań, dyletanci?

Łukasz odwrócił się w stronę oficerów Centralnego Biura Śledczego. Zapalił papierosa.

– A wy skończyliście wewnętrzne śledztwo na temat korupcji w waszych szeregach? – Maradona odrzucił pałeczkę w stronę Pleśniaka.

Stali już wszyscy naprzeciw siebie jak przed ustawką^[3].

– Marna prowokacja, pajacu – odparł Pleśniak.

– Ile ci odpalają za ich zgony? – kontrowała Edyta.

Pleśniak zacisnął zęby. Łukasz dał znak współpracownikom, że pora się zbierać. Mijając gości z Cebosia, przystanął jeszcze na chwilę przed znanym mu nadkomisarzem, by rzucić w jego stronę:

– Jestem już bardzo blisko prawdy. W ponad tydzień działałem więcej niż wy przez rok. Już niedługo skończy się wasz dzień dziecka, bo zostanie wam goła pensja. Lewe dodatki znikną, wraz z Wilczurem, którego niedługo wsadzę do puszki.

Po tym dobitnym *exposé*, zdecydowanie ruszył korytarzem za Edytą

i Maradoną. Kiedy szli tym wąskim pomieszczeniem, usłyszeli jeszcze:
– Nie przeginaj, świrze!

[1] Podjebka – podróbka.

[2] Pezet – wydział do walki z przestępczością zorganizowaną.

[3] Ustawka – chuligańska, pseudokibicowska, zbiorowa bójka.

Gdy wybiła piętnasta, Łukasz nieśmiało wszedł w progi gabinetu Anety Garlickiej. Zamknął za sobą drzwi i przystanął, obserwując kobietę. Postanowił, że już nie będzie z niej czytał. Dlatego spoglądał tylko w jej oczy, choć i one coś mówiły.

– Zapraszam – rzekła profesjonalnie, z nutką osobistej urazy.

Uśmiechnął się nieznacznie i zajął miejsce naprzeciw Garlickiej.

– No dobra – zaczął. – Wczoraj zaczytałem się o Bozonie Higgsa i...

– Wiem wszystko – przerwała mu zniecierpliwiona. – Wiem, jak zginęli twoi bliscy.

Na twarzy Łukasza pojawił się dziwny wyraz. Prezentujący ni to uczucia negatywne, ni pozytywne.

– Zapomnijmy o wszystkim i ten jeden, jedyny raz bądź ze mną szczery.

– Spróbujmy – odparł.

Pokój stał się próżnią, w której spotkały się dwa spętane byty.

– Dlatego uderzyłeś tego policjanta? – spytała Garlicka. – Obraził twoją rodzinę? Znieważył ją?

– Pośrednio – odpowiedział.

– Miewasz myśli samobójcze?

Zerknął w jej oczy. To dziwne, ale teraz była prawdziwa, naturalna, wiarygodna. Tak jakby sama pytała siebie, a odpowiedź była twierdząca.

– Tak.

– Jak sobie radzisz z poczuciem winy?

– Ćpam. Możesz mi nie uwierzyć, ale w piątek postanowiłem, że już nie ruszę narkotyków. Oczywiście niczego nie zapewniam, bo jestem ćpunem.

– Masz halucynacje, fikcja miesza ci się z rzeczywistością?

Zawahał się. Lecz świat nie istniał. Była tylko ta rozmowa. Naiwnie

poczuł, że to dialog wyzwolenia.

– Widzę Oliwię. Rządziej Monikę. Czasami rozmawiam z kimś, kto podaje się za słynnego Rzeźnika. Często gubię się pomiędzy rzeczywistością... a czymś nieprawdziwym.

Obok Anety Garlickiej stanął Niewyraźny. Uśmiechał się z upiornym wzrokiem.

– A teraz? – dopytała.

– Tak.

Podeszła do niego. Schwyciła go za dłoń, kucnęła. Za nią pojawiły się Monika i Oliwka.

– Dlaczego nie chcesz zrzucić z siebie tego ciężaru? – kontynuowała. – Spróbuj sam siebie oszukać. Przecież nie chcesz cierpieć.

– Oczywiście, że nie chcę. Nikt nie pragnie samotności, nieszczęścia. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym być głupszy, żeby potrafić się okłamywać. Spałbym spokojnie. Miałbym nową żonę, drugie dziecko. Oglądalibyśmy razem głupie seriale, a w niedzielę spacerowalibyśmy po parku. Zrobilibyśmy sobie tam fotografię, którą bym się chwalił znajomym. Tak, miałbym wielu przyjaciół i znajomych, bo bym im mówił, że *Wszystko będzie dobrze*, albo *Oj, moja droga, ale ładnie wyglądasz*. Żyłbym w jeszcze większej iluzji niż teraz.

Mocniej docisnęła mu rękę.

– A, gdyby Monika i Oliwia żyły, dałbyś radę z tym zwykłym życiem, mimo iż jesteś tak wybitną jednostką?

Potakiwał twierdząco głową, roniąc łzy i tłumiąc w sobie ryk płaczu.

– Ja je tak bardzo kocham – wypowiedział jeszcze.

Aneta Garlicka przytuliła go z całych sił. Czuł jej ciepło. Szczere ciepło, bez nutki fałszu.

– Nie staraj się o nich zapomnieć – ona też wylała kilka łez. – Ale myśl o tym, co było dobre. Postaraj się pokochać kogoś, kogo naprawdę mógłbyś pokochać.

– Przepraszam was – odparł jękiem do znikających Moniki i Oliwki.

– Spróbuj. Wiem, że jeszcze możesz być szczęśliwy – dodała Garlicka.

Potem postanowiła, że to było ich ostatnie spotkanie.

Wychodząc z gabinetu Anety Garlickiej, natknął się w korytarzu na Kozła, który pozwolił sobie na niewybredny komentarz:

– Co, cioto, rozplakałeś się przed psychologiem jak dziewczynka?

Łukasz podszedł do niego pewnym krokiem, nieziemsko wkurwiony. Uderzył go ze średnią siłą w przeponę. Kozioł stracił dech, więc dobił go do ściany, jedną ręką ściskając grdykę grubasa. Poszkodowany po raz drugi w starciu z Łukaszem, dopiero po chwili nabrał powietrza do płuc – podkomisarz złagodził ucisk, a ten zaczął się perfidnie śmiać.

– Właśnie załatwiłeś sobie wylot z firmy – powiedział, na wpół ochrypnięty Kozioł.

– Dlatego chcę wiedzieć, za co tracę robotę – odparł Łukasz.

Po czym poprawił mu obrzęk na brzuchu, trafiając go drugi raz w to samo miejsce, odpuszczając trzymanie za szyję. Cios był mocniejszy niż poprzedni, więc Kozioł zgiął się w pół, jakby chciał zrobić Łukaszowi loda. Wtedy właśnie nadarzyła się idealna okazja, by zakończyć tę komedię. Łukasz strzelił go z kolana, aż chrupnął mu nos, po czym tłuszcioch bezwładnie osunął się na glebę, nie mogąc oddychać przez krwawiący kinol.

Oficer spokojnie wyszedł przed komendę i zapalił papierosa. Dym go uspokoił, ta fajka smakowała niezwykle wybornie. Nie myślał o tym, że najprawdopodobniej to jego ostatni papieros przed tym budynkiem. Po prostu obserwował wchodzących i wychodzących ludzi. Lecz nie zwyczajnie, przeglądał detale, które skrywał bądź nie każdy człowiek.

Spodnie o rozmiar za duże, w dodatku zaciśnięte na przedostatnią dziurkę paska, przez co wyglądały wyjątkowo komicznie i strasznie zarazem – plus przerzedzone włosy i dostrzegalne ślady po igłach przy otwieraniu drzwi – dawały ciężką chorobę, nowotwór.

Dwóch gości, jeden z blaknącym śladem spowodowanym zaciśniętą pętlą na szyi i bliznami na rękach przez cięcie żyłką – próby samobójcze.

Ale po czym? Na pewno nie po odrzuceniu przez swojego koleżkę, dzięki któremu już nie musiał szukać członka do dupy na noc. Więc może przez nachalne okazywanie odstępstwa od normy w kwestii orientacji seksualnej? Teraz to ukrywali, nie trzymali się za rączki, ale wciąż można było dostrzec prześwitujące gacie, bynajmniej nie męskie, bo ciężko byłoby zmieścić tam cokolwiek, opaleniznę z solarium i – to już proszenie się o wpierdol przez radykałów – szarą plamkę na bluzie niedoszłego samobójcy. Jeden z gejasów musiał chlusnąć jak młody koń.

Kobieta przed czterdziestką z krokiem wskazującym, że mężulek nie tylko ją bił. Dlaczego mąż? Miała obrączkę, która niebezpiecznie dyndała na serdecznym palcu prawej dłoni, stąd wiadomo, że się nie przelewało, a bita była na pewno – na oku widniała jej nieładna śliwa. Szła z dzieckiem i to był jej jedyny potomek – wypadł jej portfel, stary i sfatygowany, w którym trzymała dokumentacyjną fotografię tegoż chłopca i tylko jego. Także to musiała być druga połówka. Łukasz wyobraził go sobie, patrząc na twarz dzieciaka, który już w młodym wieku miał duże łapska. Po matce odziedziczył tylko oczy. Tak samo beznadziejne. To, że kobieta była ubrana na czarno, nieźle łączyło się ze stratą matki albo ojca – bo mąż mógł umrzeć tylko przez nią, a wtedy nie chodziłaby wolna po mieście, a nawet jeśli, to raczej nie okazywałaby żałoby po tyranie; poza tym wlokła ze sobą syna na policję, więc nie miała go gdzie zostawić.

Dziedzio, ten z kryminalnego, który nawet nie zapiął rozporoka, wysiadał z małą kuleczką o rozczapierzonych włosach. Na mundurze uczeplił się jej siwy włoszek łonowy.

Staruszek, który przybył od strony najbliższego przystanku komunikacji miejskiej. Lewy but miał prawie rozwalony na pół – planował kupić nowe, ale go okradli, więc musiał latać w obuwiu jakby z obozu koncentracyjnego. Kiedy liczył drobniaki, można było dostrzec wizytówkę sklepu z butami. A skroili go, bo monety skrzętnie przeglądał w damskiej portmonetce, w której widniał dowód osobisty kogoś o długich włosach. Żony. Bo kogo innego?

Trzech mundurowych w czarnych uniformach, wszyscy rumiani i ze świecącymi oczyma. Nie ściągnęli kamizelek odblaskowych, dzięki temu zyskali nieuwagę i zamaskowali to, że byli pod wpływem na zdarzeniu. Prowadził ten najmniej pijany, ale zaparkował tak nieudolnie, że to jest po prostu niemożliwe po kilku latach za kółkiem. Dodatkowo policyjna kia była

zachlapaną, jakby trafiała we wszystkie kałuże.

Ważniak w garniturze wychodził wyprostowany i pewny siebie jak prezes jakiejś korporacji. Najpewniej naczelnik. Zapomniał jednak przypudrować ślady po kajdankach na przegubach. Odciski na palcach najpewniej od squasha, co Łukasz wiedział, bo nieraz w jego volvo dostrzegał sprzęt do tej zabawy. Ale znamiona policyjnej biżuterii na rękach? Strzelał, że ostre bzykanie, bo kobieta, która czekała na niego przed komendą, miała krótko ostrzyżoną głowę, szerniąłą czwórkę, tatuaż na karku, metalowe szpilki i chustkę na gnyku, która mogła zakrywać ślady po duszeniu. Ważniak był bardzo na nią zdenerwowany, że zjawiała się przed jego miejscem pracy, ale ona rozwinęła parasol z czarnym liściem i zaprosiła go na spacer. Para ta była do siebie niebezpiecznie podobna pod względem genetycznym. Łukasz dużo postawiłby na to, że są rodzeństwem. Zniknęli, a kawałek dalej ona sprawdzała jego rozmiar, a on jednoznacznie ścisnął ją za tyłek okryty lateksem.

Śliski typ, który na pewno niedawno strzelał. Pierwszy raz, bo miał siniaki po odrzucie z krótkiej dziewiątki. Wypadałoby mu też zmienić nawyki żywieniowe, bo na jego zniszczonych paznokciach widniały rozlazłe białe plamy. Nie żeby się czepiać, ale zębów chyba nie mył w ogóle albo jarał dziennie cztery paczki papierosów. Zagadką w jego przypadku było również to, czy był prawdziwym hipisem, czy tylko taki miał styl.

Pewnie brnąłby tak dalej w nieskończoność ludzkich odchyień, gdyby nie groźne wezwanie, które otrzymał. Wyjaśnienie incydentu z Kozłem trwało do późnej godziny wieczornej, a jego rozwiązanie okazało się porządnym zaskoczeniem.

Edyta i Maradona przysięgli, że Łukasz cały czas do wizyty z psychologiem spędził z nimi w pokoju, a jak wychodził z gabinetu Garlickiej, wtedy tamże się spotkali i chwilę pogadali, po czym Łukasz poszedł zapalić, gdzie widziała go masa ludzi. Natomiast nagranie z kamery w korytarzu, na którym doszło do zajścia, cóż, dziwnym trafem się uszkodziło. Kozioł szalał z wściekłości, ale w tych okolicznościach Łukasz nie mógł zostać ukarany. Podkomisarz uświadomił sobie, że jednak ktoś go tutaj lubi.

To nie był jednak koniec tego długiego dnia.

Dobry policjant może mieć różne cechy – ale jak nie ma tego jednego atrybutu, to idzie mu kiepsko. Mianowicie chodzi o szczęście.

Najnormalniejszego w świecie farta sytuacyjnego.

Kiedy Łukasz siedział na sedesie w kiblu w fabryce, do toalety wszedł Koziół. Po jego barwie głosu można było wysnuć, że jest znacznie zdenerwowany. Rozmawiając przez telefon, sprawdzał, czy poszczególne kabiny są puste. Nie zajrzał do tej ostatniej, zamkniętej przez przebywającego tam Łukasza. Nie zajrzał, ponieważ huknął do słuchawki aparatu:

– Nie! W życiu nie ujawnię swojego imienia i nazwiska!

Po czym zaczął nerwowo hasać po pomieszczeniu, gadając jak opętany przez komórkę:

– Wyleciałbym za to ze służby, rozumiesz, kobieto?! Mam nieposzlakowaną opinię i wkrótce zacznę się ubiegać o przedterminową emeryturę.

Neurotyczne stukanie w umywalkę.

– Przecież tłumaczę pani! Mieliście wszystkie informacje, nasze tropy, miejsca. Wiedzieliście o Rzeźniku tyle, co ja. To była obopólna korzyść, ale teraz pora z tym skończyć. Proszę już nie dzwonić na ten numer.

Obsesyjne tupanie nogą.

– To nieodwołalne! A jeśli ujawni pani, że to ja zdradzałem wam informacje na temat tych morderstw, załatwię pani poważne problemy! Do widzenia!

Pewnie po zakończeniu rozmowy prędko wyszedłby z ubikacji, gdyby nie usłyszał spłuczki w ostatniej kabynie. Potem wyszedł z niej Łukasz i zbliżył się do umywalki celem umycia dłoni. Przez chwilę milczał. Koziół znieruchomiał.

– Więc tak, Koziół – podjął podkomisarz, starannie płucząc ręce. – Widzę dwie opcje: odejdziesz sam, na przykład za picie na służbie. Znajdziesz sobie robotę jako cieć w jakimś sennym miejscu i będziesz pierdział tam do odległej emerytury – zaczął suszyć dłonie. – Możliwość numer dwa zakłada, iż z przyjemnością narobię ci takiego syfu, że nie obejdiesz się bez odsiadki.

Koziół z opatrzonym nosem, który zwiastował, że czeka go jeszcze ponowne złamanie i nastawienie przez specjalistę, rzucił niepewnie:

– Nie zrobisz tego, gnoju...

Stanęli naprzeciw siebie, Koziół chciał wystartować do oponenta, ale się powstrzymał, słysząc:

– Nawet tego nie próbuj. – Łukasz negująco kręcił głową. – Ja wiem, że do trzech razy sztuka, ale bez przesady – ktoś musi pracować w tym wydziale.

Kozioł nie potrafił zgłuszyć w sobie złości, lecz nie był w stanie nic zdziałać. W głębi duszy, którą może miał, od razu postanowił, że wybierze tę pierwszą opcję zaproponowaną przez Łukasza.

Wtem do kibla wkroczył Maradona, trzymając drzwi, jakby tylko chciał coś rzec i gnać dalej.

– Jest sto czterdziestka ósemka^[1] – podjął Maciek. – Może cię to zainteresować – zwrócił się do Łukasza – bo to prawdopodobnie robota tego całego Konara, którego szukasz.

Jeśli tak, to przegięliście. Łukasz już nie myślał od tej chwili o Koźle, tylko poszedł z Maradoną. Zresztą, kto by poświęcał czas kapusiowi?

^[1] Sto czterdziestka ósemka (art. 148 kodeksu karnego) – zabójstwo.

Ta stara fabryka albo magazyn leżała sobie martwa gdzieś w mieście. Styl budownictwa zastosowanego do stworzenia budynku należał do tych zamierzchłych, co w parze z obecnym jego wyglądem zdradzało, że miał już swoje lata. Łukasz z Edytą przyjechali tam w błyskawicznym trybie.

Przed obszernym kłocem stał podenerwowany bezdomny z ogorzałą twarzą, gęstym zarostem i ubiorem, który ledwo trzymał się na ciele. Rozmawiał z funkcjonariuszem w czarnym mundurze i kamizelce odblaskowej.

– Pan znalazł ciało? – podchodząc do dyskutujących, Edyta przytomnie spytała bezdomnego.

– Ja... Ja... tutaj tylko czasami przychodzę... wina się napić, ale nie sypiam w tym magazynie – wydukał menel.

– Widział pan coś? Sprawców, kogoś podejrzanego? Dzisiaj albo wcześniej?

– Nie... chyba nie. Nie jestem pewien.

– Spisz pana dokładnie – zakomenderowała do policjanta z kamizelką.

Łukasz dotrzymywał jej kroku, kiedy szli zobaczyć zwłoki. Przy ciele pracowało troje techników. Jeden, z uciekającym lewym okiem, dokonywał precyzyjnych pomiarów ciała denatki i jego ułożenia. Wtóry, wiekowy gość pod wąsem, fotografował ofiarę, a trzecia, nieciekawa blondynka, przygotowywała okolice do zebrania śladów daktyloskopijnych.

Nieżywa dziewczyna była prawie cała naga. Młoda, miała nieco chłopięcą urodę – wysoka, z długimi nogami, wąskie biodra, małe piersi. To wrażenie potęgowały krótkie włosy i twarz przypominająca główkę młodziutkiej klaczy. Leżała brzuchem do spodu, na przegubach jej rąk i na szyi widniały drastyczne ślady przemocy. Jej oblicze w pewnej części okalała zakrzepła krew, wychodziła ona również z odbytu, a kończyła się obok niewielkiej ilości kału na twardej podłodze. Mówiąc zwięźle, miała

podobne obrażenia, co Dagmara po gwałcie. Z tym że nie żyła.

Edyta kucnęła i z przerażeniem przyglądała się martwej dziewczynie. Łukasz wyjątkowo spokojnie zapytał technika, który robił pomiary:

– Mamy coś?

– Na moje oko będzie od pyty odcisków i śladów biologicznych – odparł mężczyzna tonem jakoś dziwnie karykaturalnym.

– To dobrze.

Oficerowie wycofali się do wyjścia. Na zewnątrz poczekali chwilę, paląc papierosy. Łukasz już nie powiedział do Edyty: *Przecież rzuciłaś*. Wnet nadjechał radiowóz, a z niego wyłonił się drugi mundurowy i roztargniona kobieta – siwiejąca, zgrabna, z wydatnym biustem, ale nieco już pomarszczonym. Okazało się, że ta babka kilka ulic dalej widziała, jak porwano zamordowaną dziewczynę.

– Szyby mieli ciemne, to było duże auto, czarne, nad rejestracjami mieli taki znak: cztery kółka, jeden wchodził w drugi, tak jak przy logo igrzysk – mówiła do Edyty i Łukasza.

– Zapamiętała pani numery z tablicy rejestracyjnej? – spytała komisarz.

– Nie.

– Niech pani to opisz.

– Ta dziewczyna musiała wracać z uniwersytetu, jestem pewna. Nie chciała wsiąść do tego samochodu... Dlatego kierowca wyszedł i uderzył ją w twarz. Potem na siłę wrzucił tę biedną dziewczynę do auta. Dzwoniłam na policję, krzyczałam. Boże, mogłam zrobić więcej.

– Proszę się nie obwiniać. Postąpiła pani prawidłowo. Jak wyglądał ten mężczyzna?

– Strasznie. Był wątyły, taki niepozorny, ale... – kobieta zaczęła łkać.

Umęczona i zabita dziewczyna nazywała się Daria Idzik, co wyczytali z dokumentów ze znalezionej na miejscu porwania torebki. Mieszkała pomiędzy miejscem jej uprowadzenia a tym przeklętym magazynem.

– Kurwa, dlaczego ten patrol nie mógł sprawdzić wszystkich opuszczonych miejsc w okolicy? – syczała Edyta, kiedy jechali ze złą nowiną do państwa Idzik.

– To oni – rzucił w pewnym momencie Łukasz. – Te skurwysyny, które skrzywdziły Dagmarę. Jednego z nich zidentyfikowałem, mówią na niego Konar, ale nie mamy go w bazie. Moi uchole go namierzają.

– Uda się im?

– Jak go złapię, to wierz mi – zadbam o to, by wyjawiał nam pozostałych. – Po chwili podjął znowu: – Świadek mówiła, że kierowca tego audi był wątlwy, niepozorny... Pamiętasz, co mówili ci spod klubu? *Szczupły gość*. To raczej nietypowe jak na Bestie.

– Myślisz, że to ten sam, który zabił tę trójkę od Salcesona?

– Nie mam żadnych dowodów, żeby tak sądzić. Ale czuję to przez majtki.

Przekazać ową okrutną wiadomość rodzinie Idzik poszedł Łukasz. Edyta została w samochodzie.

Już przez domofon zaczęła się ta długa, pusta droga. Skończyła się na rozpaczliwym krzyku, płaczu, konwulsjach. Matka Darii, bardzo podobna do dziewczyny, ledwo oddychała, leżąc przed drzwiami wyjściowymi. Mąż próbował ją pocieszyć, lecz sam umierał od środka. Do lamentu dołączył chłopak, na oko jeszcze z podstawówki, pewnie brat Darii.

Łukasz nawet nie potrafił spytać ich o cokolwiek, co więcej, nie powiedział im o konieczności identyfikacji córki, o skorej pomocy psychologa z ich strony. Po prostu opuścił ten blok z cienkiej cegły. Gdy wyszedł, czuł, że ciężkie chmury spowite mrokiem również zaczną płakać wraz z rodziną Darii Idzik.

Podszedł pod auto, ale ustawił się przy drzwiach od strony pasażera, stąd działanie Edyty polegające na otwarciu drzwi z pytającym wyrazem twarzy.

– Odstaw wózek do fabryki i jedź do domu – podał jej kluczyki. – Ja się przejdę do siebie. Marzy mi się długi spacer.

– Daj spokój – odparła.

– Nie. Nie mogę już patrzeć na te samochody.

Oddalając się stamtąd, zapalił papierosa. Chmury zaczęły buczeć.

Nie myśl o prochach, ćpunie. Wracaj do domu i popatrz na śpiącą Dagmarę. To ci wystarczy.

Szedł martwą ulicą, zobaczył czerwone światło na przejściu dla pieszych. Postanowił zmodyfikować nieco drogę i skręcił pomiędzy dwa średniej wielkości budynki. Gdy znalazł się przy dużym, ciemnym koszu na śmieci, z końca tej wydeptanej ścieżki wyłoniły się dwie postacie. Chmury jeszcze nie płakały, ale wściekle krzyczały, jak przechodząca burzę hormonalną kobieta.

Przecież nikt cię nie śledził.

Nie byłoby nawet w tym nic dziwnego, gdyby nie to, co prędko zauważył: jedna z postaci z naprzeciwka trzyma bejsbola w łapach. Kiedy się zbliżali, dostrzegł kominiarki na ich twarzach.

Odwrócił się, a tam szczupły facet, również z zakrytym obliczem, fachowo przeładował krótką broń palną, celując w Łukasza. Spluwa z pewnością była na ostrą amunicję. Uzbrojony typ miał cały ubiór w barwie czerni.

Łukasz odruchowo chciał sięgnąć do kabury, lecz usłyszał od tego z bronią:

– Nie radzę, bo od razu dostaniesz pestkę w głowę – miał zachrypły głos, nieludzki, wręcz bestialski.

Podkomisarz wstrzymał się wedle słów napastnika.

– Wyciągnij procę i połóż ją na ziemi – rzucił jeden z tyłu. Ten miał tembr wysoki i dziwaczny. – Tylko bez kombinowania.

Łukasz wykonał to powoli, bez żadnych numerów. Bawić w superbohatera to się może aktor na planie filmu o *Batmanie*.

– Kopnij do mnie – rzekł szczupły z dziewiątką w ręku, w akompaniamencie grzmotu z nieba.

Oficer usłuchał go. Miał dziwne wrażenie, że tego dnia już trzeci raz

styka się z kimś *wątlym, niepozornym, ale charakterystycznym*. Dwa razy słysząc o kimś takim, a teraz będąc z nim oko w oko.

– To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie! – warknął ten, o którym była mowa. – Zostaw to, w czym grzebiesz.

Łukasz oceniał sytuację, która – mówiąc dosadnie – była dramatyczna.

– Jestem policjantem, zastanów się dobrze, zanim cokolwiek zrobisz.

Tyle zdążył powiedzieć.

Otrzymał cios z tyłu z kija bejsbolowego w nogi na wysokości kolan. Uderzenie to gruchnęło ze znaczną siłą i zwaliło go do pozycji modlitewnej, a kiedy zaczął się paroksyzm bólu, to na cztery łapy. Nim upadł, kątem oka dostrzegł, jak facet o nieludzkim głosie chowa broń.

Zaryzykował.

Odwrócił się, płynnie wstając na równe nogi, mimo tętniącej boleści w kończynach. Kocim ruchem wykonał unik przed zamachującym się na niego ściśniętą pięścią gościem, kopnął go w jaja, to był ten bez kija; lecz dostrzegł kastet na jego złożonej dłoni.

Szczupły, który znów z jego punktu widzenia był z tyłu, schwycił go oburącz za szyję – uścisk był nad wyraz profesjonalny. I bardzo silny, co zdziwiło Łukasza. Facet z bejsbolem chciał mu już przylutować w brzuch, ale policjant kopnął go butem. A właściwie to kopnął kij, który pod wpływem tego działania rykoszetem pchnął agresora w korpus. Ściskającemu go napastnikowi nareszcie przysadził głową w nos i tym sposobem oswobodził się z tego precyzyjnego chwytu.

Odwrócił się w jego stronę, bo w końcu miał on broń, ale nawet nie zdążył się ruszyć. Dostał cios z niebezpiecznego kastetu w tył głowy, blisko potylicy. Oszołomiony, runął na ziemię. Wątlý kopnął go w twarz, przez co z nosa poleciała mu krew.

Potem się zaczęło.

Ten z kijem walił go swoim narzędziem ataku po plecach. Czynność tę wykonywał na zmianę z facetem z założonym na pięści wzmacniaczem efektu uderzenia. Po chwili włączył się Wątlý, kopiąc go po całym ciele, nie oszczędzając nawet nóg. Łukasz nie miał żadnej szansy na reakcję, mógł tylko zakryć twarz, by chronić ją przed urazem.

Tłuczony, stracił rachubę w liczbie otrzymywanych razów. Czuł ciągły ból, o różnym natężeniu. Nawet nie wiedział, kiedy skończyła się ta napaść.

Nie wiadomo, kiedy przebudził się, z trudem oddychając. Wypluł sporo

krwi, którą w mgnieniu oka rozmywał deszcz. Chmury więc w końcu dały sobie upust. Z ogromnym trudem zdołał zadzwonić do Maradony.

Później znów zemdlał.

To wydarzenie pamiętał jak przez mgłę. Miał niespokojne sny pełne krwi. Ocknął się w karetce, z maską tlenową na twarzy. Ból pulsował jeszcze bardziej dotkliwie. Przebudzenie trwało tylko moment, bo kolejny przeskok skończył się o czwartej nad ranem, kiedy zbudził się w szpitalu. Przebywał w jednoosobowej sali, fizyczne cierpienie w znacznej mierze ustąpiło – kroplówka intensywnie właczała w jego krwiobieg różne substancje, w tym pewnie przeciwbólowe. W pokoju, jak i na pustym korytarzu, panował półmrok. Maszyna kontrolująca puls pikała w prawidłowym, zdrowym rytmie.

Ocecił stan swoich obrażeń. Najgorzej wyglądał korpus, cały zabandażowany, ale chyba nic się nie złamało, skoro leki przeciwbólowe pomagały. Odczuwał bułę, a może nawet ciętą ranę na opatrzonej głowie, w miejscu gdzie dostał krytyczny cios z kastetu. Dotknął nosa, miał swój stały kształt. Przejrzał nogi – były posiniaczone, ale całe. Na koniec, co dziwne, że dopiero teraz, wymacał szczękę i zęby – jeden z tyłu lekko się kiwał, ale to chyba było tylko złudzenie, bo rano wszystkie mocno się trzymały.

Lekarze zawsze mówili, że ma twardy organizm. Kiedyś, w trakcie hospitalizacji po postrzale, pewien doktor stwierdził nawet, iż jest niezniszczalny, jak karaluch.

Przespał się jeszcze kilka godzin, a ponowny powrót na jawę był bardziej bolesny. Doktor w porze obchodu wyjaśnił mu szczegóły, stwierdził, że Łukasz musi zostać kilka dni na obserwacji i że mogło być o wiele gorzej.

Kiedy pielęgniarka o ładnych, szatynowych włosach wymieniła mu kroplówkę, dostrzegł na korytarzu Dagmarę. Niemal w tym samym momencie w zasięgu jego wzroku znalazła się Edyta. Ładne jaja. Ich zetknięcie miało dziwny charakter. Porozmawiały, weszły do sali we dwie.

Obie były wyjątkowo zatroskane, jak to baby, interesował je wyłącznie stan zdrowia Łukasza. Co chwila pytały, jak się czuje. Edyta w pewnym momencie stała się nieco bardziej rzeczowa, jak przystało na policjantkę. Spytała, czy pamięta coś z niemiłego incydentu. Łukasz odparł, że widzi wszystko minimalnie, na pewno, tego był pewien jak mało czego – jednym ze sprawców był tajemniczy chudy facet, który – co bardzo prawdopodobne – odpowiadał za zamach w klubie i... Tutaj się zatrzymał, z racji obecności Dagmary.

Cóż za pierdolona ironia losu, pomyślała Edyta. Niedługo potem musiała opuścić szpital. Dagmara została, czuwając przy przyjacielu. Zdążyła się pochwalić, że odebrała wyniki testu na HIV i jest całkowicie zdrowa. Nieźle razem wyglądali – on pobity, ona wciąż z wyraźnymi śladami po przykrym zdarzeniu, jakie ją spotkało. Z tym że ona miała też poważniejsze rany, te stricte psychiczne.

Łukasz wiedział, że dwie kobiety dałyby się za niego pokroić. Czuł, że już niedługo nadejdzie moment, aby spróbować tego, co na ostatniej sesji zaproponowała mu Garlicka.

Po południu, gdy był już sam, do szpitala wpadła Justyna Brede. Miała wypisane na twarzy przerażenie, lecz też złość. Złość, że o pobiciu faceta, któremu niedawno całkowicie się oddała, dowiaduje się ostatnia. Ale również złość, że owy mężczyzna nie kwapił się do kontaktów z nią po tym, jak ją przeleciał. Ależ jak przeleciał! Do teraz miała ciary w strefach erogennych, toteż nie mogła się gniewać. Do oceny przyzwoitości należy więc fakt, że rozmawiając z nim, rytmicznie poruszała dłonią pod pościelą.

Wieczorem wpadł ostatni gość, mianowicie Wolnicka. Nieco nazbyt służbowo, bo szybko, zaczęła gadkę, pomijając pytania o zdrowie i tak dalej:

– Chcesz ochronę? – sinoczerwona pomadka do ust sprawiła, że każde wypowiedziane z nich słowo było swoistą poezją.

– Nie. To było ostrzeżenie, nie chcieli mnie zabić. Dosadnie dali mi do zrozumienia, że mnie odjebią, jak nie przestanę dłużyć w jednej sprawie. A ja jestem pewien, że chodzi o Bestie.

– Jeszcze się chwal. To nie nasz temat...

– A wczorajsze zabójstwo? Tej dziewczyny zamordowanej przez Bestie? My się tym zajmujemy – kontrował, ale z nikłym entuzjazmem.

– Garlicka wczoraj przekazała mi szczegółową opinię. Zakończyłeś terapię z satysfakcjonującym efektem.

Przytaknął tylko miną.

– Koziół złożył wymówienie. Co to za burdel? Powiedział, że muszę je przyjąć, bo inaczej zachleje się na służbie. Może myślicie, że jestem idiotką, ale czuję, że to on był wtyką pismaków...

– Nic o tym nie wiem.

– Jasne. Dajesz mu w ryj, a potem on rezygnuje. A nie, przepraszam, przecież to nie ty go wczoraj sprąłeś... Tak czy owak, przyjąłem jego decyzję o odejściu i zaakceptowałem ją. Ale emeryturki nie otrzyma, biedaczysko. Troszkę sobie jeszcze popracuje, pracoholik.

Następny temat był równie przewidywalny, ale Łukasz głupio wmawiał sobie, że go ominie.

– Na twoich rękach znaleźli ślady po grubych igłach.

– To od insuliny – ironicznie rzucił na odczepne.

– Też tak myślałam...

– Toksykologia czysta, nie?

Nie odpowiedziała, ale ta cisza była potakująca.

– Dlatego...

– To trafi do akt – przerwała podwładnemu szefowa. – Chyba że coś dla mnie zrobisz.

Czekał na propozycję układu od Wolnickiej, chociaż domyślał się, co może dla niej wykonać.

– Pójdziemy na kolację – delikatnie się uśmiechnęła.

– Nie, nie pójdziemy, Ilona – zaskakująco odparł. – Nie zrobisz mi syfu i zatuszujesz informację o tych znamionach zażywania, bo aktualnie jestem czysty i będę czysty, więc takowa afera nie ma sensu – będzie się przeciągać w czasie, a koniec końców wyjdzie z tego jedno wielkie nic. Masz już dosyć kłopotów.

Zasmuciła się, jakby wiedziała, co robi, a była wobec tego bezsilna. Chyba nawet od Łukasza chciała czegoś więcej niż zerżnięcia.

– Nie chcę cię skrzywdzić – starał się ją pocieszyć. – Wybacz, nie jestem tobą zainteresowany.

Po chwili szpitalnej ciszy, czyli ciszy pustej, ale z wieloma dalszymi dźwiękami, powiedziała:

– Mógłbyś mi chociaż dać jeden pocałunek? – Jej wargi miały piękny kształt.

– Nie – ostudził boleśnie nadzieje naczelniczki wydziału zabójstw. –

Będzie cię to później znacznie bardziej bolało.

Wstała z krzesła niczym obrażona baletnica, ale miało to tylko charakter pozoru. Na pożegnanie rzekła:

– Jesteś pieprzonym świrem, ale na swój sposób troszczysz się o innych ludzi. Chyba jednak zależy ci na nich i ich lubisz, Nietzsche.

Długo się nad tym nie zastanawiał, bo osłabiony organizm natychmiast domagał się, aby przyciął komara.

Ze szpitala wypisał się w piątek. Przez weekend bardzo zżył się z Dagmarą – sporo rozmawiali, kupili telewizor, aby popatrzeć na bzdety, które tam wyświetlają. Odbyli nawet niedzielny spacer niczym małżeństwo z wieloletnim stażem. Łukasz czuł namiastkę szczęścia w sercu, a Dagmara miała poczucie, że pierwszy facet w jej życiu nie odbiera ją wyłącznie za – jakby to powiedział oficer Dziadzio – jebadełko. Wciąż nie wyglądała najlepiej, a plan jej rekonwalescencji zapowiadał jeszcze długą, męczącą podróż.

Coś w tym musiało być, skoro jak nie mogła już iść, bo nawet wolny krok zaczął sprawiać jej ból, wziął ją na barana, mimo że towarzyszył mu przy tym ból po własnych obrażeniach; albo jak wtuleni w siebie na ławce w parku obserwowali spadające liście. Skończyło się ćpanie, znikły halucynacje – choć Łukasz czuł, że jest to zbyt piękne. Miał dziwne wrażenie, że sobie to wszystko wymyślił, że to nie jest prawda.

Z poniedziałkiem wrócił do roboty, mimo iż jeszcze nie musiał. Już przed południem pojawiła się rewelacja – źródło^[1] Łukasza namierzyło Konara. Podobno konkretnie łoił gorzałę w jednym z osiedlowych barów. Udał się tam z Maradoną.

Mieli go na widoku – łysego kafara z tatuażem na okazałym bicepsie – tak jak mówiła Dagmara – przedstawiającą kobietę trzymającą na łańcuchu wielkiego psa. Pracownik baru przyniósł mu kolejną tacę z kilkoma pełnymi kieliszkami – ten pił bez słowa i bez opamiętania. Nie wyglądał na kogoś, kto się ukrywa przed policją. Maradona myślał, że będą go śledzić. Łukasz stwierdził, że trzeba dać mu się zmiękczyć wodą.

– Jak Przystojniak? – Podkomisarz miał opatrunek na głowie, wciąż też każdy gwałtowniejszy ruch sprawiał mu ból – coraz mniejszy, ale jednak.

– Sprawdziliśmy chyba wszystkie tropy – odparł Maciek, siedząc za kierownicą peugeota. – Tradycyjnie, jesteśmy w ciemnej dziurze. Na

pogrzebie Maciejewskiej oczywiście się nie zjawił, to zbyt cwana myszka. Kto to kurwa jest?

– Ma zajebistą pewność siebie. Jest wyjątkowo bystry, dodatkowo sprawny fizycznie, co zmieszane z patologiczną osobowością, daje...

– Mordercę idealnego?

– Nie. Chciałem powiedzieć, że ma stuprocentową świadomość swoich czynów. – Przerwa, dalsza obserwacja samotnie chlejącego Konara. – Nie ma idealnych morderców. Ale to nie jest amerykański serial, w którym znajdziemy go po śladzie buta albo skrawku spodni. Musi nam coś zostawić. Gdzieś musi mieć swoje korzenie, ktoś go zna...

– Jest jakaś szansa, by wpadł?

– Duża. I to będzie pierdoła, która go zdradzi. Wielu w ten sposób wpadło.

– Nie chcę już kolejnych ofiar – skwitował Maciek.

– Nikt nie chce – chłodno skomentował Łukasz. – Co słyhać w mieście? – spytał po chwili kolegę.

– Oczywiście krąży fama, że polują na Salcesona. Nie da rady uniknąć kuli, prędzej czy później go zatłuką. A pozostałe Bestie, widzisz – Maradona skinął głową na Konara – zaczynają się nam chłopcy dezorganizować. To imbecyle.

– Co z wakatem po Koźle?

– Nie wiem. Może przyślą nam jakąś młodą cizję prosto ze Szczytna^[2]?

– O ile wiem, to jesteś żonaty, Maradona – Łukasz ostudził zapał kumpla z pracy.

– Tak mi się tylko powiedziało. Każdemu wolno pomarzyć.

Nastąpił kolejny etap oczekiwania, nie wiadomo na co.

– Nienawidzę tego czekania. Jak byłem mały, to myślałem, że policjanci tylko działają, a tu się okazało, że tylko czekają. Wszędzie na wszystko – wyżalił się Maciek.

– Ale ty dalej jesteś mały, Maradona – żartobliwie odparł Łukasz. – Dobra, zdejmujemy go. – Dynamicznie otworzył drzwi i wyszedł z samochodu.

– Ty, to ja wezwę wsparcie, przecież to góra mięsa. – Maradona również wyszedł z bryki i szedł koło Łukasza jak niespokojny piesek.

– Daj spokój, to tylko jeden facet – lekceważąco odpowiedział podkomisarz.

– Nie no, Nietzsche, bez jaj!

Na nic były protesty Maćka. Stał za wejściem, kiedy Łukasz wstąpił do knajpy i zbliżył się do lady, gdzie naprzeciw barmana pił Konar. Gangster zerknął na Łukasza i rzucił:

– Chcesz poprawkę w głowę?

– Masz synu problem – poważnie rzekł do Konara oficer.

– Co?!

– Gównno.

Pierwszy cios w twarz był mocny, ale tylko zachwiał Konara, nie zwałił go z nóg, dlatego Łukasz kopnął z całej siły długie krzesło, na którym siedział. Wtedy łysy idiota runął na ziemię, pyskiem do podłogi. Nie zdążył się podnieść, bo otrzymał mocnego kopa w splot słoneczny. Zaraz potem nastąpiła seria trzech uderzeń z łokcia, z pełnego zamachu, w obie nerki i na wysokości wątroby. Następnie Łukasz zerwał bydlaka z pozycji leżącej, co wymagało włożenia w to nagłej, pełnej siły, i rzucił go o ścianę, z którą wskutek tego Konar zderzył się, uszkadzając sobie nos. Łukasz zbliżył się tam, po czym dokonał trzech żywych ciosów, przez całą szerokość pleców Konara. Po ostatnim bandyta chlusnął jasnymi wymiocinami na ścianę, a Łukasz palnął go rozłożonymi dłońmi, dolną częścią nadgarstka, równocześnie w uszy. Wtedy wystarczyło już tylko złapać go za łysy łeb i pociągnąć do siebie, co spowodowało, że upadł na glebę, pozbawiony woli walki oraz solidnie obolały i oszołomiony.

– Co tu się, kurwa, dzieje, człowieku?! – krzyczał barman, który wylazł z lady.

– Wydział zabójstw. – Łukasz wyciągnął blachę i okazał ją zdenerwowanemu człowiekowi. Mimo to mężczyzna spojrział na Maradonę, też zszokowanego, szukając u niego potwierdzenia.

– Jedziesz chuju do fabryki – Łukasz oschle rzucił do Konara. Potem niedelikatnie założył mu kajdanki.

– Na tortury – dorzucił, choć Konar już wyglądał i zachowywał się, jakby przeszedł istne męki.

[1] Źródło – informator.

[2] W Szczytnie znajduje się Wyższa Szkoła Policji.

Dagmara stanęła w progu, dostrzegając za szkłem weneckim jednego ze swoich oprawców. Łukasz jednak dodawał jej otuchy, namawiając ją do odwagi. Zdecydowanie pomógł w tym też fakt, że Konar był goły, miał założone kajdanki na dłoniach i stał w niekomfortowej sytuacji: oparty wyłącznie policzkiem o ścianę. W samych skarpetkach, posiniaczony i z małymi od sterydów *cojones* wyglądał doprawdy przezabawnie.

– Ustaw równo tego pajaca – rzucił zza szkła Łukasz do pilnującego go policjanta, włączając mikrofon tylko na sekundę.

Chwilę później Konar stał jak grzeczny chłopiec, odwracając wzrok od szyby, w której nie widział oglądających go osób.

– To on – w końcu powiedziała Dagmara. Wciąż się go bała, to było widać, ale czuła wewnętrzną satysfakcję, że ten, który ją skrzywdził, jest teraz nagi, bezbronny i pobity. W środku wszyscy tacy jesteśmy. Dobrze, że mamy maski, które można zakładać.

– Jesteś pewna? – automatycznie spytał Łukasz.

– Tak.

– Miał kominiarkę, chcesz usłyszeć jego głos?

– Nie. To on. Wiem o tym.

– Ten mój kumpel z korytarza odwiezie cię, może być? – mówiąc to, pokazał palcem na wyjściowe drzwi.

– Dobrze.

Oddał więc przyjaciółkę w ręce Maradony. Sam za to został tam, patrząc na Konara. W sumie to nawet chciał go zabić. Ale te myśli stłumił mu Dziadzio, który zjawił się w pewnym momencie, wszedłszy tylko na moment do pokoju przesłuchań, gdzie rzucił do policjanta:

– Co, on jest w przedszkolu? Ułóż go w odpowiedniej pozycji dla takiego śmiecia.

Kiedy w przedścionku zamieniali razem kilka zdań, Konar wbrew swojej

woli powrócić do poprzedniego, piekielnie niekomfortowego ustawienia.

– Skoro to sprawa osobista, to dokończ go. Jutro przejmuje go prorok^[1], a ja muszę mieć jakiś zapis z przesłuchania.

Tak właśnie, w to dżdżyste, wczesne, wtorkowe popołudnie Łukasz znalazł się sam na sam w pokoju z Konarem. Rozłożył się wygodnie na krześle i palił papierosa. Gangus prędko się odezwał:

– Łamiecie Konstytucję!

– Tak, ale nie jesteśmy sadystycznymi gwałcicielami – odparł Łukasz.

– Zmarznę i będę chory!

– No, uważaj żebyś nie dostał zapalenia skarpetek i palpacji paznokci.

– Muszę usiąść – teraz gangster mówił już wyjątkowo niewyraźnie.

– Na siedzenie trzeba sobie zasłużyć.

Ale podszedł do rozmówcy. Nie usadził go na krześle, lecz ryzykownie podciął mu nogi. Ryzykownie, bo obezwładniony w kajdankach Konar runął na glebę, twarzą do podłogi. W mgnieniu oka skądś z jego mordy poleciała krew, nostalgicznie płynąc po pomieszczeniu.

– Pójdiesz za to siedzieć, kundlu! – ryknął rozwścieczony Konar, niezdarnie obracając się na plecy. Zaraz jednak zmienił tę pozycję na leżenie na brzuchu, bo nieprzyjemnie uciskała go założona na łapy biżuteria.

– Ja? Za co? Stan polskich aresztów jest słaby, miałeś pecha, ktoś ci tam walnął w cymbał...

– Wy wszyscy powinniście wylądować w pierdlach – skomentował Konar. – Stosujecie ubeckie metody!

– Ja nic o nich nie wiem. Ty też jesteś za młody, chłopcze.

Łukasz spoczął z powrotem na krześle, zapalił następnego szluga.

– Dobra, dość tego pieprzenia o niczym – rzekł po kilku mocnych machach. – Rozpoznał cię świadek. Twój materiał biologiczny i ślady linii papilarnych zgadzają się z tymi znalezionymi w i na zamordowanej tydzień temu dziewczynie. Ale mamy jeszcze dwa typy takich dowodów, pozostawionych przez twoich kamratów. A ja wiem, że pierwszą dziewczynę zgwałciliście we czterech, więc tak samo musiało być przy drugiej. Dlatego drobiazgowo opowiesz mi wszystko, bez pomijania faktów.

– Nie rozmawiam z psami – przerwał Łukaszowi Konar.

– Osobiście zrobię wszystko, żebyś resztę życia spędził w zamknięciu. Chyba że podasz nam wszystko, co wiesz o pozostałych: nazwiska, ksywy, adresy met i tak dalej. Wtedy możemy gadać o dwudziestu pięciu latach. Ile

masz teraz, Konar?

Chwila milczenia.

– Dwadzieścia osiem.

– Widzisz? Wyjdiesz przed pięćdziesiątką za nienaganne sprawowanie. To jak?

– Pierdolę was! Nic nie powiem!

– Tylko że spójrz na to z drugiej, nieznanej ci jeszcze strony... Już wszystko ci objaśniam. Jest jeszcze druga opcja i właśnie mnie do niej namawiasz.

Dym już nieźle okopcił pokój.

– Uciekniesz przy transporcie do aresztu i na zawsze zniknie po tobie ślad. Oficjalnie, bo nieformalnie zjarasz się żywcem w jakiejś melinie albo ponurkujesz z betonowymi bucikami. Mówiąc wprost, żebyś to, pacanie, zrozumiał, przehuśtasz się, jak to bywa w tym zasranym mieście. – Łukasz wstał, zbliżył się do mizernie wyglądającego bydlaka i rzucił: – Zastanowisz się teraz. W tym momencie. Pomyśl, Konar. Za chwilę możesz być rozkuty, ubrany, usiądziesz sobie oraz dostaniesz kawę, kanapkę i fajkę. – Przerwa. – Dwadzieścia pięć lat w zamian za wszystko, co wiesz. W zasadzie ceną jest twoje życie. Żywot wrażliwego jak pustak barana, ale jednak korzystnie mieć puls, nie? Chyba nawet ty zdajesz sobie z tego sprawę.

W przeciągu następnych sześćdziesięciu minut z parszywych ust Konara popłynęły szczerze konkrety. Napastników w obu przypadkach rzeczywiście było czterech: on i niejacy Makarov, Czesiek oraz Dentysta. Pierwszych dwóch widniało w rejestrze, posłano za nimi jednostki czarnych, ale efektów z tego nie uświadczono. Obaj byli zameldowani w mieszkaniach rodzinnych, a Konar nie znał ich innych adresów. Tak czy owak wyciągnięto z niego wszystkie informacje dotyczące Makarova i Cześka, rozesłano listy gończe i uruchomiono informatorów. Ci widocznie mieli ciut bardziej pomarszczone mózgi od tępego umysłu Konara, skoro przynajmniej się ukrywali. Trzeba było czekać, aż wypłyną, co zapewne szczególnie nie podobało się Maradonie.

Inaczej sprawa miała się w związku z niezidentyfikowanym typem ps. [2] Dentysta. Konar twierdził, że w grupie Bestii zjawił się znieca i po rozplnięciu Mehmeta przejął rolę cyngla – także najprawdopodobniej to on odjebał trzech ludzi Salcesona. Gość był wątyły, niepozorny, ale kompletnie walnięty, mówił Konar. Taka szara myszka z solidnie zrytym beretem.

Bingo! Czyli to niemal na pewno ten, który ostatnio zajmował dużo czasu antenowego w myślach Łukasza. Konar zgodził się sporządzić portret pamięciowy, ale konkretów na jego temat nie miał. Napomknął tylko, że raz przy ostrym chlaniu i grzaniu Dentysta wyjawiał, że miał masę kobiet na całym świecie, ale jeszcze wiele więcej ludzi zabił. Twierdził, że mordował nawet zwierzęta. Był świetny w walce wręcz i w obsłudze broni palnej.

– Raz jeszcze – dodał po namyśle Konar – mówił mi, że najbardziej lubił strzelanie do ciężarnych. Kto trafił w serce dziecka, w nagrodę pierwszy ruchał najładniejszą kobietę w okolicy. Nigdy nie powiedział, o co w tym chodzi ani gdzie to się działo. Wyjątkowy pojeb.

Tajemniczy Dentysta nie zostawiał też nigdzie swojego śladu, nawet jak był w tragicznym stanie, twierdził Konar. Przy tych wypadach zakładał prezerwatywy, nosił rękawiczki, a po wszelakich akcjach szukał najmniejszych włosków, które tracił.

– To on je bił. To on udusił tę dziewczynę.

Łukasz powstrzymał się przed daniem mu w mordę. Konar opowiedział jeszcze o grupie Bestii, ale szczątkowo, bo podobno tyle wiedział – albo tyle chciał wiedzieć, bo przecież z głową^[3] na koncie nie kwalifikował się na koronnego. Nigdy nie spotkał Wilczura, nie działał zbytnio w grupie, nie zna wszystkich, takie tam. Tak jak każdy – czyżby nawet taka zakuta pała miała świadomość, że zbyt śmiałe gadanie o gangu może go pogrążyć na amen, nawet w więzieniu. Aż tak daleko sięgają macki Wilczura czy, Bóg wie, kto tam rządzi tymi mięśniakami. Może Konar zdawał sobie sprawę, że mocodawcy, których chyba rzeczywiście nie znał, jak ocenił Łukasz, mogą sprawić, że jego pobyt w ciupie będzie znacznie wygodniejszy niż normalnie?

– Z tymi dwudziestoma pięcioma latami to kłamałem – powiedział na koniec Łukasz. – Ale na wypadek, gdybyś chciał wycofać zeznania, to opcja z zaginięciem wciąż jest aktualna.

Miał dość tego dnia. Lecz jak każdy paskudny, ten nie zamierzał się jeszcze kończyć.

Mianowicie wtorek miał się stać jeszcze o wiele bardziej obrzydliwy.

[1] Prorok – prokurator.

[2] Ps. – pseudonim.

[3] Głowa – zabójstwo.

Przed wyjściem z fabryki musiał załatwić jeszcze jakieś pierdy w głównym sekretariacie. Nie wykonał tego, bo dyżurny, zauważywszy go, zawołał do siebie. Stwierdził, że od dwóch godzin czeka tutaj mężczyzna, który już dwa razy zdążył powiedzieć, że zabił człowieka. Widząc jednak jego usposobienie, wszyscy gremialnie mieli go tam, gdzie kończą się plecy, i uznali go za nieszkodliwego wariata. Łukasz oponował przed przyjęciem tego interesanta, ale służba nie drużba – tak więc musiał tego dnia jeszcze czymś się zająć. Czymś, co z pozoru wyglądało jak ponury żart.

Facet ten siedział spokojnie na krześle dla oczekujących, tak jakby dobrze znał panujące w komendzie zasady. Był solidnie zbudowany, miał twardą, zaczerwienioną twarz z wyrazistym nosem, szpakowate włosy o średniej długości i duże dłonie. Łukasz przyjrzał mu się przez chwilę, po czym niechętnie się przedstawił i wymuszonym gestem zaprosił do swojego gabinetu. Mężczyzna szedł tam wraz z oficerem nad wyraz łagodnie, jak potulna owieczka.

Łukasz, niczym światowy i obyty człowiek, nie proponował niczego, po prostu zrobił mu kawę i dopiero wtedy gość, który dotąd się nie przedstawił, podziękował, odmawiając. Siedzieli w pokoju we dwóch, Edyta gdzieś się ulotniła. Łukasz milczał, udawał, iż na ekranie peceta widzi coś pasjonującego. Ta cisza była błoga, lecz na swój sposób również niepokojąca i jeszcze do tego katartyczna, co stanowiło wielce nietypową mieszankę. Nieodzywający się typ oddychał miarowo, delikatnie, dziwnie jak na swoją posturę i wygląd.

– Może zacznie pan od tego, jak się nazywa – rzekł w końcu Łukasz.

Cisza.

– Dobra, nie lubię panowania – teraz ton podkomisarza był naturalny i szczery. – Trukałeś do dyżurnego, że kogoś zabiłeś, nie? No to opowiadaj, jesteś w wydziale zabójstw.

– Nazywam się Gerd Kovik – powiedział mężczyzna. Miał twardy akcent, na pierwsze wrażenie zdawało się, że niemiecki, poza tym to już bardziej do niego pasowało niż ostatnie zachowanie.

– Skąd pochodzisz?

– Z Bawarii. Przez lata pracowałem w niemieckiej *polizei*.

– No, to pogadajmy jak pies z psem. Kogo zabiłeś?

– Mojego przyjaciela – odparł Gerd Kovik. Wyglądało na to, że jego polski był bardzo dobry.

– Kiedy i gdzie?

– Wczoraj, w moim domu, za miastem.

– Dobra. To wyślę tam patrol, oni sprawdzą, że nie ma żadnego ciała, a ty dostaniesz pajdę^[1] za wkurwanie mnie. – Łukasz ani odrobinę nie wierzył, że siedzący naprzeciw niego to morderca. Ale nauczony doświadczeniem przemógł się i nie zignorował go do końca. – Więc jak będzie?

– Tam nie będzie zwłok, tylko głęboko zakopane resztki.

– Co?!

– Ciało mojego przyjaciela jest we mnie.

Łukasz wstał, zbliżył się do Gerda Kovika i przeniknął go wzrokiem. Oczy Niemca były bystre, mieniły się wyciszeniem.

– Powiedz to jeszcze raz – zimno rzekł oficer, nie spuszczając uwagi ze ślepi Kovika.

– Ciało mężczyzny, którego zabiłem, wciąż jest we mnie. Już część wydalilem.

– Zjadłeś swojego kumpla?

– Nie. Zjadłem swojego kochanka. Wiesława Stasiaka.

– Wiesz, co to oznacza?

Gerd Kovik najprawdopodobniej nie wiedział.

– Że będzie zabawa – dokończył Łukasz.

Lecz nie było w tym nic zabawnego. Najpierw udali się do posiadłości na przedmieściach – Łukasz, Edyta, Gerd, a za nimi dwa oznakowane radiowozy i ekipa techników. Szykowały się nie tylko wykopki, ale też żmudna praca związana z zabezpieczaniem śladów, jeśli takowe rzeczywiście by istniały.

Istniały, oj istniały. Dom Gerda Kovika był stworzony solidnie, z wprawą doświadczonych fachowców. Z daleka wydawał się ogromny,

toporny, z bliska – bardziej delikatny, jakby skurczony. Jasnobordowa, nieco wypłowiata elewacja nieźle komponowała się z czarnym jak smoła dachem, który postawiony był prawie w całości w poziomie. Kovik jako miejsce do kopania wskazał pole łysej gleby za zniszczonym, zakrytym basenem na stelażu. Kiedy policjanci sprawnie i zorganizowanie machali w tę i z powrotem łopatami, oficerowie wespół z technikami przeglądali wnętrze budynku. Co by nie powiedzieć, urządzone ono było estetycznie, nawet minimalnie teatralnie, z dozą sztuki na pokaz. Ten eksponowany artyzm jednak nie raził, bo uderzała z niego rzetelność, wrażliwość i wartościowy przekaz. Ale dość tych słodkości.

W kuchni w koszu pod zlewem znaleziono masę prezerwatyw, opakowania po żelach i olejkach erotycznych oraz jednorazowe rękawiczki. W pokoju-gabiniecie widniały liczne wizytówki miejsc dla ludzi z nietypowymi preferencjami seksualnymi. W salonie, ukryte w gładko zakończonej półce, stały płyty z pornografią, oczywiście nie taką, przy której pojęcie stosunku płciowego oraz anatomie swojego gatunku poznają żądni wiedzy młodzieńcy, zwani również onanistami. Istnym skarbem okazał się jednak komputer, szaro-czarna skrzynka, którą zabezpieczono i zabrano do szczegółowej analizy – dzięki temu, że pecet zawieszono do komendy, policjanci mieli jeszcze odrobinę spokoju przed zajrzeniem w jego zawartość.

Na fotografii przy łóżku Kovika, gdzie unosił się dziki zapach, wraz z nim zęby szczyrzył jasny, wręcz siwy blondyn, równie surowy z twarzy co Gerd, ale bardziej zadbany... dobra, w zasadzie to wypielęgnowany jak dziewczyna na bal maturalny. Męskości w tym nie było za grosz.

Niemiec podczas tego całego zamieszania niewiele mówił, a kiedy wyciągnięto zakopane w ziemi szczątki, zemdłał. Dziwne, bo były one przecież schowane w worku do kontenera. Łakocie, które można było tam wydobyć, to m.in.: oczy – aryjskie i suche, włosy – delikatne i kruche, paznokcie – twarde i szpiczaste, jelita, żołądek, fallus i pusta moszna pływające w jej treści. No i, rzecz jasna, kości. Nienadszarpnięte czasem, ale brudne, sfatygowane, niektóre nieobgryzione do końca. Pełniutka czaszka, niestarannie dokończona z tkanki miękkiej, wszelkie kości kończyn, połamany kręgosłup. Przezabawnie wyglądał szkielet dłoni, a szczególnie palce: blade, prezentowały się niczym pozostawione przez klientów w restauracjach typu fast food niedojedzone panierowane nogi z kurczaka.

Nawet najwytrwalsi wymiotowali. Ale nie Łukasz, choć – bądźmy szczerzy – było blisko.

Do zdarzenia, jak przyznał Kovik, doszło w piwnicy. Rzeczywiście, mimo że ją posprzątano, można było tam odczytać i zebrać do analizy przeróżne ślady. Absolutnie dobijająca była kamera, która – jak powiedział Niemiec – wszystko zarejestrowała.

– Nagranie jest na komputerze – wymamrotał początkujący kanibal.

No właśnie, w końcu niestety doszli do raportu z zawartości peceta i dowodów na to, jak go użytkowano. A przecież czekało ich jeszcze przesłuchanie Kovika... Edyta rzuciła tym wszystkim w pizdu, także z Jaśniakiem gadał Łukasz, do sprawy włączył się też Maradona.

Okazało się, że Gerd Kovik miał dostęp do podziemnego Internetu, czyli po prostu środowiska w sieci dla totalnych wykolejeńców, i intensywnie z niego korzystał. Był on na przykład ciekaw, jak wykonać świni orzeźwiający *feasting* albo jak nieinwazyjnie zrobić sobie lewatywę. Przeglądał fora tematyczne z ogłoszeniami – by okazać ogrom ich zepsucia, niech posłuży przykład, że jakiś pracownik chłodni dla zwłok za odpowiednią opłatą wynajmie na noc martwe ciało. Do wyboru, do koloru: zgrabna panienczka, staruszka, która przegrała walkę z rakiem, pechowy niemowlaczek czy zwykły facet w średnim wieku, po nagłym, śmiertelnym zawale. Analogiczne oferty zamieszczali ciecie z zoo czy z muzeum, tak aby każdy chętny mógł sobie zrobić dobrze przy pomocy egzotycznego zwierzęcia czy ulubionej rzeźby. Przegięciem były już anonse typu: *Szukam młodego, szczupłego mężczyzny do zjedzenia* lub *Sowicie zapłacę za możliwość kontaktu z ludzkim płodem ze skrobanki*. Ale to nie koniec. Repertuar filmów, jakie w necie czy to po ściągnięciu oglądał Kovik, zapewne wraz z Wiesławem Stasiakiem, był – oględnie mówiąc – szokujący. *Podwójna penetracja ślicznej dziewięcioletniej Azjatki*. *Ręczna robótka babeczki z nieludzko zdeformowaną twarzą*. *Elektryczne pieszczoty kobiety w ostatnim miesiącu ciąży*. *Soczysty blowjob dokonany przez głupiutką czterdziestolatkę z zespołem Downa*. *Ostra jazda z shemale na wózku inwalidzkim*. Lub filmy z tagiem *rape*. Te nastolatki, dziewczyny, kobiety, wyglądały jakby naprawdę były obiektem napaści na tle seksualnym. Bo, kurwa mać, były. Autentycznie. Rzecz jasna, w tej bogatej playliście nie zabrakło pornosów z kategorii *Gay*, a w nich włączone do zabawy, jakżeby inaczej, kanibalizm, kał, mocz, wymiociny, wampiryzm i... niestety tak –

Śmierć na żywo.

Jaśniak, pokazując to wszystko komisarzom, miał twarz bladą jak dupa młynarza. Maradona nie powiedział ani słowa. Zresztą, Łukasz również. Palił najgorszego papierosa w życiu. Wszyscy zgodnie uznali w duchu, że za te pieniądze, co tam, za żadne pieniądze, nie warto paplać się w takim gównie. Po to były studia, doświadczenie, żeby kiedyś zobaczyć coś tak ohydneho? Nikt nie powinien mieć do czegoś takiego dostępu. Nikt nie powinien czegoś takiego produkować. Ja to pierdołę – pomyślał Maradona. W życiu już nie uruchomię kompa takiego popierdoleńca – to z kolei refleksja Jaśniaka. A Łukasz? Nie potrafił wymazać sprzed oczu jednego filmu, który tam obejrzał, sam, bo Jaśniak i Maradona zniknęli wtedy, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Film ten był stary albo celowo narzucono na niego filtr VHS.

To dziecko płakało. Ta dziewczynka tak bardzo płakała. Niesamowicie łkały te niewinne oczka. Do pewnego momentu. W końcu przestała. Naga, już tylko przyjmowała kolejne pchnięcia i ustawiała się tak, by jak najmniej bolały. Już tylko przyjmowała na siebie i w siebie tę szarą maź, nawet jej nie zwracając. Pomyślała o czymś, o czym nigdy dziewczynka w jej wieku nie powinna pomyśleć. Zapragnęła śmierci. Ich było kilku, cali w bieli, włącznie z maskami. Grota, w której to robili, zabryzdana była krwistą czerwienią – czystą posoką, pachniała diabło metalicznie, ale wiedzieli o tym tylko ci, którzy tam byli. Ci bydlacy jakby się modlili, śpiewali chóralnie. Dziewczynka już dawno nie miała siły krzyczeć, płakać. Znow jej to zrobili. Wszyscy. Kilukrotnie. Czują tylko ból, wieczny ból, nieustający strach i pragnienie śmierci. Nareszcie, jak niemiej okrutnie to brzmi, stało się. Jeden z nich wbił jej nóż w brzuch i zaczął nim ją pchać i wyciągać ostrze, pchać i wyciągać. W duchu błagała o zakończenie żywota. Cierpienie, jakie mało kto przeżył na tym świecie, ustało. Płynęła niewinna krew, a oni, ci najbardziej zwyrodniali czciciele szatana, euforycznie krzyczeli:

– Dokonało się! Pan ma nową oblubienicę! My, niegodni bycia twoimi zastępcami, jesteśmy tylko twoimi cieniami, ale wykonujemy twoją wolę.

Dziewczynka już tego nie słyszała. Odleciała do wiecznej krainy.

Do krainy niewinnych.

Jeśli istnieje piekło, to jest to zdecydowanie za mało dla ludzi, którzy brali udział w tym obrzydliwym obrzędzie. Dla tych opętanych morderców nikt nie wynalazł jeszcze odpowiedniej kary. Najgorsze jest to, że takich

trzeba kochać najmocniej. Bo miłość jest dobra, a miłość w stosunku do najgorszych ludzi to esencja nieskazitelnego dobra, bez względu na wyznanie i tak dalej. To truizm, ale jakże ważny.

Ale jak miłować takie coś? Ludźmi nie można ich nazwać.

Mówili po angielsku z brytyjskim akcentem, także Łukasz uświadomił sobie, co robił często, że jego praca nie ma sensu. Nigdy nie zamknie wszystkich skurwysynów tego świata. Ale możesz zamknąć chociaż część. To dużo. Nie, to mało. Mylisz się, to dużo, i właśnie dlatego twoja robota ma sens. Nie. Tak.

Po skończeniu tego okropnego czasu Jaśniak poszedł do toalety, a Maradona stał jak wryty. Łukasz rozpieprzył jedną z wysokich półek w pokoju, zrobił to z ukrytą furią. Niedługo potem Maciek rzekł pod nosem:

– Zajebię go.

I ruszył do miejsca, gdzie na możliwość złożenia wyjaśnień czekał Gerd Kovik. Łukasz poszedł za nim. Nie dawał wiary temu, że zazwyczaj spokojny Maradona eksploduje. Patrzył zza szkła weneckiego, bez włączonego głosu, stąd nie słyszał jak niepokojąco stojący Maciek rzecze do Niemca:

– Zabiję cię, ciepły^[2] psycholu...

Potem rzucił się na Kovika jak tygrys na swoją ofiarę. Krzesło się przewróciło, a siedzący na nim Gerd upadł z atakującym i już, jakby w locie, otrzymał pierwszy cios. Jak wściekły był policjant niech świadczy fakt, iż wyszarpując go, Łukasz czuł nieomal taki sam ból, kiedy podnosił Konara. Podkomisarz myślał, że będzie po wszystkim, kiedy Maradona wyjął kłamekę, przeładował i strzelił. Łukasz zdążył jednak pchnąć rękę z wystrzelającą bronią, także kula nie trafiła w Gerda Kovika. Założył koledze chwyt, zabierając z jego dłoni giwerę, i wyprowadził go za pokój.

– Będziesz spokojny? – spytał go wreszcie.

– Tak.

Puścił kumpla.

– To teraz idź i kombinuj, żeby nagranie zniknęło. A potem wracaj i zbierz łuskę. Wymyśl, czym szybko zreperujemy ścianę i jak Kovik się przewrócił. Nie będę kurwa za ciebie myślał, jesteś dorosłym facetem.

– Ten skurwiel pójdzie do psychiatryka i będzie miał życie jak w Madrycie! – rzucił zły Maradona.

– Ja też bym chciał, żeby to gówno dostało czapę, ale w naszym kraju

nie ma kary śmierci. A już na pewno nie można jej egzekwować w policyjnym pokoju przesłuchań!

– Poniosło mnie...

– Mało powiedziane.

Maciek zebrał się do kupy i poszedł sprzątać po sobie. Łukasz zabrał Gerda do innej sali i tam porozmawiał z nim na temat morderstwa, którego się dopuścił.

– No, opowiadaj – zachęcił zabójcę do rozmowy.

Gerd Kovik miał jedną mocną ranę po pięści Maradony, którą Łukasz niechętnie opatrzył, z wielkim obrzydzeniem.

– Przyznaję się, że wczoraj dokonałem zabójstwa względem mojego przyjaciela, Wiesława Stasiaka.

– Kim był Wiesław Stasiak?

Niemiec opowiedział, skąd pochodziła jego ofiara. Mówił z chorą pasją, a z japy jechało mu wściekle nieprzyjemnie, jakby ropą. Łukasz aż wzdrygnął się od tego oparu. Stasiak zostawił dla Kovika rodzinę: żonę i dwoje dzieci. Nie mieszkali razem, ale był on częstym wizytatorem u swojego kolegi. Nagle Gerd nieoczekiwanie zaczął mówić o dwu sprawach, które zapadły mu w pamięci, kiedy pracował w niemieckiej policji. Kuriozalne to było: na kilka minut jakby się przebranżowił, uderzał od niego testosteron. Opowiadał o starowince, pewnej wiedźmie z bagien, która razem z synem mordowała młode dziewczyny – i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że harda babka kroїła zwłoki niczym wprawny masarz tuszkę wołową. Potem robiła z tego mydło. Kovik ze śmiechem na ustach mówił, jak dali jej test do wykonania w kostnicy, a ta staruszka w piętnaście minut zrobiła ze zwłok kotlet siekany. Druga sprawa była mniej makabryczna, ale równie tragiczna: piętnastolatka i jej cztery lata młodsza siostra zabiły własnego brata, bo ich bił i szykanował. Zastrzeliły tego siedemnastoletniego życiowego gołowąsa z tetetki^[3] rodziców, którzy wyjechali na delegację...

– Dobra, dawaj o swoim zabójstwie – rzucił Łukasz, chcąc, by Gerd Kovik wrócił do składania zeznań. Zrobiło się już nieprzychylnie późno.

– Wiesiek przybył do mnie o czternastej. Przyjechał autobusem. Prosto z mostu powiedział mi, czego ode mnie wymaga. Marzył, abym go zabił podczas stosunku, a potem zjadł. Mówił, że dzięki temu na zawsze pozostanie w moim sercu.

Doprawdy, wielka miłość, nie ma co.

Wtedy Kovik znów zmienił temat i styl mowy. Tym razem opowiadał o sprawach, które również go bulwersowały, ale mniej niż poprzednie. Łukasz pozwolił mu kontynuować – chciał zobaczyć, jak będzie wyglądał świr zmieniający nagle jaźń.

– Ten gang sutenerów... prostytutki były im tak posłuszne... Tatuowały sobie na udach albo łydkach: *Jestem własnością Philippa* lub *Moim panem jest Per* – to o chorych zależnościach stręczyciel – dziwka. – Była gruba, brzydka i w pewnym stopniu upośledzona. Rodziła dzieci w stajni, dusiła je i ukrywała w oborniku. Nawet w szkole nikt się nie orientował, że była brzemienna... albo nikt nie chciał się zorientować. Nie uwierzysz, jak miała na imię? Helga! – to z kolei o pewnej dzieciobójczyni.

– Dość tego – rzekł w pewnym momencie Łukasz. – Mów o wczorajszym dniu.

– Udusiłem go paskiem od spodni – Gerd Kovik wrócił do poetyckiego tonu. – Wszystko macie nagrane.

Cholera jasna, mieli. Szwabsko-polaczkowy pornol, zabójstwo i... konsumpcja. Długa, chora jak najbardziej odjechane psychiczne dolegliwości, wredna. Idzie się porzygać. Wszystko stało się w piwnicy, w promieniu kamery.

– Nie mogłem tego znieść, miałem problemy gastryczne, ale najgorsza była świadomość... Wiesiek chciał tego. Lecz mogłem to inaczej rozwiązać.

Co ty nie powiesz?

– Powtórzysz to raz jeszcze w prokuraturze, wezmą cię do laboratorium, gdzie zbadają ci klocka, może coś jeszcze zostało... Nawet jeśli nie – przyznałeś się, mamy masę śladów i nagranie, z czystej przyzwoitości potwierdzą autentyczność wideo i cóż... chyba wariatkowo, nie? – powiedział Łukasz.

Kovik nie odpowiedział.

– Chcę wiedzieć jeszcze tylko jedno – dodał podkomisarz. – Masz jakąś szerszą wiedzę o satanistycznych mordach rytualnych na Wyspach Brytyjskich?

– Niestety tylko plotki na forach... – Niemiec zaognił się, jakby przeżywał ekstazę. – Tam giną kobiety i dzieci... przy pięknych obrzędach... tworzone są wywary z noworodków!

Takie coś, jak Gerd Kovik, też trudno miłować.

Łukasz bardzo chciał go zastrzelić. Powstrzymał się. Gdy otwierał drzwi, chcąc wyjść, usłyszał jeszcze:

– Chciałbym ci wsadzić w dupę i namaścić moim wielkim chujem – z tym, że *chuj* wypowiedział w języku Eichmanna.

Łukasz nawet nie spojrzął na Kovika. Wyszedł i udał się do kibla. Zwymiotował, teraz już nie wytrzymał. Cóż za żalosna puenta. Jak zawsze.

Prawda nie wyzwala.

[1] Pajda – wyrok.

[2] Ciepły – obraźliwe określenie osoby homoseksualnej.

[3] Tetetka – radziecki pistolet samopowtarzalny (TT).

Dagmara źle się czuła z tym, że śpi w sypialni Łukasza, podczas gdy on zawsze kładł się na kanapie w innym pomieszczeniu. Tak jak teraz, kiedy wrócił, jeszcze bardziej wyciszony niż przeważnie, wypił trochę wódki i poszedł spać. Wcześniej zdążyła go popytać, o co chodzi. Wyciągnęła z niego jedynie tyle (lub przy jego zachowaniu aż tyle), że tym razem nie chodzi o mordercę, o którym trąbiły gazety; o tego, który zabił Olgę – znała ją, ale nie utrzymywały przesadnie bliskich relacji.

Łukasz w jej oczach był naprawdę dobrym człowiekiem, zwyczajnie dobrym, co w dzisiejszych czasach rzadko się spotyka. Raz powiedział, że kobiety nie powinno się kochać za urodę, bo ta z latami ucieka lub dla przykładu biedaczka może nie wyglądać za ciekawie, gdyż nie ma włosów po chemioterapii i piersi po mastektomii; ani za seksualność – bo czyż należy przestać kochać i zostawić żonę, jeśli już nigdy nie będzie mogła uprawiać seksu? Między innymi dlatego kipiała z niego mizantropia, bo bardzo spora część ludzi nie rozumiała tak banalnej prawdy. Co to jest mizantropia, dowiedziała się z jego obszernej biblioteki, tam też poznała inne wyszukane słowa i dzięki temu na przykład mogła z całą asertywnością orzec, iż Łukasz był introwertykiem. Ale jakże kochanym introwertykiem. Rozumiał ją jak mało kto, był czuły, a zarazem konkretny, i przy nim była pewna swego bezpieczeństwa, nieziemsko jej się to podobało. Szanował ją, nawet dotykał tylko wtedy, gdy na to zezwoliła. Lecz miała świadomość, że jej nie kocha. A akurat jemu jednemu chciała się kiedyś w przyszłości oddać, w pełni, z własnej woli i pragnienia przyjemności. Cóż, niestety musiała wystarczyć jej przyjaźń. Nieważne, bo była to piękna przyjaźń.

Zasnęła szybko, głęboko. Jak to zwykle bywa po okropnych wydarzeniach, długo męczyły ją złe sny. Wracały i wracały. Fizycznie była w coraz lepszym stanie, czekała na kolejny zabieg. Ale wewnątrz, wciąż kiepsciutko. Niespokojny sen to potwierdzał.

Ten z upiorną twarzą bije ją mocno i bezlitośnie. Wie, że ta facjata jest koszmarna, choć zakrywa ją kominiarka. Wciska jej penisa w kondomie drastycznie w odbytu. Niezmierzone cierpienie i upokorzenie. Mówi, że posmakuje Bestii. Potem oddaje ją do dyspozycji trzech wielkich zwierząt. Nie może się wyrwać, nie może krzyczeć. Na koniec wraca znów ten chudy drań, przydusza ją, gwałci, najagresywniej. Ona wie, że to sen, ale nie może się obudzić.

– To będzie trwać wiecznie – mówi oprawca. – Witaj w swoim spłaszczonym wymiarze czasu.

– Nie!!!

Budzi się. Lepka od potu i śmiertelnie przerażona. Po chwili do sypialni wchodzi Łukasz. Przytula ją. A potem, jak gdyby nigdy nic, wychodzi.

Jest spokojna, ale myśl o kole czasu nie daje jej zasnąć, aż do rana.

Edyta, nie chcąc mieć już żadnego kontaktu ze sprawą Gerda Kovika, wróciła do domu i spędziła czas na zwykłych zajęciach, przy okazji cicho kontemplując. Chodziły po jej głowie myśli o Przystojniaku, o gangu Bestii, a nawet o dzieciobójczyni Kazimierze Wałach czy o martwej Darii Idzik albo Jacku Wiśniewskim. Tak, ale częściej na pierwszy plan wysuwał się w jej rozumie Łukasz. Rozmyślała, czy kiedyś spróbują być razem. Czy on kiedyś się odważy na taki krok, czy będzie już gotów związać się z kobietą, nie scalając tego z tym, że biedak pójdzie na kompletne wewnętrzne ścięcie? Życie go nie oszczędzało, miała tego świadomość. Sierota, z domu dziecka. Później ten wypadek, o którym jej opowiedział. Uznała ten temat za bezwzględne tabu i z nikim nigdy nie poruszała tej sprawy.

Aktualnie była już pewna, co do niego czuje. Miłość. Szczerze, dojrzałe, intensywnie. To nie był afekt ostry jak tabasco, wręcz przeciwnie. Bardzo osobliwy, wrażliwy, dający nadzieję na spełnienie, dopełnienie.

– Tak jak ciebie – rzuciła przed snem do Majkela, który usadowił się obok niej na łóżku. Na te słowa jakby się uśmiechnął, ładnie kręcąc swym kremowym pyszczkiem. – Tak, dla mnie to pełny mężczyzna i chciałabym być dla niego pełną kobietą! – dodała głośniejszym głosem, po czym skarciła w duchu samą siebie, że zachowuje się jak gówniara.

Motyle w brzuchu? Może trochę. Gdyby wszystko było takie proste, nieskomplikowane...

Zasnęła koło północy, Majkel wtulił się w jej piersi.

Idzie po jakimś magazynie, zakurzonym i z nieświeżym powietrzem wkoło. Brnie, ku czemuś. Po coś. Ale za nic w świecie nie wie dokąd i dlaczego. Może to metafora jej życia? Puste pomieszczenie i ona sama, drepta dokądkolwiek, byleby iść do przodu. Zaczyna być ciemno, widzi swoje pierwsze zwłoki. Niesfastrygowane, nieulożone na stole w kostnicy, tylko ubrane, przykryte kołdrą. Babcia po siedemdziesiątce, uduszona

poduszką – jak się później okazało – przez syna. Leżała tam kilka dni, z zamkniętymi oczyma. To ją zdziwiło, że zabójca zamknął jej oczy.

– Zamknął, bo ją znał, to oczywiste – powiedział wtedy Łukasz.

Przyspiesza kroku, zaczyna gnać coraz szybciej, magazyn, już pusty, bez końca, raz się rozświecła, raz ściemnia. Kolejna wizja.

Czyżby to była jej mama? Tak. Prosta, pracowita, sumienna kobieta. Mała i drobna. Dlaczego Bóg zabrał ją tak wcześnie, kiedy córeńka jeszcze studiowała? To wie tylko On.

Jest przyjemnie, nawet zaskakująco ciepło, gdy nieoczekiwanie ktoś do niej strzela. Człowiek? Może. Nie widzi, gdzie oberwała, ale strzał jest letalny. Umarła. Przecież to tylko sen.

Obudziła się.

Kiedy w środku nocy wyszedł z własnej sypialni, w której nerwowo zbudziła się Dagmara, poczuł, że oblewa go zimny pot. Wypił szklanke wody z kranu. Miał skurcze ud i łydek, drżał z chłodu. Wrócił na kanapę. Czuł, że ma podwyższoną temperaturę. Bardzo pragnął dać sobie w żyłę, albo chociaż łyknąć jakiś syrop. Miał tego wziął tabletkę przeciwbólową, zmienił opatrunek na głowie i zapalił papierosa. Dym wydmuchiwał przez uchylone okno, w powietrze przecinane przez deszcz. To nie pomogło. Był przecież na głodzie. Ćpun z syndromem odstawienia, od prawie dwóch tygodni niezazwyczajający. Brał od czasu do czasu, przez co łudził się, że się nie wciągnie. Wziął zimny prysznic, więc po nim musiał jeszcze raz wymienić opatrunek. Nie miał halucynacji, czyli nie było tak źle. Posmarował maścią korpus i nogi. Jego zdrowie po niebezpiecznym incydencie sprzed tygodnia reperowało się w szybkim tempie. Wstrzymał w sobie narkotykowy głód. Wiedział, że Dagmara nie śpi, ale nie przez skutki odstawienia. Nie, jak się okazało, ona widocznie mniej zażywała, bo w zasadzie łatwiej przyszło jej rzucenie. Pooglądał na chwilę nocne wróżby w najbardziej komercyjnej stacji z dostępnych za darmo kanałów. Pierwszy raz od bardzo dawna sam się gapił w telewizor. Przed ponownym zaśnięciem walnął lufę polskiej czystej, mimo że kusiała go butelka serbskiej rakiji, którą niedawno kupili.

Tego snu długo nie zapomniał.

Jest w tej grocie. Wszystko w koło błyszczą prawdziwą krwią. Zapach mdli, atakuje z zaskoczenia. W rogu tego miejsca tkwi kamera. Pusto, patrzy w górę, na ciemność, krwistą ciemność. Widzi tam oblicze samego szatana. Oblicze najczarniejszej otchłani przeżartej kłamstwem.

– Tutaj cały czas kogoś mordują. Tu umierają kobiety i dzieci – słyszy głosy, zwielokrotnione. – Albowiem odbywa się tutaj poezja piekieł. Wieczne cierpienie.

Nagle otaczają go kobiety, dzieci, niektórzy trzymają na rękach

noworodki. Jest ich masa. Niewinne istoty, poddane poezji piekieł.
Chce strzelić sobie w głowę, ale nie ma broni.
Ten sen jest wieczny.

Tłum żwawo, lecz w mizernym nastroju, wychodził z klimatycznego, aczkolwiek niezbyt nowoczesnego stadionu lokalnej drużyny piłkarskiej. Nieco dalej od obiektu rewir przeciwnika opuszczali kibice drugiego zespołu z miasta pod nadzorem oddziału prewencji; ci byli rozradowani zwycięstwem nad odwiecznym rywalem zza miedzy, sprawiali lekki tumult. Piątkowy wieczór był nad wyraz pogodny, jednak czuć było już mocniejszy chłód.

Wśród fanów przegranej ekipy znalazł się Salceson, otoczony dwoma ochroniarzami, łepskimi byłymi pracownikami BOR-u^[1]. Nie okazywał zbyt smutku po porażce – w swoim życiu był już z ukochaną drużyną zarówno na piedestale, jak i na dnie, szorując go kolejnymi blamażami. Nie pierwszy i nie ostatni raz, kiedy jego przedmiot futbolowej sympatii zebrał baty, co prawda w derbach, ale cóż, tak to jest w piłce, jedni przegrywają, żeby inni mogli wygrać, oczywiście wyłączając nierozstrzygnięte przez remis spotkania. Ale jest Ekstraklasa, to się liczy. Sam ostatnio kupił kolejne dwadzieścia procent akcji klubu, by wspomóc go finansowo. Lecz wiadomo, forsy było coraz mniej, w dodatku, koniec końców, to przez te cholerne *blood money* polowały na niego Bestie, chcąc go ostatecznie wykluczyć z gry. Salceson uważał, że sobie z tym poradzi, ale w sumie nie wiedział, w jaki sposób, ani nie zabezpieczył się zanadto – bywał tu i tam, uważał, że zatrudnienie dwóch swego czasu twardych borowików zapewni mu spokój i komfort.

Nie wiedział jednak, że tropi i ściga go Dentysta, a nie zwykły chłopiec z „miasta”. Enigmatyczny Wąty, niepozorny, z upiorną twarzą. Jedyne, czego w swoim życiu nie dostrzegął w kasandrycznym świetle, to zabijanie. Bo zabijał bezbłędnie, z pasją. Spokojnie idąc przez tłum kibiców do Salcesona, aby nie myśleć o koszmarach, które zdefiniowały go na zawsze, przypominał sobie swoje kobiety, a było ich wiele i jeszcze trochę. Tym

razem nie fantazjował o brutalnych gwałtach, których dokonał w nowym otoczeniu; wiedział, że policja schwyciła Konara, ale miał też beczelną pewność, że jego to akurat nigdy nie dorwą. Bo całe życie był niewidzialnym cieniem, bez pierwotnej tożsamości.

Przecież Darlene była dopiero wierzchołkiem góry lodowej. Szedł zdecydowanie, przy hałasie tłumu, z gotowym planem, w którym Łysy-Cybał, idący od drugiej strony, miał tylko epizodyczną rolę. Więc jak to leciało – pomyślał.

Liron. Filigranowa, kruczoczarne włosy, pełne, cudownie kształtne piersi. A jakie uda! Była w porządku, do czasu aż w tej swojej zafajdanej Beer-Szewie nie zachciało jej się zostać ortodoksyjną Żydówką. Eku, afrykańska muzulmanka, również wkurwiała go swoją religią. Jednak miała nieludzko pełne usta, a gdy wyłaniała z nich zajebiście jaszczurzy język, ręce opadały, a kutas zaczynał grać marsza. Była pierwszą w jego życiu Murzynką, która nie depilowała okolic piczki, wcześniej takiej nie spotkał. Precyzyjnie uczył więc ją golić wzgórek Wenery. Z kolei Jena, holenderska agnostyczka z wiochy pod Groningen, prezentowała się zawsze jak tafla lodu. Ruda jak wiewióra, śliczne, zielone oczy, wysoka i gibka mężatka, która świetnie się ożeniła – wyszła za profesora historii starożytnej, w dniu ślubu pięćdziesięcioczworoletniego. Wiecznie nie było go w domu z mosiężnymi klamkami w drzwiach, także Jena korzystała z życia – miała wielu gachów, na przykład ładniutkiego Edwina, kolejarza na linii Eindhoven – Groningen. Za to Isabell, latynoska z tyłkiem jak pomarańcza i boskimi dołkami na buzi przy uśmiechu – o, ta wyszła za męża fatalnie, bo Finho, jej druga połowa z fawelskiego gangu, lał ją równo, patrząc, czy symetrycznie puchnie. Znał ją tylko dwa tygodnie, ale zdążył rozwalić tego złamasa, dlatego Isabell odwdzińczyła się mu bezapelacyjnie najlepszym lodem w życiu; on nie pozostał dłużny – w ruch poszedł rozgrzany banan, czym rozpałił ją do czerwoności. Za to Berit, skandynawska mamuśka z niezwykłymi mlecznymi cycami, bo karmiła wielkiego berbecia, z roku na rok bardziej podniecająca, lubiła być bita. Głupio się czuł, chciał uciec od tego, co robił, a w jej nieładnym bungalowie czy motelu stworzonym na zloty komunistów musiał dawać jej klapsy, a nawet palnąć we wciąż urodziwą twarzyczkę. Natomiast nad wyraz delikatna była Flavia, Francuska z algierskimi przodkami, którą spotkał... w Polsce. Tak łagodnej skóry w życiu jeszcze nie dotykał.

I pewnie dalej przez myśli przelatwałyby mu kobiety, gdyby nie moment na działanie. Bułgarski bagnet wbił się w plecy Salcesona, przebijając płaszcz, kamizelkę, koszulę i lewą nerkę. Eksborowcy nie zdążyli zareagować, jeden dostał centralnie z tyłu głowy, a drugiego trzema koślawymi strzałami załatwił nadchodzący z przodu Łysy-Cymbał, przy okazji raniąc młodego kibica z szalikiem ulubionego klubu. Zapanował szok, panika, traktowanie ludzi celem ratunku. Nim siły porządkowe z oddalonej eskorty fanów drugiej drużyny zdążyły dotrzeć na miejsce egzekucji, Salceson wykrwawił się już, poderżnięte gardło zrobiło swoje. Ochroniarze też leżeli trupem, oszołomiony chłopak prosił o pomoc, uciskając ramię szalikiem (to się nazywa przywiązanie do barw i miłość futbolowa), a zamachowców już nie było.

Gdy Dentysta błyskawicznie oblewał benzyną ciemnozieloną mazdę, pomyślał, iż znów trzeba będzie uciekać. A przecież teraz miał już osiąść w kraju. Po co mu był ten gang, te egzekucje, te napaści na dziewczyny?

Jak to, po co? By zabijać. Zabijanie całe życie było jego rytmem, procedurą, świętym obrządkiem.

Ale Darlene i tak była najlepsza, rzucił w duchu, w mgnieniu oka oddalając się od płonącego samochodu.

Kiedyś na ciebie przyjdzie kolej, panie Nikt.

^[1] BOR – Biuro Ochrony Rządu.

Telefon z wezwaniem dla Łukasza odezwał się, kiedy wykonywał specyficzne pompki w pozycji pionowej, nogami do góry, przy wtórce powtórki brazylijskiej telenoweli na podrzędnym kanale telewizji otwartej – uroki życia z kobietą. Wiedział więc, że nie poćwiczy już na drążku, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – przynajmniej nie musiał dłużej słuchać, jak Esmeralda wyznaje miłość Jose.

Na miejscu był tylko Maradona i kilku z prewencji, którzy zostali przy zwłokach. Gdy Łukasz zbliżał się pod stadion, jeden z niebieskich, wyglądający prawie jak albinos, robił sobie zdjęcie przy sztywnym ciele słynnego Salcesona – pochwalić się znajomym fotką z takim gangusem to przecież wielka duma... Pozostali spisywali rozgorączkowanych świadków.

Salceson leżał twarzą do ziemi, oparty jakby miano grawerować jego profil na monecie. Krwi było tam od pyty, nie tylko ARh+ bossa półświatka – również z otaczających go martwych dwóch ochroniarzy z ranami postrzałowymi, ci padli w śmiesznie cyrkowych pozycjach.

– Co ty robisz, pajacu? – rzucił Łukasz do Prawie-Albinosa, który chciał bez rękawiczek dotknąć Salcesona, aby pstryknąć sobie jeszcze jedną fotografię.

Policjant w czarnym mundurze wstał, zasalutował i meldował grzecznie, choć Łukasz rozmawiał z nim pierwszy raz w życiu:

– Tutaj przybyła tylko wymagana ekipa, reszta pojechała do jakiegoś lasku czy coś takiego – dostaliśmy cynk, że odbędzie się tam ustawka. Także kto by się martwił o spokój, skoro na mecz przychodzą normalni kibice? I mieliśmy porządek, bo nie uświadczylimy tych debili, co chcą się tylko napierdalać. A tu taka akcja... Znów będzie propaganda antykibicowska, a przecież była taka piękna oprawa, patriotyczna, pełna kultura, oczywiście jak na skalę takich spotkań. Niesamowite derby.

Łukasz zaczął przyglądać się ciałom, ich ustawieniu i okolicy.

– Co wiemy? – spytał w końcu Maradonę.

– Niewiele...

Prawie-Albinos się ulotnił.

– Spójrz na ich ułożenie – zauważył Łukasz. – Salcesona musieli zajść od tyłu. Kosa w plery, potem cięcie w szyję przy gardle i koniec pieśni. Inaczej to nie mogło wyglądać, bo te pacholki – wskazał na byłych funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu – poradziłoby sobie. Ten, który atakował z tyłu, musiał strzelić do tego z prawej, na to wskazuje ślad po strzale z bliskiej odległości w tył głowy, więc pewnie po tym, jak wbił Salcesonowi nóż w plecy, wyeliminował z zaskoczenia pierwszego ochroniarza. To musiał być profesjonalista – precyzyjne dwa cięcia przy szefie i *headshot* w łeb jednego goryla. Wtóry padł na plecy, dostał kilka kulek na oślep, trafiono go w brzuch... Więc to robota innego, z dalszego dystansu, z przodu. Ten był partaczem...

– Postrzelono jeszcze jednego typka, już jest w szpitalu. Miał pecha, ale wylize się – dodał Maradona.

– Założę się, że ofiarę losu trafił strzelec-patafian. Dostał ołów z frontu?

– Wiesz co, twój pragmatyzm czasami mnie już wkurwia – odparł Maradona.

Łukasz nieznacznie się uśmiechnął.

– Mnie wiele rzeczy wkurwia. Ten nowy jaguar z najlepszym wyposażeniem, to pewnie bryka, którą przyjechali. Sprawdź ją. – Podniósł się z kolan. – Sądzę, że to robota Dentysty.

– Tego gwałciciela?

– Tak. Przejął schedę cyngla po Mehmedie. Ma bardzo niejasną przeszłość i jest wielkim specjalistą. Dzień w dzień gapię się w portret, który dał nam Konar, i nic... Gość bez dwóch zdań po pięćdziesiątce, ale sprawność i fachowość na świetnym poziomie.

– Czyli raczej nie da się złapać?

– Nie mam pojęcia. Ty znasz się na piłce nożnej, Maradona?

– Nawet nieźle.

– Spróbuj jutro z rana obczaić, czy świętej pamięci czerwony^[1] Franciszek S. miał jakiś związek z tym środowiskiem, skoro był takim kibicem.

– Kopacze pierwsi się zmyli... Franz Smuda miał rację, mówiąc, że

zespół piłkarski to banda kurw, więc ich trener musi być hersztem.

– Kto to jest Smuda? – spytał Łukasz, bardziej interesując się wychodzącymi z nowego citroena oficerami CBS, Pleśniakiem ze swoim współpracownikiem.

– Nieważne. Poświęcę temu jutrzejszy dzień – rzekł Maciek.

– Dziękuję. Proponuję nie czekać na ekipę... – Łukasz dyskretnie pokazał koledze zmierzających w ich stronę policjantów z CBS.

Opuścili to miejsce. Niedługo potem spektakl tam się zakończył, widzowie rozeszli się do domów, a nad teatrem, czyli stadionem, rozległa się upierdliwa mżawka.

Następnego dnia, w pogodną sobotę, okazało się, iż pomysł z powiązaniem piłka nożna – Salceson jest całkiem interesujący. W ten przedziwny sposób śledztwo w sprawie Przystojniaka zajął się z „miastem”. Mianowicie co nieco ciekawego wiedział średniej klasy piłkarz, jeden z sąsiadów Martyny Karłowskiej, niejaki Szczepan Atlas, który w piątkowym derbowym starciu rozegrał w drużynie gospodarzy dwadzieścia sześć minut.

– Maor Melikson... to był grajcar. Lepszego w Ekstraklasie nie było nigdy. – Atlas siedział w pokoju Maradony i rozmawiał z nim oraz z Łukaszem. Był ubrany na sportowo, miał starannie zadbaną brodę, postarzającą go o ładnych parę lat. – Mój niedościgniony wzór. W pełnym biegu, z niesamowitą szybkością, robił, co chciał. Jak trzeba było kiwnąć jednego, to kiwnął, ale jak musiał minąć następnych dwóch – proszę bardzo, zwód, pokaz dryblingu i techniki. Gdy dobrze ustawiał się napastnik, wykonywał do niego błyskotliwe zagranie na dobieg. Gdy szarpnął jakiś skrzydłowy, od razu dostawał piłę mierzoną na centymetry. Zwinność, kreatywność, podania i inne atrybuty dobrej dychy na poziomie o wiele przewyższającym tę ligę.

– Przecież ty też jesteś rozgrywającym? – powiedział Maradona, stojąc przy biurku, podekscytowany rozmową z piłkarzem.

– Przez to, że rzucali mnie po bokach, zerwałem więzadła. Teraz wracam, ale jest ciężko... Kupili sobie jakiegoś Hiszpana z trzeciej ligi i zrobili z niego gwiazdę, bo dwa razy prosto kopnął piłkę... A mnie niedługo kończy się kontrakt.

– No dobra, nie po to tutaj przyszedłeś – przerwał Atlasowi Łukasz, który siedział na przetartym fotelu z meszkiem na oparciu. Tym samym

uciał też zapędy Maćka do futbolowej dyskusji. – Co wiesz o Salcesonie?

– To jakaś seria niefortunnych zdarzeń – odparł piłkarz. – Ta dziewczyna, moja sąsiadka, teraz znów kontakt z policją w związku z zabójstwem...

– Nie zabili go, bo poszedł na wasz przegrany mecz – rzucił Łukasz.

– Wszyscy dobrze wiedzieli, że jest z „miasta”. Miał nieco udziałów w klubie, dobrze znał się z prezesem.

– Ale prezes z nami nie pogada... – skomentował Maciek.

– Miałem nawet prosić go o pomoc.

– Prezesa?

– Nie. Franka, znaczy, Salcesona.

– Dlaczego? – zadał pytanie Łukasz.

– Mam spore długi. W różnych miastach. Prosiłem o wsparcie różnych ludzi.

– Na przykład?

– Znanych polityków, z kilkoma imprezowałem na jednej hacjendzie. Zbierała się elita, zapraszała kilku swoich ziomków i wyczyniali grube akcje... Wóda lała się tam z każdego kranu, a gdzie się nie obróciłeś, tam znajdowały się dziwki i koks. Mówię wam, takiej balangi na oczy nie widzieliście. Melanż w kosmos wyjebany. Jak pokazują nieraz tych srogich imprezowiczów, to zwyczajnie śmiać mi się z nich chce. Te ich zabawy to jakiś bal starców w porównaniu z tym, co działo się w tej willi.

– Jak tam się dostałeś? – Łukasz zaczął bawić się długopisem z logiem państwowej policji.

– Normalnie. To imprezy zamknięte, ale ja mam wiele koneksji. No, ale okazało się, że miałem rację. W Polsce nie ma polityków, którzy byliby porządnymi ludźmi. Tylko katoprawicowe gnidy i lewaccy idioci. Makiaweliczna banda cwaniaczków, pasibrzuchów i sprzedawczyków, którymi za sznurki pociągają służby specjalne. Nikt mi nie pomógł.

– I co, zwróciłeś się do Salcesona? – spytał Maradona.

– Nie, pytałem jeszcze dziewczyny. Wiecie, jak jest, trochę się ich zna. Ja to w ogóle uważam, że dziewczyny są w wieku dwudziestu trzech, dwudziestu ośmiu lat; młodsze to dzieci, a starsze to już starowinki. No, chyba że jest się Emmanuelle Seigner albo Salmą Hayek. Bo wiecie, panowie, ja to jestem hedonistą... – zrobił minę, jakby zbierał odpowiedź – wahając się – i seksistą, choć udaję, że nie, jak każdy facet.

– Do rzeczy, koleś – Łukasz nie miał już ochoty słuchać mądrości życiowych Szczepana Atlasa wyrażanych w formie oryginalnych aforyzmów.

– W końcu spotkałem się z Frankiem. Równo tydzień temu. Powiedział, że nie pomoże mi, bo sam jest spłukany, ale załatwi mi transfer do Rosji, a tam nazbierałbym kasy od bezdennej skarbnicy jakiegoś oligarchy.

– Nas interesuje, czy wspominał, co i kto mu grozi, czy coś podejrzewał... – rzekł Maradona.

– Tak – odparł ochoczo Atlas. – Powiedział, że jakimś potworem czy...

– Bestiom?

– Tak, Bestiom. Że tym Bestiom spróbuje go wystawić zapewne Mojżesz, ktokolwiek ma taki pseudonim. Powiedział, że dlatego profilaktycznie trzeba będzie go zlikwidować, mówił, że on nigdy do końca nie wierzył w jego lojalność, bo kiedyś zlecił tym Bestiom, aby zrobili coś niemilego względem... no, tego Mojżesza.

U Łukasza zapaliła się czerwona lampka.

– I on ci to tak po prostu mówił? – zapytał Atlasa zaskoczony Maradona.

– No tak.

Łukasz gwałtownie podniósł się z krzesła, rzucając na biurko długopis.

– Dzięki za informację – powiedział do piłkarza. – Szkoda, że nie uda się z tą Rosją, nie?

– Szkoda...

– Świetna robota, Maradona – klepnął kolegę w ramię, co jak na niego było nadzwyczajne, i wyszedł z pokoju.

W kiblu natychmiast chciał zadzwonić do Mojżesza, ale wstukiwanie numeru z pamięci zakłócił mu dzwoniący nieznany numer.

– Łukasz Kowalczyk, słucham – powiedział po odebraniu.

– Dzień dobry. Chciałam spytać, dlaczego policja nie radzi sobie z eskalacją konfliktów gangsterskich na ulicach...

– Co?!

– Nie popchnęliście też do przodu sprawy seryjnego mordercy, który w okrutny sposób morduje kobiety... Konferencja prasowa w wykonaniu rzecznika była wyjątkowo marna, a teraz nie odpowiadacie na pytania prasy, ludzie chcą znać szczegóły.

– Posłuchaj, dzieciно – odparł zimno. – Ciesz się, że się nie

przedstawiłaś, bo za pół godziny siedziałybyś już na dołku. Skąd masz ten numer? Zresztą, nieważne. Zadzwoń jeszcze raz, a każę cię wydymać na tygrysie.

Nie zadzwoniła ponownie.

Zadzwońszy na numer telefonu Mojżesza, za pomocą którego ostatnio się komunikowali, od razu usłyszał automatyczną sekretarkę. Nic w tym dziwnego, skoro komórka ta dryfowała na dnie rzeki. Czyżby stracił informatora?

^[1] Czerwony – obraźliwe określenie osoby ze środowiska komunistycznego.

Wszystkie zęby były kształtne, śnieżnobiałe i, cholera jasna, jak to możliwe, seksowne.

Jestem sławny – pomyślał. Bohater gazet, a nawet telewizji. Pierwszy od lat najgroźniejszy, medialny, seryjny zabójca. Morderca, którego nikt nie rozpozna, przed którym strachem oblatują wszelkie kobiety w mieście, a nawet w kraju. W zasadzie to mu nie przeszkadzało. Bo dalej robił swoje.

Poczucie winy wciąż go nie opuszczało. Tak jak świadomość iluzji.

Po co ten krzyk, dziewczyno? – rzucił w duchu. To przecież tylko mózg.

Dzień po tym, jak Łukasz dowiedział się, że jego informator może już nie żyć, udał się na basen z Dagmarą. To był miły, zdrowy i relaksująco spędzony niedzielny czas. Dagmara potrzebowała odstresowania, bo w poniedziałek czekał ją zabieg, a wiadomo, jak to z zabiegami i operacjami – zawsze występuje możliwość komplikacji. Woda pełna chloru z kolei oczyściła Łukasza z efektów głodu, które znów dały mu w kość. Szczęście w nieszczęściu, że był przyzwyczajony i niejako uodporniony (jakkolwiek jest to możliwe) na ból. Nie tylko psychiczny.

Zabieg Dagmary przeszedł w pełni satysfakcjonująco; została tylko jeden dzień na obserwacji. Właśnie wtedy, w mgielny poniedziałkowy wieczór, Łukasz odwiedził Justynę Brede. Wiadomo, w jakim celu. Tym razem jednak nie wymigał się od rozmowy. Jasno jej określił, że to nie jest związek przyszłościowy, i w zasadzie niedługo trzeba będzie go zakończyć, aby obie strony zbytnio niepotrzebnie się nie zaangażowały. Ku jego zdziwieniu, przyznała mu pełną rację. Po czym jeszcze raz pomęczyli łożko. Łukaszowi wszelkie wygibasy i inne erotyczne firlaki szły coraz lepiej, bo jego kondycja fizyczna po pobiciu w zadawalającym tempie wracała do normy. Kiedy odbierał Dagmarę z kliniki, nie miał już na głowie żadnego opatrunku.

Kolejne dni przebiegły we względnym spokoju. Jedyne, co uwierało Łukasza, to to, że Olga Bonin, Katarzyna Szymańska, Martyna Karłowska i Adrianna Maciejewska domagały się z zaświatów sprawiedliwości. Nie pomagał temu fakt, że w środę wieczorem w głównym wydaniu serwisu informacyjnego na jednym z kanałów publicznych poruszono temat Przystojniaka.

W piątek Łukasz rozmawiał z Maradoną, paląc papierosa w toalecie w fabryce. Nieco za bardzo pachniało tam środkiem dezynfekującym.

– Wolnicka zapewniła mnie, że tama jest szczelna i Makarov, Czesiek

oraz Dentysta nie prysną z kraju. Może nawet dalej są w mieście – rzekł Łukasz, oparty plecami o ścianę, a jedną ręką o umywalkę.

– Wszystko wskazuje na to, że ten Dentysta ma na koncie sześć głów – odparł Maradona, ten za to wsparł się o kabinę.

– I jak go będę miał, to udowodnię mu wszystkie. Jest ich za dużo, by każdy się schował... Nie zapominaj jeszcze o Mehmedzie, za którym też wysłany jest oskar^[1]. Tak czy siak, kończą się nam Bestie.

– Jak wszyscy.

Do pomieszczenia wkroczył mundurowy, młody blondynek, kurczowo trzymając się pęcherza. Łukasz spojrział na niego. Niebieski po tym wzroku opuścił kibel, więc łatwo się domyślić, jaki charakter miał ten wyraz twarzy oficera.

– A jak ogony za Razorem, Maryską Kunis i rodziną tych całych Czeaków itepe? – spytał po chwili podkomisarz. Zgasił peta w umywalce i wyrzucił go do kosza, uprzednio oblanego wodą.

– Donikąd nas nie zaprowadzą – odpowiedział Maciek. – A ludzi potrzebują inni...

– Ci bandyci to mordercy, gwałciciele i osoby, które przez rok terroryzowały miasto. Wilczur stracił największych żołnierzy, a to oznacza, że wstrzyma się z likwidowaniem kolejnych parchów.

– Ryzykujesz, a nie musisz, Nietzsche. To pobicie to była poważna sprawa.

– Mam jedną głupią myśl, ale jeszcze się nią nie podzielę.

– Ten Wilczur to w końcu kto?

– Już niedługo będę miał go w garści. No przecież nie będziemy liczyć na Pleśniaka... Sprawa zaczęła być tak poważna, że wkroczyła Abwera, czyli uznali, że ta grupa stanowi zagrożenie dla państwa. I nawet oni nie mogą się w tym połapać. Może wycisnąłbym coś z uchola, gdyby nie zniknął.

– Myślisz, że Salceson go odjebał?

– Jeśli zdążył. – Łukasz powstrzymał się przed następną fajką. – Może też być tak: Mojżesz ukrywa się i nawet nie wie, co jest grane, że Franek S. nie żyje.

Parę chwil ciszy.

– W niedzielę kilku oficerów z tej fabryki organizuje małą imprezę zamkniętą... Może byś wpadł? Będzie Edyta, a z nią najlepiej się

dogadujesz.

– Na przyjęciach wypadam fatalnie – odrzucił Łukasz.

– Bez urazy, ale poza nimi, w relacjach z ludźmi, niewiele lepiej...

Łukasz tego nie skomentował. Bo i po co?

– Dobra, muszę złożyć dwójkę, zbiera mi się na mały holokaust – rzucił Maradona i, gdy otwierał drzwi do kabiny, zadzwonił telefon Łukasza.

To była Justyna. Przerażona, roztrzęsiona i ze śmiertelnie poważnym głosem.

Przystojniak tym razem uderzył bardzo blisko.

^[1] Oskar – list gończy lub komunikat policyjny.

Ten dom był doprawdy śliczny. Gładka elewacja w kolorze kawy z mlekiem, bardzo okazale prezentujący się dach, świetnie dopasowane okna i drzwi. Zdrowo zadbane drzewka otaczały tę posiadłość, a za nią mieścił się skromny, orientalny ogród. Przed garażem stał biały chevrolet, kłocowaty, ale z kopem, ewidentnie dla kobiety, bo siedzenie przed kierownicą było przysunięte blisko przedniej szyby, a na wyciągnięcie ręki widniała dźwignia automatycznej skrzyni biegów. Przed tym samochodem niespokojnie oddychała Justyna, a gdy nieoznakowany policyjny nissan wjechał przez otwartą bramę, od razu do niego podbiegła. Ze strony kierowcy wysiadła Edyta, więc Justyna zaszła pod drugi bok samochodu. Rzewnie rzuciła się w ramiona Łukasza, kiedy wysiadł z auta. Z tylnych drzwi wyłonił się Maciek.

– Uspokój się. Gdzie ona jest? – Łukasz mówił do doktor patologii, która przecież była oswojona z widokiem zwłok, ba, z krojeniem martwych ciał.

Ale Justyna dopiero po momencie nieznacznie ochłonęła. Maradona był zdziwiony, że kobieta tuli się do jego kumpla, ale nie tak jak Edyta – ta to ukrywała, choć, rzecz wiadoma, Łukasz zauważył to zmieszanie. I doszedł do wniosku, że powinien rozstać się z darmowym zaspokajaniem popędu u Justyny. Znów przypomniał sobie, że czas najwyższy spróbować dla siebie ostatniego ratunku – tym ratunkiem była komisarz Edyta Nornicka.

Na razie jednak nici z tego, bo miał na głowie potężnie paskudną sprawę – zamordowaną była asystentka Justyny, blondyneczka z porządnym cycem. Lidia Brożek. Leżała we własnym łóżku, naga, z rozdziawionymi ustami, w których nie uświadczyłbyś ani jednego zęba. Miała zdjętą powłokę głowy wraz z częścią czaszki, cięcie poszło na wysokości wypielęgnowanych brwi – morderca wyjął jej mózg i położył go obok denatki, wydzielał się z niego słodkawy, nawet na swój sposób przyjemny,

fetor. Ofiara zabita w swoim miejscu zamieszkania, goła niczym glaca po intensywnej chemioterapii, styl zbrodni sadystyczny i potworny. Więc kto inny, jak nie Krwawy Rzeźnik? Dziewczyna brała udział w autopsjach Martynty Karłowskiej i Ady Maciejewskiej, nie zdając sobie sprawy, że niedługo to ją dosięgnie chory umysł Przystojniaka.

Lidia Brożek od wczoraj nie zjawiała się w pracy i nie odbierała telefonu, więc Justyna postanowiła to sprawdzić. Sama nie wiedziała, czemu pociągnęła za klamkę od drzwi wejściowych – było otwarte. Pracowały razem siedem miesięcy, Lidka była raczej normalna, lekko pokręcona. Lubiała chwalić się takimi rzeczami, jak tatuaż na łopatce czy nowy kolczyk w nosie. Dom odziedziczyła po zmarłych rodzicach; oboje zginęli w wypadku samochodowym. Wybrała patologię, bo w końcu musiała się czymś zajmować, lecz finansowo stała całkiem komfortowo – jej opacznie troskliwa ciotka z londyńskiej dzielnicy Chelsea, zamiast odwiedzać siostrzenicę, przysyłała jej co miesiąc okazałą jak na polskie warunki furę funtów. Chevroleta też dostała od niej. Tyle o Lidce wiedziała Justyna. A, jeszcze jeden mały szczegół, taka pierdoła – w środę napomknęła, że jutro ma randkę z super facetem, Arturem...

Od czegoś musieli zacząć. Padło na jej brata, zamkniętego u czubków wiecznego dzieciaka i bajkopisarza, Dareczka, z wąsikami i okazałym brzuszkiem, psychicznie przypadek beznadziejny. Personel ośrodka twierdził, że Lidia odwiedzała brata regularnie, choć on jej nie poznawał – ale czeki za opiekę wpływały zgodnie z określoną zasadą. Przed wejściem do pokoju dziennego jednego z oddziałów Edyta zapytała Łukasza nieco kąśliwie:

– Nie wiedziałam, że jesteś z Justyną Brede...

– Nie jestem. Dwa razy ją przeleciałem i działa się to stosunkowo niedawno, w związku z tym jej mózg w sytuacji stresowej odebrał mnie jako najbliższą osobę. Skończyliśmy z tym we wzajemnej zgodzie. – Ostatnie zdanie było nie w pełni zgodne z prawdą.

Ta odpowiedź Łukasza jeszcze bardziej ją zaskoczyła.

To było zabawne miejsce. Mężczyzna, w fioletowym szlafroku w kratkę i długich włosach opadających na ramiona, czterdziestokilkuletni, skakał na jednej nodze, wmawiając sobie, że jest zmęczony. Inny, starszy i siwowłosy, z przerzedzonym zarostem i morsko niebieskimi oczami, opowiadał cichej jak słup kobiecie o targu, którego swego czasu dobijał

z bolszewickim handlarzem cukru. Jeszcze jeden udawał, że płynie, mówiąc nieśmieszne dowcipy, mimo ich daremności i żalności, wolontariuszka rechotała z nich od ucha do ucha. Kolejna zaś, babcia przed osiemdziesiątką, kiwała się w sobie tylko znanym tempie, nucąc piękną pieśń patriotyczną.

Dareczek natomiast patrzył w okna przez kraty, uśmiechając się przyjaźnie. Nie zdawał sobie przecież sprawy, że jego los jest niezbyt ciekawy:

– Może ta jego ciocia będzie opłacać jego pobyt u nas, bo jeżeli nie, to niestety będziemy zmuszeni wysłać go do państwowego szpitala – powiedziała komisarzom indywidualna doktorka Dareczka.

Widząc nowe twarze na oddziale, natychmiast pobiegł je powitać.

– Cześć, jestem Darek! – Podał ręce Edycie i Łukaszowi. – To znaczy wszyscy tutaj mówią na mnie Dareczek, ale mnie już to nie odpowiada. Mam przecież trzydzieści dwa lata! – Trochę się jąkał, *przecież* wymówił jak *pecież* albo *pacierz*. – Lub trzydzieści cztery...

– Witaj! – radośnie przywitała go Edyta. – Możemy pogadać?

– Jasne... Nie chcę być złośliwy, ale ja się przedstawiłem, a wy nie...

Łukasz lekko się uśmiechnął.

– Jestem Edyta, a to jest Łukasz.

– Jesteście mał... małżeństwem? – Darek anormalnie wykrzywił palce, prychnął pod nosem.

Edyta chciała zaprzeczyć, ale Łukasz odparł:

– Tak.

– Ja też będę miał kiedyś żonę, ona będzie miała karmelowe oczy... Wyczytałem to w takiej książce...

– Świetnie. Usiądziemy? – to Edyta.

– Oczywiście!

Spoczęli na fotelach przy oknie, lekarka gestem przekazała im, by zbytnio nie męczyli Dareczka.

Łukasz rozglądał się po pokoju. To miejsce wcale nie było przesadnie nienormalne, ludzie w nim przebywający nie krzyczeli w niebogłosość, każdy zajmował się sobą, niektórzy sobą nawzajem. Byli zabawni, ale nie dziwni, straszni czy nieszczęśliwi.

– Masz rodzeństwo, Darek? – spytał Łukasz.

– Nie... Jestem jedynakiem. Cztery lata temu wygrałem Puchar Polski, świetną karierę mi wróżono, ale klub upadł.

– Jaki sport uprawiałeś?

– Piłkę nożną. – Dareczek wstał i zaczął bawić się, że jest na finale przy wielkiej publiczności i strzela karnego w ostatniej minucie doliczonego czasu gry.

Edyta i Łukasz jednoznacznie spojrzeli na siebie, po czym podkomisarz podniósł się z siedziska i obserwował pacjentów. Kiedy Darek wygrał już prestiżowe trofeum, znów przedstawił się komisarzom i mówił... Dużo gadał. Raz miał czworo rodziców i opowiadał o swoich sukcesach na tle technicznym w Tokio. Innym razem był bezdomnym, a miejsce, w którym przebywał, to noclegownia dla osób mieszkających na ulicy. Zmieniał swój życiorys szybciej niż ubrania lala z bogatym tatusiem. Edyta jednak skrupulatnie, cierpliwie słuchała jego kolejnych raportów z niesamowitych wcieleń, co zaowocowało. Pewien tryb zawierał w sobie posiadanie siostry.

– Oczywiście, Lidka. Już mnie nie odwiedza, bo wyjechała na Antarktydę... Żartuję! – Dareczek zdrowo się zaśmiał. – Przed chwilą tu była... znowu idzie do tego swojego dziwnego miejsca.

– Jakiego miejsca? – pędem zapytała Edyta.

Darek ujawnił jej nazwę lokalu. Komisarze telepatycznie uznali, że więcej od niego się nie dowiedzą, bo Dareczek zaczął grać na wyimaginowanej gitarze, także powrót do tej postaci z siostrą Lidką zająłby pewnie sporo czasu.

Przed wyjściem z ośrodka dla obłąkanych Edyta przekazała Łukaszowi wiadomość, że na innym oddziale w tym samym budynku, tyle że w bocznym skrzydle, przebywa dziewczynka krzywdzona przez Romana Schmidta. Nadal nic nie mówi, a dwie dotychczasowe próby zabrania jej do domu przez rodziców niemal kończyły się jej śmiercią – raz przez napad duszności prawie przestało bić kruche serce dziecka, a przy drugiej zakryła się cała w wannie, przez co niemalże umarła na skutek za długiego czasu spędzonego pod wodą. Przeginasz, Jezus.

Łukasz znał budę, do której podobno, jeśli dać wiarę szaleńcowi, chodziła Lidia Brożek. Jeden z członków personelu owego klubu był bowiem jego ucholem. Informator miał ksywę Cezar i swego czasu Łukasz uratował go od puszki za rozprowadzanie GHB^[1], ponieważ ten był świadkiem, jak trzech Murzynów skopało na śmierć Polaka, tylko dlatego że wyrwał japońską turystkę. Cezar kręcił się tu i tam, znał bardzo wielu ludzi, jeszcze więcej osób znało jego. Nigdy nie zależało mu na niczym oprócz

fotografowania. Wystarczyła mu robota w ultraspecyficznym miejscu, troszkę koki w nos i co noc inna dupa, najlepiej chuda, mała i w ogóle to miał kiepski gust. Obracał się w różnym towarzystwie, przez co sporo wiedział o miastowych, ale raczej tych ze starego układu, nie, jeżeli chodzi o Bestie. Postanowił, że w zamian za odstąpienie od ukarania go w przeszłości zobowiąże się pomóc Łukaszowi, jeśli będzie w stanie. Podkomisarz dodał tylko jeden warunek: koniec z handlem pigułką gwałtu.

A ten klub... no, niezły był. Mieścił się w blaszanym kwadracie, obok niszowego kina, gdzie grano tylko nieznane, często bardzo artystyczne filmy. Atrakcją lokalu była małpka, ciemnawa, bystra i złośliwa dla tych, którzy jej nie pasowali. Tak – prawdziwa małpka. Didżej miksował kawałki, wykorzystując każdy rodzaj muzyki, jaki powstał w dziejach ludzkości. Za siedzenie służyły tam różne krzesła – fotele biurowe albo samochodowe, a nawet te z samolotów, siedziska z likwidowanych filharmonii i teatrów, typowo kuchenne stołki i tak dalej. Łatwo się więc domyślić, że stoły były równie nietypowe i zróżnicowane. Przy barze widniał charakterystyczny wielki zbiornik napełniony niebieskim alkoholem, z którego systemem rurek płynął po całym klubie owy trunek. Dla wtajemniczonych na zapleczu mieścił się pokój zwany jebalnią i łatwo się domyślić, w jakim celu zorganizowano to pomieszczenie...

– Czołem komisiere – rzucił na powitanie Cezar. Stał sam za barem. Kompozytor muzyki na wieczór testował różne wariacje, w klubie było jeszcze kilka ciekawych, albo po prostu świrowatych, osób.

– Siemasz. – Łukasz usiadł naprzeciw barmana, to samo zrobiła Edyta.

– Nie przedstawiś mnie koleżance...?

– Nie.

– Więc o co chodzi? – Cezar podrapał się po bliźnie po tracheotomii.

Edyta przywitała się z małpą, małe zwierzątko przyjaźnie wyciągnęło kosmatą łapkę.

– Dzisiaj jestem prywatnie. – Łukasz wyciągnął fotografię Lidii Brożek i okazał ją Cezarowi. Zdjęcie zabrali z domu, z ramki w sypialni.

Małpa ulotniła się w stronę swojego właściciela, który mieszał vaporwave z dance'em.

– To Lady – Cezar bez zbytniego przyglądania się fotografii odpowiedział Łukaszowi. – Bywa tutaj często, wszyscy ją lubią, raz się z nią bzykałem w jebalni, ale jak dla mnie miała za duże cycki.

– Wzruszające. Moim zdaniem to ty nie wiesz, co dobre – włączyła się Edyta.

Cezar, ten niepoprawny fotograf, zawstydził się okropnie na te słowa Edyty. No, ciekawe to było.

– Dobrze ją znałeś? – zapytał Łukasz.

– Słabo.

– A kto znał najlepiej? – to Edyta.

– Jovana. Bezapelacyjnie. Ona będzie tu... za pół godziny.

Komisarzom nie pozostało nic innego, jak zebrać wszelką wiedzę o Lidii, czekając na Jovanę. Z tych zlepek od ludzi z klubu wykrystalizował się sensowny portret, ale dopiero rozmowa z Jovaną przyniosła coś konkretnego dla nich. Kobieta była niezwykle ładna, onieśmiała wścikłą urodą. Pochodziła z Serbii, do Polski trafiła jako piętnastolatka, miała mieć codzienny kontakt z obleśnymi pałami jakichś bogaczy, ale policyjna akcja wybawiła ją z tej, co tu dużo mówić, przykrej przyszłości. Dziecko zostało w Polsce, bo nie za bardzo miało dokąd wracać... Przeróżnie układają się ludzkie losy. Historia Jovany była tego najlepszą egzemplifikacją.

Łukasz siedział na fotelu z jakiegoś forda, naprzeciwko na wiklinowym krześle usadowiła się Jovana, miała na sobie kieckę po kostki i buty na obcasie, które w sposób wręcz nad wyraz afrodyzyjny podkreślały jej zgrabne łydki. Pomiędzy nimi, z innej strony stołu, usiadła Edyta, która przecież również była atrakcyjna, lecz Serbka pod tym względem biła na głowę chyba wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek spotkał Łukasz.

– Dlaczego o nią pytacie? – mówiła płynnie w ojczystym języku Jana Pawła II, ale można było wyczuć w jej głosie nutkę bałkańskiego akcentu.

– Nią? – pytająco odparła Edyta. – Podobno bardzo dobrze się znałyście...

– Znam wielu ludzi. – No tak, śliczna panienska zawsze ma wysokie poczucie własnej wartości, nawet jeśli w mózgu zamiast szarych komórek posiada wapno. Tyle że Jovana na pierwsze wrażenie emanowała tym, że jednak coś w jej umyśle się kotłuje, bynajmniej nie styropian.

– Megalomania – rzucił Łukasz. – Na pewno wiesz, co to jest, bo studiowałaś. Ta apaszka to pamiątka z któregoś uniwersytetu, nie? Dodałbym jeszcze to, że traktujesz ludzi instrumentalnie, ale robisz to dlatego, że boisz się odrzucenia. Zabezpieczasz się na wszelki wypadek, gdyby ci ludzie cię zostawili, zranili czy coś w tym stylu.

– Coś jeszcze, Sherlocku? – ironicznie odrzuciła Jovana. Ach, te oczy, sakramencko błękitne, migdałowe... Te usta, tak fantastycznie wykrojone, jakby wykonywał je najlepszy rzeźbiarz na świecie... Ta karnacja, południwoeuropejska, te rysy ciała, barwa głosu, precudowne rzęsy, dłonie... A jakie włosy? Mrocznie czarne, z księżycowym blaskiem.

Wstyd przyznać, ale stanął mu. Mimo to kontynuował:

– Masz jakiś powód, by przychodzić tutaj, pracować w tej budzie i bratać się z tą zgrają najbardziej dekadentkich dziwaków w mieście. Nie bez przyczyny zakrywasz też piękne nogi... Nie ma sensu tego analizować, bo my przyszliśmy porozmawiać nie o tobie, a o Lidii Brożek. Poza tym wszystkim kluczowe jest to, że lekko utykasz na jedną nogę, i to muszę ci powiedzieć. – Chciał wstać, ale trochę skompromitowałby się, gdyby spojrzała mu na krocze. – Robisz tutaj, bo szukasz tego, który... Lecz nie wiesz, że prawdopodobnie z tego powodu masz niezaleczoną kiłę, i lepiej się tym zajmij. Minęło już co najmniej pięć lat od tego czynu?

Jovana nieśmiało pokiwała głową.

– Sądzę, że właśnie dlatego kuśtykasz. Sprawdź to. Powiedz lekarzowi, że możesz mieć wiąd rdzenia kręgowego.

Zapalił papierosa. Edyta nie wiedziała, czy włączać się już do rozmowy. Zaczekali chwilę, aż Jovana przetrawi otrzymaną treść.

– Co chcecie wiedzieć i dlaczego pytacie mnie o Lidkę?

– Nie żyje – odpowiedziała Edyta. – Przykro nam.

Jovana nie płakała, ale ruszyła ją ta wiadomość.

– Jak umarła?

– Zabójstwo. Możesz nam coś o niej powiedzieć? Kiedy ostatni raz tu była?

– Tydzień temu.

– Mówiła coś o nowo poznanym facecie? – ciągnęła Edyta.

– Nie, nic. – Jovana gestem poprosiła Łukasza o papierosa. Kiedy podawał jej ogień, dotknęła jego dłoni. Ciepło, a zarazem lodowatość tego dotyku były niesamowite.

– Kontaktowałaś się z nią od tamtego czasu?

– Nie.

– Gdzie możemy się dowiedzieć jeszcze więcej o jej ostatnim tygodniu życia?

– Chyba w tym ruchu.

– Jakim ruchu? – zapytał Łukasz.

Jovana przekazała im pełną nazwę grupy religijnej, do której od dwóch miesięcy przynależała Lidia. Potem porozmawiali szerzej o niej. Było tak: nie żeby nie chcieli słuchać zdań pogłębiających profil ofiary, lecz oni wiedzieli, kogo szukają i w jaki sposób mogą go wytropić. Tylko poprzez ślad, a nie dowiadując się wszystkiego o ofierze, bo wszakże ich Przystojniak poznawał się z kobietą, którą sobie wybrał, a niedługo potem ją mordował. Co prawda zawsze istniała opcja jego naśladowcy, który naczytał się gazet i internetowych tekstów, po czym postanowił współtworzyć dzieło Rzeźnika. Mało kto w to wierzył, ale w tej chorej sprawie niczego nie można było definitywnie wykluczyć lub zignorować.

Pod koniec rozmowy serbsko-polska piękność skruszyła się i nieco opowiedziała o sobie.

– Nie szukaj zemsty – doradził jej Łukasz. – Pamiętaj, co się wydarzyło, ale idź do przodu. Życie to suma bardzo często niezależnych od nas impulsów, pieprzonych przypadków. My tego nie zmienimy, możemy tylko dopasować się albo honorowo zakończyć tę tragedię, czego i tak nikt nie uzna za coś godnego pochwały. Świat ma nas w dupie.

– Ty się dostosowujesz? – spytała, gwałtownie odkładając drinka w kolorze amarantowo-indygowym.

– Próbuję, ale chujowo mi to wychodzi. Lecz zawsze mogę stwierdzić, że przynajmniej spróbowałem.

– A ty – zwróciła się do Edyty – masz jakieś życiowe morały?

– Nie. Hołduję starym zasadom. Kiedyś ludzie nie wygłaszali wszystkim swoich prawd, bo mieli to gdzieś.

– Pasujecie do siebie – tą opinią Jovana zakończyła dyskusję z Edytą i Łukaszem.

Policjanci nie mogli się zatrzymać, by to zanalizować, gdyż ruszyli ku kolejnemu tropowi – liczyli, że czegoś tam się dowiedzą. Mieli szczęście, bo ksiądz prowadzący spotkania tego ruchu przebywał jeszcze w swoim gabinecie i tam ich przyjął, pośród religijnych ksiąg, krzyży i świętych obrazków. Wielebny Mieczysław był po czterdziestce, ale miał figurę dwudziestolatka. Wyróżniał się nawet przystojnością.

Dopiero tłumaczenia oficerów, że Lidia Brożek nie żyje, skłoniło go do opowiedzenia tajemnicy, którą przekazała mu ofiara. W czwartek popołudniu zwierzyła się przewodnikowi duchowemu, że wieczorem ma

spotkanie z mężczyzną, randkę, czy jak to tam młodzi ludzie mówią. Lidia była bardzo podekscytowana, nie chciała zbyt wiele o nim mówić, ksiądz dowiedział się tylko tyle, że nie za dobrze go zna i że ta zbłąkana duszyczka nosi ze sobą broń. Niestety to tyle, nie naciskał, bo nie o to, moi drodzy, chodzi w naszym ruchu, mówił zalatujący drogą wodą kolońską ksiądz, wieczny odpoczynek dla jej Duszy, jestem przygnębiony, do widzenia państwu.

Czy *nie za dobrze go zna* oznaczało, iż znała go lepiej niż pozostałe ofiary? Chyba tak, skoro wiedziała, że nosi przy sobie kłamekę, i nie chciała zbyt wiele o nim mówić, ale ksiądz Mieczysław wyczuwał, że miała o nim dość dobrą wiedzę. Przystojniak rzeczywiście może być gliną? Albo mieć powiązania z „miastem”? Lecz przecież broń noszą nie tylko psy i bandyci, a Lidka mogła rzeczywiście go poznać w różnych okolicznościach; może faktycznie znała go dłuższy czas niż pozostałe ofiary, dajmy na to, rok? Edyta i Łukasz zawsze mogli pójść za dalszymi osobami z kręgu zamordowanej, ale raczej wycisnęli już wszystko z ludzi będących najbliższej niej.

Było nie było, dowiedzieli się o mordercy konkretnej rzeczy. Małej, ale jednak. Posiadana broń. Tylko co im to dawało? Szczerze wątpili, aby miał zarejestrowaną giwerę. Zresztą, w jaki sposób mieli go znaleźć na takiej podstawie, bez szczegółów i tak dalej?

Pod koniec dnia przejrzeni raport techników z auta, chevrolet został wyczyszczony z najmniejszego śladu. Czyli przyjechał z nią jako pasażer, pod jej własny dom. Czy zdawał sobie sprawę, że Lidka pracuje w ZMS-ie? Czy w związku z tym celowo wybrał ją na ofiarę?

Od groma przypuszczeń, tez, luźnych myśli, ale wciąż brak wyraźnych konkretów, które pociągnęłyby sprawę. To już piąta ofiara do kurwy nędzy! Kiedy gnój znacząco się pomyli, kiedy dowiedzą się o nim więcej, czy zostawi za sobą trop doprowadzający ich do niego? Ta sprawa, ta seria bulwersujących morderstw była jedną wielką paranoją.

Równie wielkim nieporozumieniem było to, że sekcję zwłok Lidii Brożek musiała przeprowadzić Justyna, przez zbieg nieszczęśliwych okoliczności, na czele których stało kilka trupów z kraksy na autostradzie. Domyślnie badaniem zwłok piątej ofiary Rzeźnika miał się zająć Ptak.

Łukasz z Edytą weszli do prosektorium. Zakryta zieloną płachtą Lidia leżała na stole, a laborant, szpakowaty pan pod wąsem, mył narzędzia ze

słuchawkami w uszach. To było miejsce dla Lidii, to ona powinna stamtąd w ciszy przyglądać się rozmowie Justyny z komisarzami.

Patolog, zjawiwszy się na sali, zbliżyła się do zwłok koleżanki.

– Chcecie znać szczegóły? – spytała oficerów.

Edyta negująco pokręciła głową. Justyna w związku z tym błyskiem wróciła do swojego gabinetu, Łukasz poszedł za nią. Poczęstował ją tam papierosem, oboje zapalili.

– Zginęła wskutek utraty krwi – powiedziała lekarka medycyny sądowej. – Mam podstawy przypuszczać, że kiedy nacinał jej głowę celem wyjęcia mózgu, żyła jeszcze. Potem perfekcyjnie rozłupał jej czaszkę. – Zakrzuszyła się petem, zgmiotła niedopałek na biurku, nie zważając na nic.

– Coś jeszcze? – rzucił Łukasz, stojąc blisko niej.

– Na jej prawym pośladku zabezpieczyliśmy ślad linii papilarnych.

– Mamy jego odciski palców?! – podkomisarz strzepnął popiół do podstawionego przez Justynę kubka.

– To jest materiał porównawczy, jeśli go złapiesz, wystarczy zbadać daktyloskopijną zgodność i tę biologiczną, ślad której znaleźliśmy przy drugiej ofierze.

– Złapię.

– A macie coś?

– Wpadnie. W życiu nie spotkałem się z kimś, kto jest tak nieuchwytny. Facet jakby nie istniał, dlatego jestem pewien, że to go zgubi.

Zapanowała chwila ciszy. Zamknięte drzwi były specyficzną barierą pomiędzy Justyną i Łukaszem a Edytą.

– Wiem, że to niezbyt właściwy moment...

– Ale? – zachęciła Łukasza Justyna.

– Chcę spróbować ułożyć sobie z kimś życie... i...

– Ze swoją partnerką z pracy?

– Skąd wiesz?

– Jesteś spostrzegawczy i inteligentny, ale w obliczu tych spraw jak każdy facet nic nie zauważasz, no, ty akurat może się domyślasz... Ja dostrzegłam, jak Edyta na ciebie patrzy. To nie jest zwykłe oglądanie się za mężczyzną.

Łukasz poczuł się jak skarcone dziecko. Zgasił fajkę.

– Nie będę za tobą płakać, znasz mnie. Jeszcze dzisiaj mogę znaleźć sobie pocieszenie – kontynuowała Justyna.

– Dzięki. Za to, że powiedziałaś mi to, co powiedziałaś.

– Nie ma za co. Po prostu wy zwyczajnie chowacie się za mocną logiką, a kompletnie olewacie emocje, a już szczególnie najważniejsze uczucia.

Przez całą drogę powrotną Łukasz dyskretnie przyglądał się, jakim spojrzeniem oblepia go Edyta. Wzrok ten nie pozostawiał złudzeń. Jeszcze powstrzymywał się przed wielkimi słowami. W sobotę znowu coś mu przeszkodziło, w sumie trochę go uspokajając, bo nie wiedział jak to rozegrać. Co przeszkodziło?

Trup, a jakże.

[\[1\]](#) GHB – rodzaj pigułki gwałtu.

Peugeot zatrzymał się na mokrym podjeździe. Dzień miał być pogodny, i to tyle. W rzeczywistości paskudnie lało i wiało. Z samochodu wysiedli Maradona i Łukasz. Szli w stronę szykownego domu, którego mury, w celu estetycznym, zostały zakryte drewnem. Przed wejściem do budynku stali jak kołki dwaj policjanci w czarnych mundurach. Maciek założył na szyję łańcuch z zawieszoną na nim legitymacją, odwróconą odznaką do oglądających.

– Panowie skąd? – zapytał przy inkrustowanych drzwiach jeden z mundurowych. Miał workowatą, zmęczoną twarz, słowa wypowiadał krzywiąc wargi, jakby przechodził udar.

– Wydział zabójstw – odparł Łukasz, na moment pokazując im szmatę, po czym schował dokument.

– Kto znalazł ciało? – spytał Maradona.

– Tymon Szewczyk, lat czterdzieści trzy – powiedział drugi policjant, krępy, z prostą, jakby ograniczoną twarzą niewzbudzającą empatii. – Listonosz. Przyniósł rachunki, drzwi były otwarte. Zajrzał, bo uznał, że to dziwne. Pytał, czy ktoś jest, jakoś to poszło, no i zobaczył to.

– Gdzie jest?

– U sąsiadów.

– Rozejrzyjcie się po okolicy, popytajcie, czy nikt nic nie widział.

Ekipa wezwana?

– Nie.

– Idźcie już.

Dwóch funkcjonariuszy ruszyło, oddalając się od posesji, a Maciek z Łukaszem weszli do budynku. Mieli na dłoniach niebieskie rękawiczki, powoli stąpali po wnętrzu domu. Gołym okiem było widać, że właścicielem mieszkania jest ktoś solidnie nadziany. Chwilę później dowiedzieli się kto. W salonie na parterze, przy kominku z ozdobnymi złotymi świecznikami

leżał martwy Mojżesz. Miał trzy rany postrzałowe – jedną na lewej piersi i dwie na brzuchu. Przez sprawcę albo sprawców został pozbawiony języka, także jego twarz miała na sobie znaczną ilość zakrzepłej krwi.

– To musi być ktoś z „miasta” – rzucił Maradona.

– To mój gadacz. Ukrywał się przed Salcesonem, ale ten go dopadł, już pośmiertnie poprzez wydany wcześniej wyrok. – Łukasz pochylił się nad zwłokami. Chwilę przy nich myszkował.

– Steżenie^[1] ustąpiło, zabili go trzy, cztery dni temu – podjął po chwili.

– Proces gnilny też postępuje już ze wskazaniem na ten czas. – Wstał na równe nogi. – Wezwij w końcu tę ekipę i sprawdź, czy w garażu jest jakaś bryka. Rozejrzyj się wokół domu, a od listonosza dowiedz się, na jakie nazwisko przysły te rachunki. Ja poszperam tutaj.

Maradona nie protestował. Łukasz poszperał, ale dużo czasu mu to nie zajęło. Mianowicie w rogu pokoju, w którym najprawdopodobniej doszło do zabójstwa, znajdowała się komórka. Wypadła z rąk Mojżeszowi, gdy do niego strzelali, wszystko na to wskazywało. W strachu nie zdążył nawet wziąć klamki, którą z pewnością gdzieś tutaj miał. Albo ją zabrali. Łukasz stwierdził, że raczej to drugie, bo na ścianie tuż obok framugi widniał ślad po strzale. Czyli była wymiana ognia. W telefonie zaś nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie to, że na jego ekranie widniała niewysłana, przygotowana wiadomość tekstowa. Docelowy odbiorca dziwnym trafem miał numer Łukasza.

Wilczur wie, że jestem twoim ucholem. Idą po mnie – Przed śmiercią, której nieuchronnie się spodziewał, Mojżesz widocznie chciał zrobić coś dobrego. I poniekąd udał się mu ten uczynek miłosierdzia, bo dzięki owej wiadomości Łukasz zebrał wszystko do kupy. Na nowo, co w obecnej sytuacji zdawało się bardzo logiczne.

Nie został na miejscu zdarzenia, bo pojechał do siedziby Centralnego Biura Śledczego, zostawiając Maradonę przed wyróżniającym się domem-kryjówką Mojżesza. Tak więc Maciek w kwestii powrotu musiał być zdany na uprzejmość bliźnich.

W Cebosiu zarządzili duże obostrzenia, bo przed wejściem do Biura należało podać przyczynę wizyty i zdać broń, nie wystarczyło machnąć policyjną legitymacją. Mimo że Łukasz miał przekazać ważne informacje nadkomisarzowi Pleśniakowi, to nie wszedł do jego gabinetu, tylko zawołał go do kibla. Ten wykonał to z wyraźną awersją, na starcie agresywnie

pytając, w nowoczesnej, robiącej wrażenie toalecie:

– O co chodzi? W jakim celu robisz te konspiracyjne podchody, boisz się podsłuchu? – Pleśniak miał na sobie granatową marynarkę, idealnie dopasowaną koszulę i drogi, luksusowy zegarek ze sportowym zacięciem.

– Cześć, Wilczur – rzucił bezceremonialnie Łukasz.

Wcześniej, w kryjówce Mojżesza wszystko ułożyło się mu w jasną, spójną całość. Po pierwsze, kto mógł się dowiedzieć, że Mojżesz jest jego ucholem? Byli ostrożni, więc dokonał tego ktoś z możliwościami inwigilacyjnymi, a takie zdecydowanie ma CBŚ. Po wtóre, napadnięty został tego dnia, w którym rozjuszył Pleśniaka w klubie, gdzie zabito Boksera, Żółtka i Rysia. Ponadto, wymienił tam słowo *Wilczur*. Po trzecie, dlaczego Bestie mogli dokonywać sprawnych egzekucji, mając kompleksową wiedzę o monitoringu miejskim i tak dalej? Bo wszystko zlecał i nadzorował wysoko postawiony oficer bądź oficerzy struktury stworzonej głównie do walki ze zorganizowanymi grupami przestępczymi, co łączy się też z punktem czwartym – Pleśniak i banda dobrze znali ten temat, dlatego przez rok zwinnie sterowali własną grupą przestępczą – stąd milczenie poszczególnych członków Bestii, stąd nieprowadzące donikąd, mozolne śledztwo. I po piąte, miastowi nie ruszyliby gliniarza, bo niby skąd wiedzieliby, że akurat Wiśniewski doszedł do prawdy. Ale zdobycie takiej wiedzy dla Pleśniaka było drobnostką. Z kolei decyzja o likwidowaniu innych gangsterów w mieście była poparta lękiem przed tym, że Salceson czy inni wielcy półświatka kiedyś wyjawia prawdę policji, aby złagodzić sobie karę, i wtedy wielki lewy biznes poszedłby się kochać. Pleśniak nie mógł jednak wiedzieć, że jego małpy w końcu puszcza się ze smyczy i same wpadną w łapy wymiaru sprawiedliwości.

– Co ty pierdolisz, pojebie?! – odparł afromtem Pleśniak, zdemaskowany i zdenerwowany.

Łukasz nie odpowiedział, tylko zbliżył się do niego, schwycił go za marynarkę i przysadził czołem w nos parszywca, po czym wywrócił go na ziemię, rzucając w stronę pisuarów.

– To za moją przyjaciółkę, śmieciu.

– To twój koniec, Kowalczyk – ryknął rozwścieczony Pleśniak, trzymając się za krwawiący nos.

– Możemy się bawić w kotka i myszkę, z tym że ja dzięki antycypacji zawsze przewidzę twój ruch, będę zawsze krok przed tobą. A dowody się

znajdą... Jestem wyjątkowo wytrwały i będę ich szukał całe lata, łamał prawo i tłuł ludzi, ale je zdobędę...

Wyraz twarzy Pleśniaka to była mina człowieka stępnego, skompromitowanego. Wycierał dłonią ciekącą krew.

– Albo sami oddacie się do dyspozycji Abwery lub BSW^[2]. Wybieraj, masz czas do poniedziałku.

Po czym Łukasz zbliżył się do Pleśniaka i kopnął go w żebro, z furią, mocno i boleśnie, i dodał jeszcze:

– To za Wiśniewskiego. I mam nadzieję, że powiesz się jeszcze na sankach^[3], skurwysynie.

Tak właśnie – niewiarygodne i, zdawałoby się, niemożliwe sprawy w ramach kryminalnych zdarzają się naprawdę, i trudno w nie uwierzyć.

^[1] Stężenie – pośmiertna sztywność mięśni.

^[2] BSW – Biuro Spraw Wewnętrznych.

^[3] Powiesić się na sankach – powiesić się w trakcie aresztu tymczasowego.

Pod wieczór Łukasz zadzwonił do Edyty. Gapowato, trochę nieśmiało zapytał, gdzie jest ta niedzielna imprezka. Powiedziała mu, po czym równie kłopotliwie, jakby była trzynastolatką, spytała, czy na serio się tam wybiera. Odparł, że chciałby z nią dość poważnie porozmawiać i tak sobie pomyślał, że to może być niezła okazja. Edyta nie przekazała mu, o czym z kolei ona myślała: że to nie do końca będzie dobra okazja i przecież może do niej przyjechać choćby teraz. I w ogóle po co te podchody? To śmieszne, ale Łukasz dziecinnie chciał odłożyć ten moment, może najważniejszy w życiu, chociaż o jeden dzień. Oczywiście tego jej nie wydukał, za to zaznaczył:

– Nie należę do osób społecznych, towarzyskich. Na jakimkolwiek przyjęciu nie byłem chyba z dziesięć lat.

Zaśmiała się i powiedziała, że może być fajnie.

Skończywszy rozmowę z Edytą, zanurzył się w myślach, pozorując zainteresowanie Dagmarą, kolacją i grającym telewizorem.

W końcu, jakżeby inaczej, nadeszła niedziela, a wraz z nią nieubłagalnie jego *deadline*.

Było pogodnie, chłodnawo, ale przyjemnie. Na drewnianej konstrukcji w parku bawiła się (głównie piła) grupa ludzi. Ta obszerna altana graniczyła z jeziorkiem. Kiedy tam szedł, stopniowo do jego bębenków słuchowych dobijała się coraz głośniejsza muzyka. Hałasy, chłanie w miejscu publicznym, pośród przyrody? Niby kto zabroni oficerom policji? Park był raczej pusty, czasami tylko przeszła nim grupka młodych ludzi, para zauroczonych ptaszków lub smutni biegacze. Solidnie już pociemniało, ale organizatorzy popijawy zadbali o odpowiednie oświetlenie.

Przed wejściem na pole zabawy przywitał go Maradona, wyraźnie już skręcony od alkoholu. Zapewnił on kolegę z wydziału, że może spokojnie pić, bo jak skończą, to do mieszkań porozwozi ich taxi-suka-997. Reszta balangowiczów już tak ochoczo nie przywitała Łukasza. Zaskoczyło ich, że

zjawiła się osoba, którą w środowisku poddali ostracyzmowi (w dodatku byli przekonani, że stan ten pasował zarówno im, jak i jemu). Tak więc byli zdziwieni jego obecnością, nawet odrobinę zbulwersowani, ale w akceptacji tego faktu pomogło to, że mieli już swoje w żyłach. Wódeczka lała się strumieniami.

Edyta była trzeźwa, wypłała raptem jednego drinka. Była jedyną kobietą w towarzystwie. Gdyby nie ona, Łukasz spędziłby ten czas w ciszy i gapieniu się w jezioro – a tak naprawdę, gdyby nie ona, w ogóle by się tam nie zjawił. Tak przynajmniej przebywali na uboczu razem, ale dużo nie rozmawiali. Łukasz walnął kilka kieliszków czystej. Przekazał Edycie, że w poniedziałek coś ją poważnie zaskoczy, co może sprawić, że schwytają zabójców Darii Idzik, a zarazem gwałcicieli Dagmary. Jedno jest pewne – gang Bestii definitywnie się rozleci, a ich przywódca – Wilczur – albo kto wie, może nawet przywódcy – Wilczury, pójdą siedzieć. Kwestią czasu w takim przypadku pozostanie więc, kiedy wynurzą się wszyscy żołnierze. No, prawie wszyscy, bo ktoś pewnie przepadnie, jak to bywa. Mówił tajemniczo, Edytę interesował ten temat, ale nie pytała o szczegóły, bo pragnęła w końcu przejść do konkretnej rozmowy. Na jaki temat? Na ICH temat. Trochę im zeszło, nim w końcu wskoczyli na ten tor.

– Mieszkasz z Dagmarą? – zapytała wreszcie. Stali przy balustradzie na krańcu, patrząc w zbiornik wodny i mieszczącą się za nim dalszą część parku.

– Tak. Muszę jej pomóc wyjść na prostą. Muszę, bo to pierwsza moja przyjaciółka od lat. Wcześniej poniekąd była nią Monika, a w sierocińcu taki mój towarzysz broni... Oboje nie żyją. Oboje przeze mnie...

Chwila przerwy w rozmowie.

– Chciałeś... pogadać. Cholera, ale to głupie, zachowujemy się jak szczeniaki.

– Ej! – ni stąd, ni zowąd pojawił się przy nich Dziadzio. Mocno nadźgany. – Może sobie potańczycie, gołąbeczki? Ja jestem zadeklarowanym poligamistą, ale życzę wam szczęścia. Brzytwa i Nietzsche... Ja pierdolę, ale jaja... Pasujecie do siebie. Za tobą, Nietzsche, oglądają się wszystkie dupy w fabryce, a Edytka to wiadomo... moje senne marzenie.

Edyta z Łukaszem wesoło zaśmiali się z Dziadzia.

– Może już starczy tych wyznań, Dziadzio – rzekła Edyta.

Ten usłuchał, puścił im oczko i poszedł głębiej w parkiet, gdzie na stołach lała się wódka.

Łukasz i Edyta, zostawszy sami, nieśmiało patrzyli na siebie.

– Moje życie to niekończące się pasmo cierpienia i przemocy... – zaczął Łukasz. – Dobra, muszę to w końcu powiedzieć. W relacjach międzyludzkich liczy się jedno... Czego żałujesz przed śmiercią. Cała reszta jest głównie warta. Pytanie pozostaje otwarte: czy jeśli jutro przyjdzie mi umierać, to w ostatnich sekundach życia będę żałować, jeśli teraz powiem ci, że nie możemy być razem...?

Zapadła cisza w konwersacji, nie liczyły się dla nich gwar i donośna muzyka, otoczenie, wszystko. Liczyła się tylko ta chwila, zczarowana to zbyt banalnie powiedziane. To był jeden z tych momentów, które pamiętasz do końca. Tylko te momenty, raz krótsze, raz dłuższe, mają znaczenie. Takie chwile towarzyszące zdarzeniom, emocjom, które pamiętamy z całego życia. To, co naprawdę widzisz na końcu drogi. Reszta jest głównie warta.

– Żałowałbym – odparł nareszcie. – Bardzo. Najbardziej. Dlatego nie ma sensu tracić czasu. Nie wiem, jak to się mówi... Będiesz moją dziewczyną? – dodał z niezręcznym uśmiechem.

– Jasne – odpowiedziała. Najcudowniej.

Tak oto, w całym tym, mówiąc kolokwialnie, syfie, może się narodzić nieskazitelne, niczym nieskażone, krystalicznie czyste, obustronne uczucie, będące jednością. Coś, czego pragnie każdy.

Było po dwudziestej trzeciej, zimno nieprzyjemnie targało tych, co za mało wypili. Dlatego pili dalej. A Edyta z Łukaszem wciąż stali z boku, swobodnie rozmawiając, bo przecież w ogóle się nie znali.

– Jestem kilka lat starszy od ciebie. Blżej mi do czterdziestki niż trzydziestki – zauważył Łukasz.

– Ja lubię szachy... Dziwne, nie? – nieoczekiwanie wypaliła Edyta.

– Grałem kiedyś i szło mi całkiem przyzwoicie. Ale przestałem, jak pokonał mnie trzynastolatek.

– Drętwo tańczę – rzucił Łukasz, kontynuując tę luźną wymianę zdań.

– Ja też nie najlepiej. Ostatni raz to chyba w liceum brałam udział w jakichś baletach.

– Nie umiem gotować – powiedziała po chwili.

– Ostatnimi laty stołowałam się głównie u Wietnamczyków, Turków i tak dalej.

– Chyba zamieszkamy u mnie... Nigdy nie byłam u ciebie, ale mam przecucie, że lepiej będzie u mnie.

– Chyba tak. Mieszkanie zostawię Dagmarze.

Nie mogli wiedzieć, że w tle leci utwór *Ostatni uśmiech* Twój zespołu Boys, bo na piosenkach disco polo znali się jak nekrofil na Biblii.

– Lubisz muzykę klasyczną? – zapytał ją.

– Uwielbiam.

Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła ten uśmiech. Była piękna.

Najpiękniejsza.

Najpierw z hukiem na plac naprzeciw altany wtargnął hummer, na jego pace siedział Dentysta, który podniósł się i zaczął strzelać na oślepa w stronę imprezujących policjantów. Dzielącą ich barierą było jeziorko. Łukasz zareagował najszybciej, upadł z Edytą na drewniany parkiet, ciągnąc ją ze sobą na dół, i zrobił osłonę z mieszczącego się nieopodal metalowego stołu. W momencie, gdy amunicja z wydrążonymi końcówkami poszatkowała jednego z oficerów, szatyna z lekką nadwagą, za terenówką zatrzymały się kolejne dwa samochody, sprawne sportowe bryki. Maradona w pozycji czołgania schował się za szatynem, z którego bezlitośnie ciekła krew, Dziadzio wyjątkowo prędko przyparł do osłony, którą z dwóch stołów i trzech krzeseł zaimprovizowało trzech policjantów. Broń przy sobie mieli tylko Łukasz, Edyta, Maradona i jeden łysy oficer z podkrążonymi oczyma. Pozostali nie wzięli klamek, aby po pijaku nie narobić dziadostwa. Wszyscy chowali się, gdzie się dało, uciekając od strzałów Dentysty, na przykład dwóch gliniarzy zbiegło za drewnianą konstrukcję, ukrywając się pod poziomem parkietu jak w jakichś pieprzonych okopach. Nikt ze strony glin nie otworzył ognia, czekali, aż strzały z karabinu ucichną. Zdawali sobie sprawę, że wypity alkohol nie pomoże im w osłabieniu siły wroga. Łukasz, troskliwie, kurczowo trzymając Edytę, wezwał wsparcie przez komórkę, absolutny priorytet, ostre strzelanie.

Dentysta przestał rzucać seriami i ustawił się za solidnym samochodem przystosowanym do ekstremalnych warunków. W tym momencie pozostali zamachowcy byli już ułożeni na pozycjach, za tarczę robiąc sobie stojące rzędem samochody, gotowi na wojnę. Byli to: Makarov i Czesiek; uciekinier Mehmet wraz ze swoim przydupasem – znanym z rekordowo niskiego ilorazu inteligencji Razorem; Łysy-Cymbał, czyli asystent Dentysty przy egzekucjach gangsterskich, oraz wyjątkowo sporo mądrzejszy od kolegów, oczywiście z wyjątkiem Dentysty, nawet przystojny gangus o ksywie

Nicholson.

Zaczęła się jatka.

Dentysta miał nowoczesny karabin, z którego z pozycji hummera rozpoczął strzelaninę, na starcie akcji rozpieprzając człowieka, puste i pełne, częściowo lub całościowo, butelki oraz sprzęt grający i nagłaśniający. Czesiek ścisnął w łapach uzi, ale na szczęście nie potrafił się nim zbytnio obsługiwać. Mehmet pruł z kałasznikowa, a pozostali dzierżyli w dłoniach krótką broń palną: czeski CZ 75^[1], amerykański S&W^[2], austriacki 17 Gen4^[3] i niemiecki P99^[4]. Chociaż tyle, że nie mieli przy sobie żadnych granatów ani innych koktajli Mołotowa. Mimo to jednak, taka grupa, z takim arsenałem, naprzeciwko czworga uzbrojonych policjantów, bez kamizelek kuloodpornych – nie zapowiadało się nic dobrego.

Zatem nic dobrego się nie działo. Sparaliżowany Maradona oddał tylko jeden strzał. Łysy oficer strzelił kilkukrotnie, do momentu, aż nie oberwał z uzi w ramię. Edyta z refleksem, zimną krwią i precyzją kaleczyła stojące samochody. Z ludzi udało jej się trafić Nicholsona, ale tylko w ucho. Wszystko trwało niesamowicie szybko. Naprawdę, za szybko, by można było liczyć na jakiegokolwiek wsparcie. Padło oświetlenie, co nie pomogło, ale na szczęście obu stronom wymiany ołowiu. Łukasz strasznie bał się o Edytę, ale wiedział, że musi działać błyskawicznie, z otwartą głową. Dlatego skrupulatnie walił z glocka, regularnie, miarowo. Nawet zgrali się rytmem z Edytą. Jeden z mocno naprutyh psów, z nosem jak chuj diabła, w beżowej marynarce, wstał i zaczął uciekać. Dostał siedem kul od Dentysty i dwie od Makarova. Zmarł na miejscu, tak jak nieszczęśliwy, podziurawiony szatyn. Dziadzio trząśł się za prowizoryczną osłoną, modląc się o przeżycie. Kule dosłownie świstały policjantom nad głowami.

W pewnym momencie Łukasz i Edyta, po włożeniu do swoich broni drugich magazynków, co nie wróżyło dobrze, bo więcej nie mieli, wychylili się zza stalowego stołu i strzelali nad balustradą. Łukasz dostrzegł jak jeden z bandytów, nie wiedział który, a był to Dentysta, celuje, aby strzelić w głowę Edyty. Podkomisarz zepchnął ją na ziemię, jednocześnie oddając jeden strzał z siedemnastonabojowego magazynku, w którym po tym zostało jedenaście kul. Strzał rozkwasił brzuch Dentysty. Nie, pomyliłeś się. Strzał trafił w serce.

^[1] CZ 75 – pistolet CZ 75.

[2] S&W – pistolet marki Smith & Wesson.

[3] 17 Gen4 – pistolet glock 17 Gen4.

[4] P99 – pistolet walther P99.

Przed śmiercią nie miał wielkich myśli na temat swojego burzliwego życia ani rozważań na temat tego, czego żałuje. Wydawało mu się irracjonalne, ale nie pomyślał też o licznych kobietach, o wojnach, tajnych zadaniach, byciu krwiożerczym potworem na zlecenie. Po prostu bezpośrednio przed wykitowaniem przypomniał mu się pewien test. Bardzo ważny, wręcz kluczowy. Leżał na trawie za terenowym autem, koło niego tkwił karabin, który wypadł mu z rąk, i właśnie wtedy nadeszła ta retrospekcja.

Tkwił nagi jak go Bóg stworzył, ustawiony w pozycji poziomej, brzuchem do podłogi, w sterylnym, zamkniętym pomieszczeniu. Za szkłem na górze jak w serialach medycznych, patrzyli na niego ci, których aspirował w przyszłości przewyższyć pod względem dokonań, jakiegokolwiek by one były. Na plecach miał specyficznego węża, który wyczuwając minimalny stres u człowieka, na którym go położono, wbijał zęby w tę osobę i uwalniał jad, który zabijał po pięciu minutach.

Nie miał żadnych problemów, na tyle wyłączył układ nerwowy, że wąż usnął, mało tego, zapadł w rodzaj snu zimowego, który temu gatunkowi gadów zdarza się tylko w ciemnych, wilgotnych i spokojnych jaskiniach. Dwa węże też nie zrobiły na nim wrażenia. Ani skorpion, którego położono na jego ciele tak sobie, bo widzimisię miał facet w oliwkowej koszuli i bawełnianej marynarce.

Wszystkie zwierzęta zapadły w sen, nie wyczuwając ani cienia nerwów u niego.

A teraz umierał od strzału w serce, bo nie zdobyli pieprzonych kamizelek kuloodpornych. On, Dentysta, Wątki, szczupły typ z upiorną twarzą, niepozorny facet. Jedna wielka sprzeczność. Pan Nikt. Nikt to właśnie najlepsze określenie dla niego. Tak naprawdę zawsze był nikim.

Umarł.

Gdyby to była bajka, wszystko skończyłoby się dobrze. No właśnie...

Jeden najbliższy patrolujący radiowóz był już w drodze, jeszcze chwila i ruszą czarni. To i tak było za późno. Maradona wreszcie (a przecież nie minęło wiele minut, taka skala) oddał kilka strzałów, udało mu się trafić Cześka w kolano. Łukasz z pozycji leżącej sprytnie zranił dłoń Razora. Kula pokieraszowała kość łódeczkowatą nadgarstka i wyleciała na wylot ręki tego niezbyt mądrego ochroniarza niezłego klubu. Łysy oficer z podkrążonymi oczyma spróbował ponownie wszczać ogień ze swojej strony, lecz i tym razem trafiono go, co za pech, w drugą kończynę, w której ścisnął walthera, dokonał tego inny ze ściętymi włosami, Łysy-Cymbał.

Po stronie najeźdźców na ziemi martwy leżał Dentysta, co ich poważnie osłabiło. Razor i Nicholson zaniechali strzelania, ten pierwszy wył z bólu kończyny, drugi nieprzyjemnie krwawił z ucha. Natomiast defensorzy mieli dwóch zabitych i jednego postrzelonego, ale podwójnie. W takiej sytuacji wychodził remis, ze wskazaniem na przestępców.

Oficerowie usłyszeli policyjną syrenę, blisko. Jakby z oddali dochodził też dźwięk większej liczby jednostek wsparcia, połączony z gwizdkami karetki. Kiedy Łukasz wstawał z pozycji czołgania do osłony, nawiasem mówiąc, celująco spełniającej rolę ochronną ze względu na swoje właściwości, Edyta wychyliła się w prawo, próbując kogoś ustrzelić. Wypatrzyła Makarova, bo wkładał nową porcję amunicji do smith&wessona, ale wtedy...

Wtedy runął świat Łukasza. Po raz drugi w życiu.

Mehmet rzucił w jej stronę serię z kałasznikowa, z której dosięgły ją dwie kule. Łukasz zauważył, kto do niej strzelał. Gangster przestrzelił jej lewą tętnicę szyjną wspólną i gardło. Upadła. Bezradny Łukasz przysunął ją za osłonę. Krew tryskała z jej arterii niczym woda z fontanny. Nie zdążyli się pożegnać, nie zdążyli nic powiedzieć. Tylko nadaremnie zatkał ręką jej

szyję, ale nie dało się zatamować dwóch dużych ran. Błyskawicznie się wykrwawiła.

Przez ostatnie sekundy przed śmiercią żałowała, że nie zeszli się wcześniej. Chociaż dzień wcześniej.

To, co dobre, jak zwykle, umarło nagle i szybko.

Łukasz nawet nie próbował myśleć. Kiedy odeszła, wstał z ukrycia, wyszedł na trawę i idąc w stronę jeziora, strzelał. Zdążył rozwalić Makarova, kula przebiła kość czaszki i utkwiała w mózgu zwyrodniałego gwałciciela i mordercy. Sam przez ten krótki czas oberwał pięć sztuk amunicji: w lewą stopę, udo i biodro, a potem dwie w brzuch. Wszystkie strzały od Mehmeta, któremu zaciął się karabin, więc wyrwał dziewiątkę jęczącemu Nicholsonowi i załatwił Łukasza. Podkomisarz padł tuż przed zbiornikiem wodnym.

Nadjechał radiowóz, lecz policjanci, którzy w nim przyjechali, nie zdążyli nic zdziałać. Gangsterzy pobiegli wcale nie tak daleko, gdzie ukryli dwa sprawne samochody. Odjechali w pięciu: Mehmet, Czesiek, Łysy-Cymbał, Nicholson i Razor, dzieląc się na trzech i dwóch.

Dziadzio nadal się modlił. Maradona ścisnął ranę łysego oficera, drugą przepasał mu kawałkiem ubrania. Pozostali dziękowali Bogu, że nie podzielili losu zbiega z ogromnym nosem i szatyna z lekką nadwagą.

Niebawem zjawił się zespół AT i karetka. Potem druga.

Edyta leżała w okrutnej kałuży krwi, bez życia. Życia, które od tego wieczoru miało zacząć się na nowo, cudownie, wspaniale, prawdziwie, z miłością, sensem, marzeniami, drugą osobą przy boku.

Łukasza zabrał ambulans w pierwszej kolejności ze względu na obrażenia.

Liczył, że skona. Chciał umrzeć.

Nie umarł.

Niebezpiecznie się wykrwawił, a niełatwo zdobyć najmniej powszechną grupę krwi w Polsce. Na stole operacyjnym chirurdzy wyciągnęli z jego ciała pięć kul kaliber dziewięć milimetrów. Ze stopy – musieli rekonstruować pewne ścięgna, wsadzili też mu jakieś żelastwo do uszkodzonej kości. Wstrzeloną w mięsień czworogłowy uda – ale udało ją się wyciągnąć, nim tkanka zaczynałaby drastycznie obumierać. Pestka na biodro – utkwiała jak najbliżej bocznego krańca, przez co udało ją się wydobyć bez znaczących komplikacji. Największym wyzwaniem były dwie kule w brzuchu, którymi specjaliści zajęli się w pierwszej kolejności, wiadomo, facetowi można nawet amputować nogi, ale byleby żył, bo to zawsze priorytet w takich operacjach. Jedna oparła się o ścianę wątroby, a druga, która podczas postrzelenia była ostatnia – piąta, wbiła się niegłęboko na wysokości śledziony.

Spędził dwadzieścia pięć dni w szpitalu. Jedenaście z nich w śpiączce, w stanie krytycznym. Kiedy się wybudził, bardzo chciał być gdzie indziej. Niestety, żył. Gorzko zapłakał.

Wypisał się na własne życzenie, co spotkało się z ogromnym sprzeciwem lekarzy, lecz prawnie w tym stanie mógł opuścić szpital. Najpierw jednak kilka dni przed zakończeniem hospitalizacji odwiedził go Maradona.

Wszedł niepewnie, Łukasz grzecznie wyprosił Dagmarę z pojedynczej, bardzo zadbanej i ładnej sali. Maciek minął się z nią w progu, dziewczyna wyglądała już naprawdę w porządku, nawet pod względem psychicznym wszystko szło w dobrym kierunku. Łukasz czuł to, lecz w ogóle nie rozmawiał z przyjaciółką. Nie rozmawiał z nikim.

– Jak się czujesz? – niepewnie zapytał Maciek, siadając tam, gdzie miejsce zwolniła mu Dagmara, czyli na stołku obok łóżka.

Co miał odpowiedzieć? Że napierdala go brzuch, bierze mocne leki przeciwbólowe, ale to gówno daje? Że morfina, której Bogiem a prawdą, w ogóle nie powinien brać jako ktoś rzucający narkotyki, nie pomaga mu też na stopę, którą jako jedyną część lewej nogi normalnie czuje? Że reszta kończyny, szczególnie udo, wydaje mu się martwe? A może miał powiedzieć, że jedyne, czego pragnie, to palnąć sobie w łeb po powrocie do domu? Z tym, że nie do końca, bo musi jeszcze coś sfinalizować?

– Pomyślałem, że powinienś to wiedzieć – zaczął po chwili Maradona.
– Dwa dni po tym... Pleśniak strzelił samobója. Jego żona wracała z zakupów i znalazła go z rozwaloną głową. Zostawił na biurku masę kwitów. To był Wilczur, Łukasz...

Jakbym tego kurwa nie wiedział.

– Wszystko dokumentował. Papiery, zapisy, nagrania. Prorocy nie nadążali z nakazami, a sądy z wystawieniami sanek. Mają już Cześka, Razora i tego jednego... nie pamiętam pseudonimu, ale on brał udział w egzekucji Jacka, zamachu na Boksera, bandy i tak dalej. Nie możemy namierzyć Mehmeta... A, niejaki Nicholson, który też do nas strzelał, wypłynął w Tijuanie.

Chwila ciszy. Komar, jakiś ostatni w kraju niedobitek, latał i bzyczał po pokoju.

– Zabiłeś Makarova i Dentystę. Nic nie wiemy o tym drugim. Żadnych dokumentów i tak dalej. Jego mordą nie widnieje w jakimkolwiek spisie w tym kraju. Doszliśmy do jego mieszkania, ale było czyściutkie. Gość nie miał tożsamości. Jakaś efemeryda, zjawił się w mieście i prędko przeminął, nie zostawiając po sobie ani pół śladu. A najlepsze jest to, że z kostnicy znikły jego zwłoki...

Kolejna przerwa w monologu Maradony.

– W tych kwitach Pleśniaka jasno na białym widnieje, że w sprawę zaangażowana była Abwera i SKW^[1]. Jedna wielka pierdolona rodzina. Wyobraź sobie, jaki tam musi być kocioł. Jeden boi się drugiemu rękę podać. U nas również było grubo... taka jest prawda, że jakby nie ofiary... – Maciek zmieszał się – to by nas wszystkich wyjebali na zbity pysk, a możliwe, że ktoś poszedłby i pierdzieć w pasiaki^[2].

Dziesięć kolejnych minut. Bez słowa. Tylko bzyczenie ostatniego komara w Polsce.

– Jedno nie daje mi spokoju. Dlaczego zaatakował nas? – spytał Maradona, jakby sam siebie.

– Pamiętasz, dzień przed tym znaleźliśmy ciało mojego gadacza^[3] – odezwał się nareszcie Łukasz.

– No.

– Wtedy zorientowałem się, że to może być Pleśniak i jego koleś z Cebosia. Już wcześniej atakowało mnie takie podejrzenie, ale dopiero wtedy wszystko mi się poskładało. Cała układanka. Pojechałem do nich i dałem mu czas do poniedziałku.

– Nic z tego nie rozumiem. W takim razie po co to zlecił?

– Taka desperacka logika. Po pierwsze po takiej akcji wszystko by się rozeszło, on miałby czas, aby zatuszować dowody albo w ostateczności prysnąć. Po wtóre... – Łukasz nie mógł tego powiedzieć. – Gdyby zabił mnie... Dałem mu ten czas, bo wiedziałem, że donikąd nie ucieknie, przecież w razie zwiania musiałyby wszystko zniszczyć, ustawić swoich żołnierzy, współników i tak dalej. Poza tym na razie nie miałem żadnych mocnych dowodów. Byłem pewien, że w poniedziałek usłyszymy o jego poddaniu się odpowiednim organom...

Maradona powstrzymywał się przed płaczem, ale pęknął.

– Chcesz mi powiedzieć, że Edyta nie żyje przez ciebie...? – zapytał Łukasza.

– Nie. Szukanie winy jest bez sensu. Głównie dlatego, że nasze życie jest popychane przez jeden impuls do następnego. Idąc tym tropem, dojdiesz, że winny jest na przykład Wiśniewski, który pierwszy poznał część prawdy, albo po prostu osoby, którym kompletnie popierdoliły się funkcje i stworzyli sobie grupę przestępczą.

Skąd ta nadzieja u ciebie, Łukaszu? Dlatego że coś zobaczyłeś? Nie pierwszy raz zatrzymało ci się serce, ale tu chodziło o coś głębszego, prawdziwego, doznanego później, w stanie, z którego mogłeś już się nie wybudzić. Nierealnego, ale to nie było złudzenie. Jedenaście dni śpiączki było dla ciebie czymś najcudowniejszym w życiu, nieodbieranym sensualnie, tylko duchowo. Dlaczego się skończyło?! Weź się w garść, człowieku!

– Nie becz, to nic nie da, jest bezcelowe – zwrócił się do Maradony. – Do Edyty strzelał Mehmet, więc złapiemy skurwysyna. Rozumiesz? To się teraz liczy.

Ponad pół godziny zajęło Łukaszowi przekonywanie Maćka, aby się opanował i przestał mazgać. Żeby, mówiąc wprost, zaniechał pieprzenia się sam ze swoją osobą.

– Powiedz mi chociaż jedną dobrą wiadomość. Dorwaliście Przystojniaka?

Maradona nieswobodnie, zły na siebie, pokręcił głową na nie.

– Opowiadaj.

Gdy Łukasz leżał w szpitalu, a konkretniej ostatniego dnia jego śpiączki, dokonano morderstwa, które przypisano Przystojniakowi. Ofiarą była dwudziestośmioletnia prostytutka, Sara Kawka. Zabójca rozwalił jej głowę, uderzając nią o podłogę, dokonał tego oczywiście w jej mieszkaniu. Pod paznokciami kobiety znaleziono ślady obcego naskórka, a na dywanie dwa włosy nienależące do Sary. Dziwnym trafem z laboratorium znikły wcześniej zabezpieczone ślady DNA sprawcy od Szymańskiej i odcisków palców z tyłka Lidii Brożek... Nikt nie wie, kiedy to się wydarzyło, ale zachodzi podejrzenie, że stało się to po zabójstwie piątej ofiary. Ponadto, domniemany Rzeźnik pozwolił się na klatce schodowej zauważyć sąsiadowi nieszczęsnej dziewczyny – zważywszy na wcześniejsze niemiłe doświadczenie z nagłą śmiercią Marii Prus, otrzymał on ochronę i – co najważniejsze – sporządził portret pamięciowy. Maciek zabrał tę wizualizację twarzy ze sobą do szpitala, w pewnym momencie wyciągnął równo złożoną kartkę z kieszeni i dał ją Łukaszowi.

Czy twarz tego mężczyzny mogła być uważana za atrakcyjną? Pewnie gdyby spytać z dziesięć kobiet, z pięć z nich, może sześć, powiedziałyby, że tak.

– Nasz Rzeźnik nigdy nie pokazałby się świadkowi – zauważył Łukasz.

– Zaliczył wtopę, sam mówiłeś, że kiedyś wpadnie – błyskawicznie odparł Maciek.

– Ale akurat nie w taki sposób.

– A w jaki? Sprawdzamy wszystkich podobnych z baz, bo w bębnie nie widnieje. Na razie nic, to żmudna robota, wymagająca ufności wobec różnych policjantów w całym kraju. Rozesłaliśmy ten portret, dokąd tylko się dało – lotniska, Interpol i tym podobne.

– Przecież to było prymitywne zabójstwo – kontynuował Łukasz. – Nic wymyślnego, zero tego zapadającego w pamięć zimnego wyrachowania i równie charakterystycznej precyzji. Na dodatek wcześniej nie zostawił ani

pół włosa w mieszkaniu ofiar.

– O co ci chodzi? – zapytał wprost Maradona.

– Dziwka? Tylko raz przy Oldze Bonin wycelował tak nisko, żeby się sprawdzić.

– Nie łapię.

– Moim zdaniem to jest robota naśladowcy, nieudolnego, swoją drogą.
– Półtorej minuty przerwy w rozmowie. – Jak poza tym – Łukasz wstrząsnął portretem trzymanym w rękę – zapamiętał go sąsiad? Ile miał lat?

– Twierdził, że mógł mieć trzydzieści parę, czterdzieści lat.

– Jaką miał posturę, niósł ze sobą walizkę albo torbę, plecak?

Maradona zaprzeczył mimiką twarzy, na ostatnią część pytania Łukasza.

– Był przeciętnego wzrostu i miał nadwagę, kilka kilo na oko.

– Według ciebie taki człowiek może profesjonalnie skrócić kark?

– Chyba jesteś paranoikiem, Nietzsche. Moja żona przypadkiem widziała ten portret, więc ją zagadałem. Powiedziała, cytuję: *że jest ładny, ma coś w sobie i że w takim przypadku parę kilogramów więcej w niczym nie przeszkadza*. Także mógł je wrywać, jeśli był dobry w gadce. Poza tym męczyzna urodę nosi w kieszeni, a sąsiad przyznał, że typ był ubrany na oko za duże pieniądze. Natomiast łeb przetrącić może każdy, to kwestia wykszolenia. Tyle.

– Nie dałby się zobaczyć w taki idiotyczny sposób. Myślę, że jak dobrze pogrzebiecie w życiu tej Sary Kawki, to znajdziecie jej mordercę.

– Jej?! Przecież cały czas szukamy Przystojniaka. Zapomniałeś?

– Być może. Lecz mnie intuicja podpowiada, że nie załatwił jej nasz seryjniak. Towarzyszy temu dziwne wrażenie, że ta twarz ma w sobie coś tępego i prostackiego – wyraził niekoniecznie pewną opinię. – Że nie należy do mordercy pięciu kobiet.

– Widzisz to, co sobie wmawiasz, od początku coś ci nie pasuje... – skomentował Maciek.

– Bo myślę. Skup się i spójrz na to zabójstwo raz jeszcze. Przeanalizuj wiadome. – Łukasz odłożył portret pamięciowy na półeczkę obok łóżka.

– Sara Kawka była naga, jak ją znaleźliście? – po chwili zaczął ponownie.

– Nie. Miała na sobie biustonosz, kieckę, rajtki...

– Jaki czas leżała martwa?

– Dwa, trzy dni.

– No właśnie. Widzisz? Każda z dotychczasowych pięciu ofiar została znaleziona naga, ponadto przez ten czas świadek już by nie żył.

– Nie przekonam cię, więc może zmienimy temat...

Zmienili. Maradona powiedział, że mają nowego kolegę, ale ktoś jeszcze dojdzie za Edytę, z pewnością. Kolegą, który przejął etat po Koźle, był niejaki Marek, według Maradony zwykły, w porządku facet, mający najwyżej pięć lat doświadczenia w terenie jako operacyjny. Później zadeklarował, że jak złapią Przystojniaka, odchodzi z roboty. Napomknął, że rozkręci z kuzynem sklep komputerowy.

Łukasz wiedział, że nie może odejść z fabryki. Tylko to dążenie do znajdowania zabójców trzymało go jeszcze przy życiu. Tylko czy teraz chciał trwać w tej egzystencji?

Jedno w odpowiedzi na to pytanie było pewne – żyć musiał przynajmniej do czasu, aż dorwie tego jednego wyjątkowego zabójcę, mianowicie legendarnego Przystojniaka vel Krwawego Rzeźnika. Zwał jak zwał.

[1] SKW – Służba Kontrwywiadu Wojskowego.

[2] Pierdzieć w pasiaki – odbyć karę więzienia.

[3] Gadacz – informator.

Ze szpitala, w którym ostatnio często bywał, wyszedł wyposażony w laskę i receptę. Wytrwale była przy nim Dagmara. Miał wspierać się na prawą nogę, ale jak to kurwa robić, skoro boli lewa? Wrócili do mieszkania tramwajami i autobusem. Jeszcze tego samego dnia, a był to srogo chłodny i wietrzny piątek, postanowił, że musi coś załatwić. Dowiedział się, co się stało z Majkelem – znalazł psinę w jednym ze schronisk i przygarnął do siebie.

Kundelek był węższy, niż kiedy go ostatnio widział, miał zastygłe krople łez pod oczętami. Nie dostrzegłbyś w nim energii, dawnej beztroski i radości. Tęsknił za swoją panią, za dawnym rytmem, pieśczętą Edyty i po prostu za jej widokiem. Psy nie mają uczuć? Totalna bzdura. Łukasz nigdy w to nie wierzył, sądził, że niejedno zwierzę ma czystsza, prawdziwszą duszę niż człowiek. Podzielał ból razem z Majkelem. Obaj stracili najważniejszą osobę w ich aktualnym bycie.

Dagmara ochoczo zareagowała na widok kremowego pieska w domu. Rozradowana, nie odstępowała go na krok aż do wieczora. Wtedy Łukasz, mimo jej sprzeciwu, wyszedł z mieszkania.

Musiał to sprawdzić, nie dawało mu to spokoju. Zdobył herę i słoiczek tabletek na bazie barbituranu. Noga odmawiała mu posłuszeństwa, kiedy zatrzymał się na cichym uboczu miasta, gdzie przygotował i wstrzyknął sobie mocną porcję heroiny, dodał do tego kilka tabletek. To mogła być śmiertelna dawka, zważywszy na jego stan zdrowia i kolidowanie narkotyków z lekami, które na receptie wypisał mu doktor. Lecz musiał wiedzieć, czy odnajdzie tam to, czego pragnął.

Na zabicie siebie jesteś zbyt dużym tchórzem.

Pola dojrzałej kukurydzy, krwawa alpa^[1] ssąca krew od kobiety z platynową burką na twarzy, tańcząca spirala domaciczna, muzyka country rodem z Luizjany. Pluszowy lew bez ogona w stanie androginii, sieć

oplatająca serce, zapach gnijącego żołądka, najtrudniejsze pytanie świata, latające róże, poranione prącie. Ponowne narodziny, orgazm z kobietą postacią z kreskówki, śpiewające arię operową gardło, umierająca koszula, tonięcie w stosie paznokci ofiar obozu koncentracyjnego przy salwie komediowego śmiechu z puszk. Latanie nad skalistą górą, śmierć kliniczna, pozaustrojowa rozkosz z penetracji krwawej wagi, jazz kłócący się z bluesem, w tle rock'n'roll, karta pamięci schowana w czeluściach płonącej otchłani, trujący krem na szczycie błogiego edenu. Bycie penisem, piersiami, odbytem, ustami, mózgiem, ale tylko jego prawą półkulą, i sercem. Śmierć poprzez zatrzymanie akcji serca. Mała dziewczynka na średniowiecznym podgrodziu, koło chatki, umorusana błotem. Jej śmiech. Jej płacz. Jej cierpienie. Jej jadeitowe oczy.

Nad ranem zapukała do niego straż miejska. Zbudził się, był pognieciony, zziębnięty i obolały. Otworzył szybę nubiry, pokazał strażnikowi szmatę i odjechał. Bez słowa.

Definitywnie to było jego ostatnie ćpanie. Nie odnalazł tam tego, czego doświadczył w stanie śpiączki. Zatrzymania serca po postrzale nie pamiętał, to trwało za krótko. Ale ten głęboki, pourazowy, pooperacyjny sen, z którego mógł już się nie wybudzić, to było coś. Jakby wieczność, która jednak się skończyła. Niestety.

Spotkał tam wszystko, co kiedykolwiek kochał. Przyjaciela z sierocińca. Monikę. Oliwkę. Edytę. Nie bał się, nie czuł cierpienia, nie miał zmartwień. Tam była tylko miłość.

Wiedział, że jest już gotów, by się tam znaleźć. Już nie był w tej kwestii tchórzem. W tym wymiarze miał jednak jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Czas i okoliczności mogą sprawić, że dwie, trzy. Ale jedną najważniejszą. Bez tego ani rusz. Musiał złapać Przystojniaka.

Dagmara strasznie się o niego martwiła, kiedy zniknął. W sobotę też znikł, ale nie na całą noc.

Odwiedził grób Edyty. Nieduży, gdyż została poddana kremacji. Przed pochowaniem zrobiła jeszcze wiele dobrego dzięki zgodzie na pobranie z jej martwego ciała narządów wewnętrznych.

Poszedł do kościoła. Świątynia była pusta po wieczornej mszy świętej. Zaprzyjaźniony ksiądz powiedział mu kiedyś, po tym jak Łukasz odwrócił się od Boga, zostając apostatą:

– Jeszcze uklęknieisz.

Ukłęknął. Rozmawiał z Bogiem.

[\[1\]](#) Alpa – wampir z mitologii słowiańskiej.

Każda niedziela jest dobra, by ze sobą skończyć.

Tamara Okruch wybrała tę, tydzień z hakiem po tym, jak Łukasz wyszedł ze szpitala. Chyba że ktoś za nią wybrał ten dzień? Tak się złożyło, że rozstrzygnąć to miał podkomisarz Łukasz Kowalczyk, który właśnie wrócił do pracy.

Pod to ogromne osiedle z masą bloków zrobionych z tych przeklętych, tak bardzo przypominających komunizm, wielkich płyt, przyjechał w poniedziałek, wraz z Markiem, swoim nowym kolegą z pokoju. Marek był ze wszech miar zwyczajny, niczym się nie wyróżniał. Standardowa budowa ciała, krótkie blond włosy z solidnymi zakolami na wydatnym czole, jedna skórzana kurtka, którą nosił bez względu na porę. No, od biedy można powiedzieć, że miał nietypowy chód: przy każdym kroku nienaturalnie schylał lewą rękę.

– To samobój, więc wiele roboty nie będzie – powiedział Marek, kiedy wysiedli z peugeota, on od strony kierowcy. Wkoło było szaroburo, nieświeżo od dymu mieszkalnego, spalinowego i fabrycznego, a przecież dzień dopiero nieśpiesznie się zaczynał.

Łukasz nie skomentował tego, natomiast idąc do jednego z bloków, rzucił do Marka:

– Dowiedzieliście się, jakim cudem ktoś mógł zajebać z laboratorium poufne, zabezpieczone ślady i dane? – dotyczyło to oczywiście zniknięcia materiałów pozwalających na porównanie odcisków palców i DNA, jeśli znalazłoby się mordercę.

– Niestety... Uważasz, że to DNA nie byłoby zgodne z tym od zabójcy Sary Kawki?

– Przecież gdyby tak było, to zajebałby też te ślady, które mamy po Kawce.

– Niekoniecznie. Są naprawę dobrze zabezpieczone.

– Sądzę, że znalazłby sposób. Ty robiłeś w rejonowej, nie? Pamiętam cię z morderstwa Szymańskiej.

– Zgadza się. Cieszę się, że teraz mogę go dopaść.

– Postawię ci piwo, jeśli chociaż małym tropem naprowadzisz mnie na Rzeźnika.

Dotarli pod masywny budynek. Przed otwartymi na oścież drzwiami głównymi stał mundurowy w odblaskowej kamizelce; przekazał im numer mieszkania. Widok windy ulżył Łukaszowi – miał już dość podpierania się tą cholerną laską, więc wypieprzył ten sprzęt zaraz po powrocie do pracy, choć było to głupie – teraz wciąż nawalała go noga, nieco mniej, ale jednak ból to ból. Komfort jest dopiero wtedy, gdy ból ustaje całkowicie.

Pod drzwi mieszkania, w którym znaleziono zwłoki, podszedł powoli, mocno trzymając się za lewe udo. Kwadrat był zadbane, średnio nowoczesny, raczej zatrzymany pod względem wystroju kilka lat temu. W kuchni, pijąc herbatę z glinianego czajnika, siedziała młoda dziewczyna o azjańskich rysach twarzy. W salonie, pełnym kwiatów i z bogatą biblioteczką domową, leżało kobiece ciało. Za biurkiem obok fotela, z zakrzepłą raną postrzałową na głowie, z widocznym osmaleniem, czyli strzał oddano z bliskiej odległości. Śmiertelna kula przeszła na wylot. Kobieta po pięćdziesiątce, śliczne, jasne włosy, wyróżniająca się twarz, zadbane dłonie ze starannie wymalowanymi paznokciami, pasujące do urody i ubioru kolczyki, zgrabna figura. Technik zdejmował odciski jej palców. Z prawej dłoni kobiety wypadła szaro-brązowa broń, legendarny colt 1911, który teraz tkwił obok denatki. Na parapecie, pomiędzy dwiema doniczkami, spokojnie siedział czarny kot.

Łukasz założył rękawiczki i przyjrzał się ciału, Marek ostrożnie rozglądał się po mieszkaniu.

– Co powiesz? – podkomisarz zapytał technika, bladego jak śmierć faceta o czarnych oczach.

– Sprawdzimy GSR-y^[1], żeby mieć pewność, że to ta klamka – odparł matowym głosem technik.

Dzielnicowy, puciołowaty grubasek przed czterdziestką, zjawił się w salonie.

Łukasz wstał na równe nogi, zdejmując rękawiczki. I wtedy to dostrzegł. Ta twarz, tej kobiety, coś mu przypominała. Albo raczej kogoś.

– Jak się nazywa? – spytał dzielnicowego.

– Tamara Okruch, lat pięćdziesiąt cztery. Znalazła ją gosposia, Xi Miu, tylko jest problem, bo ona po polsku to słabo. Chyba Chinka.

Lampka zabłysła. Oficer zaczął gorączkowo gapić się na półkę z książkami. Wyjął jedną: *Ulewa*, autorka: Tamara Okruch-Cyprzyk. *W tej powieści każdy przeżyje swoją osobistą, metafizyczną wędrówkę* – było napisane pod imieniem i nazwiskiem pisarki, podpisane przez autorytet literatury polskiej. Na okładce widniała fotografia drzewa w podwójnej ekspozycji, z siekącym ulice miasta deszczem.

Łukasz przekazał książkę Markowi.

– Pisarka? – zapytał retorycznie kolega. – I mieszka w takim kwadracie?

Łukasz zerknął przenikliwie na dzielnicowego, pragnął więcej szczegółowych informacji.

– To była jej ostatnia powieść... Żona mi powiedziała – odparł policjant.

– Wydana dwadzieścia jeden lat temu – skwitował Marek.

Łukasz zbliżył się do Marka.

– Przekaż jej dane do fabryki, niech jak najwięcej się o niej dowiedzą. Interesuje nas przeszłość, rodzina, aktualna praca i tak dalej. Jak sobie coś przypomnisz – pędem zwrócił się do dzielnicowego – to dawaj nam to od razu. – Po czym znów skierował wzrok na Marka: – Jak ekipa skończy, przejrzyj cały dom, auto, jeśli znajdziesz klucze, to też piwnicę, garaż... A, i daj znać centrali, niech przejrzą monitoring, tutaj są dobre kamery, bo pół roku temu grasował w tych okolicach pedofil-morderca. Jak umiesz gadać z kotami, to przepytaj też tego. Do roboty.

Sam za to poszedł porozmawiać z Xi Miu. Dziewczyna miała niewiele ponad dwadzieścia lat, standardowo była roztrzęsiona, jak to ktoś, kto znajduje zwłoki. Popijała herbatę. Łukasz usiadł naprzeciw niej i powiedział jej w języku mandaryńskim, że spróbuje się z nią dogadać, żeby się uspokoiła i wszystko opowiedziała.

– Miałam dzisiaj sprzątać i prać, dlatego przyszedłam z samego rana. Byliśmy umówieni z panią, że jak nie otwiera, to znaczy, że jej nie ma. Mam klucze, więc weszłam. – Podkomisarz zrozumiał praktycznie całe zdanie, znikomą niepewną część dopowiedział z kontekstu.

– Dotknęłaś jej? Przystawiałaś rzeczy w pokoju? – Tak, początki rozmowy były całkiem obiecujące.

Oczywiście dzielnicowy nic nie rozumiał z tej mowy, więc czuł się zdezorientowany i niepotrzebny, lecz minę miał taką, jakby rznął głupa na całego.

– Nie – prędko odpowiedziała Xi.

– Jak długo pracujesz w tym mieszkaniu?

– Siedem miesięcy. Nie deportujecie mnie?

Łukasz zerknął na stojącego, okolicznego policjanta.

– Nie. Wystarczy, że podasz mi swój adres, nikomu go nie udostępnię, ewentualnie z wyjątkiem współpracownika, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale nie obawiaj się. – Przy tym zdaniu miał spory problem ze znalezieniem dwóch słów i złączeniem wszystkiego w logiczną całość.

– Dziękuję.

– Z Tamarą rozmawiałaś po chińsku?

– Tak.

– Mieszkała sama, tak?

– Tak.

– Widziałaś tutaj kiedyś tę broń? – podparł się gestykulacją, bo Xi nie do końca rozumiała, widocznie coś pokręcił.

– Nie – Chinka zdecydowanie odparła.

– Opowiedz mi, co ona robiła.

– Ma pan na myśli zawód?

– Tak. Chodzi mi też o... codzienność. Rozumiesz?

Cokolwiek by powiedzieć, komunikacja była jednak trochę utrudniona.

– Pracowała w przedszkolu dla głuchoniemych dzieci. Była bardzo samotna...

– Kiedy byłaś tutaj ostatni raz?

– W piątek. – Z oczka Xi uroniła się łza. – Pani mówiła, że w końcu będzie żyła spokojnie.

– To znaczy? – Pogubił się przy, wydawałoby się, prostym zwrocie, koślawo kombinując, mając chwilową zaćmę, a wystarczyło rzucić: *Yě jiùshì shuō*?

– Przedwczoraj miała mieć ważne spotkanie, była tym bardzo rozradowana.

– Z kim?

– Z kobietą, nic więcej nie wiem – Xi mówiła za szybko.

– Nie rozumiem. Z mężczyzną?

– Nie.

– Z kobietą? – Chciał mieć stuprocentową pewność co do tej kwestii. Zamiast *kobieta* powiedział jednak *dziewczyna*. Psia krew, wszystko na N.

– Tak. Ostatnimi czasy, zresztą cały czas jak panią znałam, zajmowała się pracą, ale tak jakby prowadziła jakieś śledztwo.

– Czym się zajmowała... oprócz pracy?

– Śledztwem.

– Nie rozumiem.

– Tak jakby chciała dowieść, poznać jakąś prawdę.

– Prawdę o czym?

– Prosię pana – powiedziała po polsku i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Ja jestem gosposia, nie rozina albo szyjasiel...

W domu nie znaleźli żadnych fotografii, osobistych notesów czy czegoś w tym stylu. Nie odkryli też pochwy na colta. Dziwna była pusta półka w biurku, zamykana na klucz – Xi powiedziała, że Tamara kategorycznie zabroniła jej tam zaglądać, więc bardzo prawdopodobne, że w tym miejscu pisarka trzymała spluwę. Samochód ofiary, granatowy s-max, nie krył żadnych wskazówek. Za to błyskawicznie poznali miejsce pracy Tamary i właśnie tam skierowali pierwsze kroki.

– Znałeś ją? – zapytał w drodze do przedszkola Marek.

– Osobiście nie.

– Więc czytałeś ją? – Gliniarz omal nie potracił dziecka, które zniecka wyskoczyło na jezdnię. – Kurwa mać! No... czyli... czytałeś jej książki?

– Wszystkie. To było coś więcej niż zwykle powieści o wszystkim i o niczym. Każda była jakby częścią głębokiej, wręcz indywidualnej dla danego czytelnika, opowieści o ludzkiej naturze, daremności i wykładem na temat ciemności. Dwadzieścia lat temu po prostu zakończyła twórczość.

– Dlaczego? – spytał Marek, bardzo czujny jako kierowca od incydentu z dzieckiem.

– Nie wiem. Miałem wtedy inne sprawy na głowie, a ściślej nawet nie znałem jeszcze jej twórczości. Pierwszą jej książkę odkryłem na oficerce... Zresztą, nieważne.

Skoro nieważne, to nieważne. Marek miał jedną zaletę: nie drażył, jeśli ktoś nie chciał kontynuować, oczywiście nie dotyczyło to działań operacyjnych.

Budynek tego specyficznego przedszkola był stworzony lata temu, ale odrestaurowany, sprawiał wrażenie porządnego. Wnętrze było kameralne, przyjemnie nowoczesne i z miłym klimatem dla tych głuchoniemych, niesłyszących i niedosłyszących biedaczków, które uczęszczały tam na zajęcia. Komisarzy przyjęła dyrektorka, sucha jak tygodniowa obrana mandarynka, wysoka, krótko ścięta, z wyrazistym nosem i oczyma jak niezidentyfikowane obiekty latające. Przejęła się informacją o śmierci Tamary, ale rzecz jasna nie nazbyt wielce – nie łączyły ich głębsze relacje. Zgoła odmienna okazała się reakcja Niny Gorzelak, członka pedagogicznego gremium owej placówki, która całkiem nieźle znała się z Tamarą. To ona załatwiła pisarce tę pracę, nieco się zaprzyjaźniły. Nina powiedziała, że Tamara świetnie radziła sobie z językiem migowym, dzieci bardzo ją lubiły, a jej zajęcia – przeważnie o nasileniu humanistycznym, ze szczególnym naciskiem na język polski, ale też ruchowym – były zawsze zorganizowane, korzystne dla podopiecznych i najzwyczajniej w świecie dobre.

Tamara zaczęła tam pracować dwa lata temu – z Niną poznały się przed laty, przy jej drugiej książce, poprzez wydawnictwo, w którym Nina stawiała pierwsze zawodowe kroki. Później nie utrzymywały ze sobą kontaktu, aż do czasu przypadkowego spotkania. Przez dwadzieścia cztery miesiące odnowionej i pogłębianej znajomości Nina zdołała trochę poznać Tamarę. Opowiadała o niej z podziwem, tłumiąc łzy w ślicznych, zielonych oczach. Łukasz i Marek dowiedzieli się, że Tamara straciła córkę, że była to paskudna historia, ale jaka, tego Nina nie wiedziała. To przez stratę dziecka Tamara przestała tworzyć i rozstała się z mężem, powiedziała kiedyś koleżance z pracy. O tym, dlaczego przeniosła się do zwykłego bloku ani jacy byli w jej życiu mężczyźni lub mężczyzna, jeśli był tylko mąż, też nie wiele powiedziała. Nina przypomniała sobie, że kiedy poznały się w młodości, Tamara była już w małżeństwie z pewnym mężczyzną, który później został słynnym biznesmenem, chyba w branży elektronicznej. Nie znała go.

Oficerzy podziękowali za miłą współpracę i ruszyli dalej. Łukasz nakazał Markowi, aby podwiózł go pod blok Tamary Okruch, a sam jechał do komendy, by pomóc sprawdzać miejskie kamery, bilingi z telefonów oraz luki z życiorysu pisarki. Marek jednak najpierw udał się do dozorczy, który mieszkał w innym bloku na osiedlu; sprawował on opiekę nad kilkoma budynkami w okolicy.

Łukasz znów dotarł do mieszkania Tamary Okruch, ponownie z bólem przeszywającym jak prąd, od stopy po biodro. Koniecznie prace techników zostały już zakończone, zwłoki zabrano. Podkomisarz otworzył drzwi kluczami przejętymi od dzielnicowego.

Wolno, w spokoju i zadumie przyglądał się mieszkaniu. Na długo zatrzymał się przy biblioteczce, wraz z od teraz niczym kotem, czekającym, aż ktoś go zabierze, albo ktoś z rodziny, albo ze schroniska. Przeglądał konkretne pozycje – powieści właścicielki mieszkania. Zrobił sentymentalną podróż po swoim poharatanym życiu.

A jeśli nigdy nie złapiemy Przystojniaka, bo umówmy się, to on rozdaje karty, to będę skazany na grzebanie w cudzych historiach do końca żywota? Ta jest inna, dobrze o tym wiesz. Zrób to. Dowiedz się, dlaczego wybitna pisarka czekała dwadzieścia lat po śmierci córki, aby strzelić sobie w łeb. Wykonaj to w hołdzie dla twórczości tej niebanalnej kobiety.

Oprócz niewiele ponad jednej uncji kryształków metamfetaminy, ukrytej w listewce w kuchni, nie znalazł nic. Wciąż nie mógł się nadziwić, że Tamara nie trzymała w domu ani jednej fotografii córki, nie mówiąc już o albumie ciekawego życia. Dlaczego mieszkała w tym cholernym klocku? Jakąż prawdę chciała poznać? Czuł, że dotyczy to jakiejś sprawy sprzed lat. Jakiej i co ona w sobie kryła? Z jaką kobietą spotkała się w sobotę?

Tak sobie przebywał w tym mieszkaniu, kiedy zadzwonił Marek. Mieli już dużo ciekawego materiału. Łukasz zasiedział się w czterech ścianach pisarki, lecz nie chciał, by kolega po niego przyjeżdżał. Do fabryki wrócił autobusem. Polubił środki miejskiej komunikacji. Obserwował w nich ludzi, miał poczucie, że za każdym razem robi to już ostatni raz. Ostatni raz zagląda do ich prywatnych spraw, nawet się do nich nie odzywając.

Hipsterka czytająca o tym, jak osiągnąć sukces, uwierzyć w siebie czy inne dyrdymały stworzone dla ludzi nieumiejących wyciągać wniosków i potrzebujących przewodników życiowych. Pod czapką skrywany nieestetyczny trądzik, wstydzi się własnego ciała, stąd uciskające majty skrywające rozlazły brzuch i dużą dupę. Drapiąc się po policzku, ujawniła tatuaż nawołujący do wolnej miłości, a gdy wstawiała, aby wysiąść na swoim przystanku, opadło jej trochę sierści z końcówki nogawek – dwa albo nawet trzy malutkie szczeniaczki trzeba jakoś wykarmić, stąd robota w supermarkecie – kolorowy fartuch kasjerki prześwitał przez jej cienką, białą torbę.

Starszy pan narzekający mimiką na obecne społeczeństwo, a szczególnie na młodych ludzi. Kiedyś w ich wieku to się rozmawiało o sztuce czy filozofii, aby uciec od niewesołej codzienności. Urządzało się konkursy w czytaniu książek – kto przez rok szkolny przeczytał więcej (a weryfikowało się to poprzez przygotowywane przez bibliotekarkę/bibliotekarza specjalne testy), dostawał w nagrodę jakiś literacki twór od każdego biorącego udział w rywalizacji. Nie było co jemu się dziwić – ci nieszanujący niczego gówniarze puszczali na głos uliczny rap, który nawet w najmniejszym procencie nie dorównywał pięknej muzyce klasycznej, słuchanej przez niego w młodzieńczych latach, jak i zresztą obecnie. Siedzieli niedaleko niego, żując te gumy i klnąc co chwila, wulgaryzm mając za przecinek. A przecież pan chciał mieć miły nastrój przed świętowaniem – Łukasz strzelał, że rocznica ślubu, bo gość miał obrączkę, równo obcięte i świeżo zaczesane ręką fryzjera włosy, elegancką kurtkę, a pod nią krawat. W rękę trzymał paczkę z dwoma skromnymi, ale właśnie dlatego cudownymi, ciastkami. Kiedy Łukasz ustawiał do pionu łąbków, wyczuł nie tylko smród niewytartego do końca gówna z dupy jednego z nich, ale i stonowany zapach perfum od starszego pana. Niehigieniczny szczył dostał w ucho, po czym pozostali natychmiast grzecznie stosowali się do instrukcji Łukasza. Staruszek gestem podziękował podkomisarzowi.

Kobieta po czterdziestce, ubrana oficjalnie i w cenie. Spieprzył się jej samochód, bo przez nowoczesnego smartfona załatwiała mechanika. Neurotyczka, spięta bała się każdego mocniejszego zakrętu, i wyjątkowo pedantyczna, szczególnie dbająca o czystość – starała się nie dotykać siedzenia ani nie opierać o niego, telefon za każdym razem po zablokowaniu czyściła szmateczką z mikrowłókna. Świeżo rozwiedziona, bo ślad po obrączce jeszcze nie zniknął. Przeziębiona, zażywała tabletki na gardło, a ścierając ohydne gluta, sama aż wzdrygnęła się na jego widok.

Dwóch mężczyzn, jeden niewidomy. Jego przewodnik z pocerowanymi spodniami z lumpeksu. Nie przelewa się. Wracali ze stadniny, ślepy zalaatywał charakterystycznym końskim zapachem, miał też zadrapanie na dłoni od trzymania wodzy, a drugi trzymał sportową torbę z zerwanym uchem. Katolicy, zegnali się przed kościołem, niewidomy po tym, jak poinformował go... No właśnie: kto? Może to bracia, bo podobni? Gdyby ten zdrowy nie pił, może żyłoby się im lepiej – strasznie trzęsły się mu ręce,

miał czerwony nos i uwydatnione naczynka krwionośne na twarzy.

Jeszcze studenciak, niby normalny, ale zaraz, zaraz, na tym świecie nie ma normalnych. Przystojny, dobrze zbudowany, czytający książkę o prawie administracyjnym, w międzyczasie śmiejący się do miniaturki jakiejś białogłowej niewiasty i pewny siebie. Ups... no niestety, coś nie grało. Koleś nie zmył do końca śladów po czarnym lakierze na paznokciach, a gdy się zapominał, łączył nogi w kolanach jak w zwyczaju mają kobiety. Czyżby ten porządny, zwyczajny student włączał czasami drugą jaźń i bawił się w *jestem dziewczynką*?

Chyba już wystarczy.

Łukasz dotarł do komendy i od razu skierował się do swojego pokoju, gdzie czekali: Marek (pił nieśpiesznie kawę na fotelu), Jaśniak (siedział na miejscu Łukasza) i Maradona (stał pomiędzy kolegami). Rzecz oczywista, brakowało tam Edyty. Niepowtarzalnej Edyty, i to było po stracie bardzo trudne dla Łukasza, aby przebywać w tym pomieszczeniu.

– Potężne bingo, jeśli chodzi o kamery – zaraportował Marek, zwracając się do Łukasza, który stanął obok Maradony. – Rzeczywiście, osiedle jest pięknie monitorowane, przed jej blokiem jest aparat rejestrujący wszystkich wchodzących i wychodzących, ale mało tego... – Marek nadaremnie budował napięcie jak w tanim horrorze. – W jej bloku są również kamery na klatkach schodowych. Dostępne tylko dla mieszkańców i dozorczy celem uniknięcia kradzieży i tak dalej. Błyskiem załatwiłem stosowny kwit od Tomczyka i już wszystko wiem.

– Dawaj – zachęcił kolegę Łukasz.

– Na razie zdążyłem sprawdzić ostatni tydzień. Regularnie u denatki zjawiała się ta... Xi coś tam. To tyle. Okruch wychodziła rano, wracała po południu, dwa razy sporo później. W sobotę wyszła dwa razy, a dzisiaj mamy tylko wizytę Chinki, czyli wszystko jasne.

– Nie było możliwości, żeby zmanipulować te nagrania?

– No co ty?!

– Inne wnioski? – kontynuował pytania Łukasz.

– Klamka nie jest rejestrowana – ciągnął Marek. – Tamara nie miała pozwolenia. Jednak na broni były tylko jej odciski. Wziąłem z jej kwadratu torebkę, która wisiała na haku przed wyjściem. I proszę... – mówiąc, grzebał w czarno-czerwonej torebce przed sobą i okazywał poszczególne przedmioty: – Portfel, a w nim czterysta złotych w gotówce, nominały

dwieście i dwa razy sto złotych. Karta płatnicza, dokumenty i tym podobne. Perfumy, ładnie pachnące. – Marek dał je Łukaszowi. Podkomisarz powąchał. Bardzo ładnie pachniały, intensywnie, z pazurem, ale z wyczuwalną subtelnością oraz takim zapachowym polotem. – Szminka i inne babskie kosmetyki do makijażu – mówił dalej Marek, wciąż okazując rzeczy. Maradona z Jaśniakiem równie uważnie przyglądali się przedmiotom. – Chusteczki higieniczne, pudełko tabletek przeciwbólowych, jedna zażyta, naprawiona bransoletka z kwitem od jubilera i paczka mentolowych fajek, dwa pety wykurzone. Byłeś w jej mieszkaniu, więc zapewne zauważyłeś – Marek zwrócił się bezpośrednio do Łukasza – nie było tam żadnych petów, zapalniczki, popielniczki.

– Czyli nagle kupiła szlugi, takie coś często robi się pod wpływem silnych emocji – to Łukasz. – To może być prawda, skoro nie wyciągnęła z torebki odebranej z naprawy bransoletki... Tę torebkę miała na sobie w sobotę?

– Obraz był czarno-biały, ale chyba tak.

– Jaśniak? – Teraz Łukasz zażądał wyników pracy innego kolegi z roboty.

– W pececie nic osobistego – odparł Jaśniak. – Bilingi wykazują, że łączyła się prawie tylko z telefonem leżącym w jej miejscu pracy, tudzież z Niną... Gorzelak. Jest jeszcze jeden numer, z którym odbywała częste rozmowy, namierzam go, to *prepaid*, więc trochę to potrwa. – Jaśniak zrobił minę, jakby to było już wszystko, lecz namyślił się i dodał: – Aaa, kobietka miała dziwną, wręcz niezdrową fascynację służbami specjalnymi. Głęboko grzebała po necie w tym temacie.

– Interesujące – skomentował Łukasz. – Kto zidentyfikuje zwłoki? – zwrócił się do Maćka.

Ten był zadowolony, że w końcu może się odezwać. Albo po prostu wręcz chciał powiedzieć coś ważnego.

– Jej były mąż, Bogusław Cyprzyk, jutro przywiezie go konwój z paki.

– Garuje? – zdziwił się Łukasz.

Jaśniak wyszedł z pokoju, by kontynuować wykonywanie swoich zadań.

– I właśnie tutaj robi się ciekawie. – Maradona wziął akta z parapetu, które przez całą dyskusję spokojnie sobie tam leżały. Łukasz wcześniej myślał, że to jakieś zawieruszone papiery. Pomylił się.

– Dziewiętnaście lat temu Bogusław Cyprzyk zamordował swoją córkę, córkę Tamary Okruch-Cyprzyk, Felicję. – Maciek przekazał akta Łukaszowi. Marek wstał, aby również się im przyjrzeć.

Akta nosiły nazwę *Ojciec-potwór*. Łukasz łąpczywie je przeglądał.

– Teraz już wiemy, dlaczego nie miała w domu nic osobistego... – skomentował Marek.

– Oraz dlaczego przestała pisać – uzupełnił Łukasz.

– Dla mnie wszystko jasne... Zabiła się przez to.

– Tak? Czekala dwadzieścia lat, żeby akurat teraz zabić się, bo dwie dekady temu spotkała ją tragedia? Przecież to nielogiczne. Musiał nastąpić jakiś impuls...

– Moim skromnym zdaniem Nietzsche ma rację – odparł Maradona.

Łukasz zamknął akta.

– Wracamy do punktu wyjścia – zakomenderował. – W jej hawirze znalazłem trochę mety, może dowiemy się, skąd ją brała. Przywieź tu Xi, to jest jej adres. – Dał Markowi kartkę z adresem. – Nikomu go nie udostępniaj – zaznaczył. – Niech wszystko dokładnie opowie, wszystko! Załatwię z Wolnicką tłumacza, jak nie, to ja będę z nią gadał. Maradona, pruj do sąsiadów i wypytuj ich.

Chwila przerwy.

– Dzwoniła do mnie jakaś dziennikarka, Izabela coś tam, pytała o ciebie, nie wiem, jak zdobyła mój numer – rzekł nieoczekiwanie Maradona.

– Pieprz to. Co z Rzeźnikiem?

– Szukamy po tym pierdolonym rysopisie, ale idzie to jak kurwie w deszcz.

– Kurwa mać – dobitnie ocenił Łukasz. – Idę do Wolnickiej.

Zabrał ze sobą akta. Po drodze musiał przyjąć szczerze kondolencje od Garlickiej za stratę koleżanki... Gdyby to była tylko koleżanka, dziękuję, jak będę potrzebował pomocy, na pewno się zjawię. Wolnicka również była łagodna, lecz nie zgodziła się na tłumacza, mało tego, powiedziała, aby sprawę samobójstwa Tamary Okruch natychmiast zakończyć. Samobójstwo to samobójstwo, mówiła, masz pewność. Na nic były argumenty, że to niesłychanie czekać na samobójca dziewiętnaście lat po decydującym zdarzeniu, nieprzydatne okazały się nawet akta zabójstwa Felicji Cyprzyk.

– Samobójstwo jest samobójstwem, koniec kropka – powtórnie

wyrokowała Wolnicka. – Moja posada wisi na włosku. Może umówimy się na kolację?

Oczywistym jest, że się nie umówił. Oczywistym jest również to, że nie odpuścił aktualnego dochodzenia.

Do czasu informacji z prosektorium miał gimnastykować się językowo, rozmawiając z Xi Miu. Z rozmowy wynikało – jak to mawiają Amerykanie – *nothing*. Cała umiejętność poligloty na nic, kiedy rozmówca nie zna tematu interesującego pytającego. Przynajmniej mógł zjeść obiad przed wizytą w syberii.

W korytarzu ZMS-u, oczekując na otwarciu drzwi przez pracownika zakładu w celu otrzymania raportu o śmierci Tamary Okruch, przeglądał akta.

Ojciec-potwór.

Już fotografie wskazywały, że to była bardzo brudna sprawa. Pośród starych płytek z fugami w brzydkim kolorze leżała martwa dziewczyna. Podkurczona, na boku, z jedną ręką blisko twarzy, a drugą nienaturalnie skrzyżowaną. Miała na sobie biały stanik zakrywający niezbyt dojrzałe, ale w miarę duże piersi. Majtki trzymały się na jej kolanach, i to wszystko, co do ubioru. Poza tym dziewczyna była naga. Jej szyję zdobił srebrny medalik, a na palcu wskazującym prawej ręki wisiał ładny, skromny pierścionek. Na jej widocznej części płaskiego brzucha widać było sporą porcję męskiego nasienia. Z widocznej strony głowy, z boku na potylicy, widniała wbita siekiera, która zanurzyła ostrze w jednej trzeciej objętości głowy.

Pozostałe zdjęcia nakierunkowały na myśl, że zabójstwa dokonano w jakiejś publicznej ubikacji – wynikało to również z akt, był to szalet małego miasta. Sprawę zamknięto szybko, bo sperma zabezpieczona na ciele Felicji należała do jej ojca, Bogusława Cyprzyka – mężczyznę znaleziono niedługo po odkryciu zwłok w tym samym mieście, gdzie posiadał dom letniskowy, tam też go odwiedziła policja. Mężczyzna w chwili pierwszego kontaktu z prowadzącymi sprawę miał ponad dwa promile alkoholu w wydychanym powietrzu, nie pamiętał, kiedy cokolwiek się wydarzyło. W toku śledztwa ustalono, że Cyprzyk zabrał córkę ze sobą, aby w tej miejscowości świętowała siedemnaste urodziny. Tamara miała dołączyć do nich wkrótce; małżonkowie byli już wtedy w separacji. Cyprzyk przy okazji załatwiał i nadzorował sprawy zawodowe, bo w tym miasteczku mieściła się jego fabryka kabli. Śledztwo, jak i wyrok oparto na nasieniu znalezionym na

miejscu zbrodni. Sprawą dowodził komisarz Grabczyk, pracujący wtedy w aktualnej komendzie Łukasza. Bogusław Cypryk został skazany na dożywocie.

Z rozmyślań wyrwał go laborant o aparycji klasycznego ćpuna, który zawołał go do sali kostnicy. Autopsję przeprowadził Ptak.

– Przykro mi z powodu Edyty – powiedział rudy patolog. Stał vis-à-vis Łukasza, dzielił ich stół z zakrytymi zwłokami Tamary Okruch. Niegdyś Tamary Okruch-Cypryk. – Przyjmij moje szczere kondolencje, bo skądinąd wiem, że ze sobą kręciliście.

Plotki szybko się roznoszą. Łukasz skinieniem głowy podziękował za słowa otuchy.

Ptak odsłonił twarz Tamary i powiedział:

– Przyczyna śmierci, która w przybliżeniu nastąpiła dnia wczorajszego, pomiędzy południem a osiemnastą – wylew krwi do mózgu. Ołowiana kula o kalibrze dziewięć milimetrów w dwu miejscach przebiła kość czaszki, wylatując z drugiej strony. Zobacz sobie, w jaki sposób rozwalił się ulubiony pokarm zombi.

Łukasz zobaczył.

– Żadnych innych znamion przemocy zastosowanej względem niej. Zabiła się z pistoletu, który znaleźliście obok niej.

Oficer nadal patrzył na ładną twarz pisarki.

– Około pięćdziesięciu pięciu lat. Metr sześćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt jeden kilo. Zbudowana w sposób prawidłowy, skaleczenie na palcu lewej dłoni, blizna spowodowana operacją usunięcia prawej nerki. Narządy wewnętrzne w przyzwoitym stanie, wykryłem nieznacznie zmiany chorobowe w okolicach wątroby, zapewne przez zażywanie leków. Pełne, naturalne uzębienie, kły w stanie bardzo dobrym. Nikt nie penetrował w ciągu ostatniej doby jej pochwy ani odbytu. W żołądku niestrawiony pokarm, ale tobie to w niczym nie pomoże. Tyle.

Łukasz przestał patrzeć na twarz Tamary, dopiero jak ją zakryto.

Kiedy skierował się już do domu, ale był jeszcze w prosektorium, zadzwonił do niego Maradona:

– Jeden patrol namierzył Mehmeta, jest w mieście. Czarni już tam jadą – wysapał.

– Gdzie?

[1] GSR – *gunshot residue* – ślady osmalenia powstałe na ciele i odzieży ofiary wskutek postrzelenia.

Nim ruszył w zabójczo szybką drogę, musiał jeszcze przyjąć jedne kondolencje – od Justyny. Gdybyś chciał pogadać, to śmiało wpadaj. Okej, wpadnę na pewno, jak znudzi mi się ręka.

Na miejsce dotarł, kiedy kominiarze wchodzili do małego bloku na ruchliwej ulicy. Kwadrat, w którym rzekomo ukrywał się Mehmet, był pusty. Drzwi pozostawiono otwarte, czyli jednak ktoś tam niedawno przebywał, a w pośpiechu nie zdążył zamknąć mieszkania. Możliwa droga ucieczki? Ulica, ale to mało prawdopodobne, bo przecież filowali tam ateciaki. Sąsiedzi? Możliwe. No i dach.

Łukasz nakazał antyterrorystom sprawdzać mieszkania sąsiadów, poczynawszy od najniżej położonych. Za to on z Maradoną poszli na dach. Ledwo otworzyli drzwi na szczyt budynku, a w ich stronę posypały się cztery prędkie strzały, więc od razu schowali się z powrotem w murach, pozostając na schodach.

– To koniec, nigdzie nie uciekniesz, chcesz umrzeć?! – krzyknął Łukasz. – Zresztą, w sumie tego ci życzę. – Po tym zdaniu podkomisarz wychylił się zza zasłony, gotowy do strzału.

Ku jego zdziwieniu dach był pusty. Udo zabolalo go tak, jakby ktoś je wiercił na wylot.

To są jakieś jaja, ale Mehmet skoczył w stronę sąsiedniego budynku i zaczepił się tamtejszej drabiny – mimo że odległość pomiędzy nimi nie była spora, to i tak bez względu na to niejedyn kaskader wzbraniałby się przed wykonaniem takiego skoku, nawet mając porządne zabezpieczenia. Łukasz z Mackiem totalnie ogłupieli, widząc, jak Mirosław Śliwa spokojnie schodzi sobie po drabinie.

Łukasz nie zamierzał skakać za Mehmetem, bo uznał, że jeszcze by tylko się połamał, co byłoby doszczętnie absurdalne. Po chwili błyskawicznie ruszyli z Maradoną na dół, Maciek po drodze przez radio

poinformował o wszystkim oddział specjalny.

Bieg za uciekinierem był dla Łukasza istną drogą krzyżową, lecz przewyciężył ból i pruł dalej. Mehmet nie dał rady ukraść żadnego pojazdu, z bronią w ręku powodował szok i gorączkę u pieszych i zmotoryzowanych. Gangster ani razu nie użył klamki. Za aleją skręcił w lewo, niebawem z pomocą przyszedł mu stary, walący się budynek z czerwonej cegły, duży, bez okien, gdzieniegdzie porośnięty mchem. Jakiś architektoniczny niedobitek, który uchował się w trakcie okresu intensywnego rozwoju budownictwa miejskiego. Teraz pewnie melina dla narkomanów albo bezdomnych. Mehmet wkroczył tam, niedługo później w to miejsce przybyli Łukasz i Maradona, a za nimi czarni. Słońce już dawno schowało się za ciężkimi chmurami.

Na parterze faktycznie mieściła się droga złotych strzałów i ostatnich kresek. Ludzie leżeli na brudnych materacach albo kocach, okryci kurtkami albo tekturą. Mieli zdeformowane twarze pokryte krostami, z trudem odnalazłbyś na ich ciałach miejsca do wklucia igły. Narkomani nawet nie zauważyli, co się dzieje, nie warto było ich pytać o cokolwiek. Poza tym śmierdziało jak w kanałach ściekowych.

Komisarze i jednostka AT skierowali się na drugi poziom budynku, idąc po schodach pełnych puszek, butelek, papierków i tego typu śmieci.

– To nie ma sensu, poddaj się, przynajmniej będziesz żył! – darł się po drodze Maradona.

– Mam zakładnika! – ryknął stłumiony, nienaturalny głos. Dochodził z ich lewej strony.

Po pokonaniu schodów zobaczyli, że piętro budynku przed laty zostało podzielone murem na dwie części. W stronę, skąd doszedł krzyk, ruszyli atacy^[1]. Łukasz poszedł sprawdzić prawą część. Maradona został na, jakkolwiek to brzmi, korytarzu.

Tam, dokąd poszedł Łukasz, kiedyś musiało być wiele pomieszczeń. Teraz widniały tylko spękane ściany bez drzwi czy okien, a kolejne strefy dawnych pokoi były puściutkie. Podkomisarz czujnie, ale bez nadmiernych nerwów, przeglądał poszczególne pomieszczenia. Czarni po drugiej stronie, w związku z podobnym układem tamtej części budynku, również mieli dużo mozolnej pracy. Łukasz nie słyszał jeszcze żadnych odgłosów kotłowania, strzałów etc.

Przystanął przy miejscu, gdzie kiedyś było okazałe okno. Spojrzał na

jadące z daleka auta, wsłuchał się w głos silników. Ciemna droga, bezustannie oświetlana reflektorami przeróżnych pojazdów, jakby oczekiwała, aż w końcu będzie mogła choć na chwilę odpocząć.

Wtedy trzasnął huk. Strzał poszedł zza niego.

Odwrócił się. Zobaczył leżącego na ziemi Mehmeta, z rozwalonym mózgiem. Zastrzelił go Maradona, który wciąż celował bronią, trzęsąc dłońmi. Po chwili zjawili się antyterrorysty i złożyli wyjaśnienia.

Głos z drugiej strony piętra należał do jednego z narkomanów. Przecież oni nigdy nie słyszeli barwy głosu Śliwy. Zagadką pozostało, jak przestępca namówił ćpuna, ale był on solidnie otumaniony po mocnym spidzie, więc może nawet nie trzeba było grozić mu śmiercią. Tak czy owak, sprytne. Czy możliwe do przewidzenia? Pewnie tak, zespół AT mimo wszystko mógł się rozdzielić i spenetrować dla bezpieczeństwa obie części piętra, lecz takie akcje dzieją się szybko. Człowiek reaguje instynktownie, a w tym przypadku instynkt zawiódł. Na szczęście nie wszystkich. Najlepiej wykazał się niedoceniany Maradona.

Koniec końców, uratował Łukaszowi życie, bo Mehmet celował w jego głowę, czyli szanse na wyjście z takiego postrzału były marne. Przy okazji zabił zabójcę Wiśniewskiego i Edyty.

Tylko co oni z tego mają?

^[1] Atek – antyterrorysta.

Laborant o aparycji klasycznego ćpuna otworzył drzwiczki, po czym wysunął z jednej z komór do przechowywania zwłok zakryte do tułowia ciało Tamary Okruch. Na okazanie nieżywej byłej żony czekał Bogusław Cyprzyk, łysiejący, wysoki mężczyzna o masywnej budowie ciała. Łukasz, który stał obok niego, wcześniej nakazał transportującym go policjantom, aby zdjęli więźniowi kajdanki.

– Jest pan gotów? – zapytał skazańca.

– Tak – Cyprzyk miał nonszalancki ton głosu.

Łukasz mignął laborantowi, a ten, nawiasem mówiąc, wyglądający jeszcze gorzej niż zwykle, odsłonił twarz Tamary.

– To jest moja była żona, Tamara Okruch – wręcz wyrecytował Cyprzyk.

Chwilę później oddalili się od miejsca tymczasowego przechowywania denatów poddawanych sekcji zwłok.

– Mogłem okazać panu to ciało za szybą, ale byliście małżeństwem, więc uznałem, że chciałby pan ostatni raz bezpośrednio ją zobaczyć – powiedział Łukasz.

– Nie zamierza mnie pan znieważać od największych szmat? – zdziwił się Cyprzyk.

– To do niczego mi się nie przyda. Chcę zadać kilka pytań. Chce pan wyjść?

– Nie.

– Dobrze. Dlaczego była żona nagle, nieoczekiwanie...

– Nie wiem!

– Daj mi dokończyć – kontynuował Łukasz. – Dlaczego nieoczekiwanie odwiedza cię w pierdlu, dzień przed swoją śmiercią?

– Bezpośredni pan jest – skomentował Bogusław Cyprzyk.

– Taki mam zawód. O czym rozmawialiście?

Cyprzyk wykonał suspensową pauzę, polegającą na efektownym wstrzymaniu słów, zabierając czas tajemniczą mimiką. Potem odparł:

– Tamara nareszcie poznała prawdę. Bałem się, że właśnie tak to się skończy – więzień zerknął na stalową półkę ze zwłokami.

– Jaką prawdę?

– A ja mogłem zrobić to, na co czekałem latami...

– Nie jesteś zbyt wylewny – rzucił Łukasz.

– Do widzenia. – Cyprzyk wyszedł z pomieszczenia, na korytarzu czekali na niego konwojenci, którzy mieli za zadanie zawieść go do jego ostatniego mieszkania w życiu.

W komendzie Łukasz nakazał Maradonie sprawdzić, kto odwiedzał Cyprzyka w pierdlu, z kim mieszkał w celi, i w zasadzie to wszystko o tym mężczyźnie, od początku do teraz. Co było przyczyną samobójstwa Tamary? Łukasz nie chciał odpuścić, stąd – kiedy Jaśniak namierzył telefon, z którym często łączyła się pisarka – natychmiast udał się do właścicielki numeru – Łucji Blanc, którą odwiedził w jej własnym teatrze.

Kobieta ta była wielce ciekawą personą. Aktualnie prowadziła tenże teatr, na deskach którego grano naprawdę dobre spektakle, wystawiała swoje obrazy na niezależnych wernisażach sztuki nowoczesnej, przeważnie w Paryżu, i prowadziła fundację z oddziałem wydawnictwa literackiego dla pisarzy, którzy pragną zaistnieć na rynku. Łucja znała się z Tamarą jeszcze z młodości, ich kontakt urwał się jakiś czas po ślubie pisarki z Cyprzykiem, z racji tego, iż Łucja wyjechała na stałe z mężem, Thierryem Blankiem, reżyserem i amatorem wina. Osiedli w malowniczych okolicach Bordeaux, prowadząc winnicę i oboje się realizując. Blanc tworzył kolejne psychodeliczne filmy o zakamarkach ludzkiej duszy, a Łucja owocnie malowała, zagrała nawet w dwóch produkcjach męża oraz napisała powieść, która jednak została zjechana przez krytyków, którzy nigdy nic nie stworzyli, a wszystko chcą recenzować. Losy Łucji i Tamary splotły się ponownie po tragicznej historii sprzed dziewiętnastu lat. Łucja wróciła wtedy do Polski na kilka miesięcy, sama, ponieważ Thierry realizował zdjęcia do filmu o ludzkiej psychice z perspektywy owcy. Gdy ponownie zawitała do kraju żabojadów, długo nie nacieszyła się mężem, którego wiele lat temu poznała jako młodego filmowca na sztywnym partyjnym bankiecie. Blanc umierał bowiem na raka mózgu. Co prawda trochę trwała walka z nowotworem, lecz dla kogoś, kto wie, że najprawdopodobniej umrze,

i bliskich tej osoby, żaden czas nie jest wystarczający. Dogorywał w niezmiernych cierpieniach, przy czym oczywiście towarzyszyła mu już tylko żona. Dalsza rodzina i wszyscy „przyjaciele” mieli gdzieś trwanie przy ryczącym z bólu biedaku, któremu ciekła ślina z wykrzywionych ust, a penis skurczył się do rozmiarów lilipucich; zajmować się relacjonowaniem długiej z ich spojrzenia agonii nie zamierzali też przedstawiciele mediów. Wszyscy prędko zapomnieli o tym, że ongiś sławny i ceniony reżyser umiera, srając w pieluchy i cofając się do poziomu przedszkolaka. Gdy jesteś na szczycie, wszyscy są z tobą. Gdy upadasz, szczęściem będzie, jak zostanie jedna osoba. Łucja trwała przy mężu do końca. Po jego śmierci wróciła do Polski, nie mogąc na stałe żyć we Francji. Wtedy znów odnowiła i zintensyfikowała przyjaźń z Tamarą.

Na wiadomość o jej śmierci zareagowała bardzo ciężko. Dowiedziała się dopiero od Łukasza, bo przecież żadna sensacyjna gazeta nie była nawet zainteresowana zgonem pisarki, która tworzyła arcydzieła, ale wtedy, gdy aktualne pokolenie dziennikarzy bulwarówek cykało cumelek. Łucja była ładną kobietą, o ostrych, inteligentnych i dostojnych rysach twarzy. Lata jednak robiły swoje, więc jej ciało nie miało już naturalnej giętkości, łagodności, przybrało nieco zbędnego tłuszczu i zwiotczało. Ubrana była, jakby naprawdę uznawała zasadę, iż nie szata zdoła ozdobi człowieka. Rozmawiali przed pustą sceną na wygodnych, dopiero co wymienianych siedzeniach. Łucja odwołała próbę nowej sztuki, którą osobiście nadzorowała. Nikt za wiele w związku z tym nie narzekał, bo ten wtorek był beznadziejnie dekadentcki, mdły, jakby ostatni na świecie. Co głębszy meteopata mógłby się zachlać na śmierć albo powiesić.

– Chciałbym, aby opowiedziała mi pani wszystko od początku, dobrze?
– poprosił Łukasz.

– Przyjaźniłyśmy się z Tamarą od najmłodszych lat. – Łucja nieco się opanowała, każde jej słowo zawierało ciepły, przyjemny ładunek niebywałej wrażliwości. – Wie pan, obie pochodziłyśmy z rodzin inteligenckich, lecz to Tamara była zawsze skromniejsza, pruderyjna, naiwna, co kłóciło się z jej dostrzegalnym dandyzmem. Ponadto, przede wszystkim zawsze była bardzo szczerą i niezwykle dojrzałą, już w wieku, kiedy inne dziewczęta zachowywały się jak dzieci.

Łukasz słuchał wszystkiego z ogromnym zainteresowaniem.

– Przepraszam. – Łucja wysmarkała się, otarła łzę z oka, po czym

ponownie kichnęła i jeszcze raz wspomogła się chusteczką. – Taka miłość to niecodzienna rzecz. Tamara i Bogusław poznali się, kiedy Tamara miała piętnaście lat! Wyobraża pan to sobie? Bogusław był od niej starszy o cztery lata. Był prosty, ale autentyczny, nikogo nie udawał. Robił wielkie podchody do Tamary... Tej kokieterii nie było końca! Nawet nieco jej tego zazdrościłam. – Łucja uśmiechnęła się, lekko, plastycznie, po chwili z klasą i wycuciem wracając do stanu smutku, smutku nieudawanego.

– Proszę mówić dalej, ma pani tak melodyjny głos i lekkość słowa, że mógłbym pani słuchać cały dzień – powiedział uprzejmie Łukasz. Aż sam się zdziwił, że w obliczu tej kobiety nawet jego zupełna aspołeczność ukryła się gdzieś daleko, jakby to powiedziano w baśni fantasy, za siedmioma morzami.

– Ślicznie dziękuję za ten miły komplement. Tak więc... zakochali się w sobie, dwa lata później Tamara była już w ciąży. Wtedy Bogusław zaczynał rozkręcać biznes... Musi pan pojąć, że wtedy jawił się jako pionier w tej dziedzinie. Kto by pomyślał, że można zarabiać fortunę na produkcji kabli?

Ktoś zjawił się w sali, Łucja delikatnie wyprosiła tę osobę.

– Felicja była słodkim dzieciątkiem.

Ta cukierkowatość Łucji jednak trochę już grała mu na nerwach.

– Wyjechałam z mężem do Francji, kilka lat po narodzinach Felicji. Thierry już nie żyje...

– Przykro mi – jak automat rzucił Łukasz.

Łucja minimalnie się wzruszyła, po czym ciągnęła dalej:

– Kiedy wydarzyła się ta okrutna, makabryczna historia, wróciłam do kraju, aby wesprzeć Tamarę. Przez cały czas mojego pobytu za granicą pisałyśmy do siebie listy. To przez nie dowiedziałam się o jej separacji z Bogusławem.

– Słyszałem – rzucił Łukasz. Zaczęła go rypać noga, od stopy po biodro, a nawet brzuch, w miejscach, gdzie otrzymał dwie kule. Czyżby zmiana pogody? Deszcz czy śnieg?

– Bogusław zbyt poddał się budowie imperium, zaniedbywał żonę i córkę, ale z Felicją miał dobry kontakt. Natomiast z Tamarą oddalali się wzajemnie. Wpadła w romans. – Łucja przeszła wzrokiem Łukasza. – Ten mężczyzna, w tamtych czasach był przeciwieństwem Bogusława. Romantyk, żyjący aktualnym dniem.

– Kto to był?

– Nazywał się Jan Wilimowski.

– Może mi pani coś o nim opowiedzieć?

– Proszę mi dać dokończyć. Po tym paskudnym wydarzeniu z Felicją... w pewnym momencie zasiałam wątpliwość w umyśle Tamary, jakoby mordercą swojej rodzonej córki był jej ojciec. Zresztą Bogusław nigdy się nie przyznał, choć nic nie pamiętał z tej nocy. Dlatego dostał dożywocie i nie może się ubiegać o, jakkolwiek to brzmi w związku z wyrokiem, przedterminowe zwolnienie warunkowe. Ja nigdy nie wierzyłam, że on to zrobił. Tamara doszła do siebie i rozpoczęła prywatne śledztwo, ją też to nurtowało. Ale wtedy ograniczyliśmy kontakt, ponieważ spędzałam ostatnie miesiące z mężem... Miał nowotwór mózgu... Przepraszam, już wracam do meritum i kończę. Niedługo po śmierci Felicji nagle znikł Jan. Tamara wyniosła się na to wielkie osiedle, sprzedawszy cały majątek. Nasza znajomość ponownie nabrała wyrazistości, kiedy po śmierci Thierry'ego wróciłam do Polski. Tamara cały wolny czas dochodziła prawdy, wikłając się w szemrane środowiska.

Chciał zapytać jakie, ale nie przerwał opowieści Łucji Blanc.

– Tęskniła za Janem, wzdychała do niego rzewną miłością, a do Bogusława bezustannie pałała nienawiścią. Równocześnie tworzyła nową powieść, jak mówiła – nowe otwarcie. Przyjeżdżała do mnie, gdzie miała swój kącik z maszyną do pisania. Tam postanowiła tworzyć. Miałam być jej opiekunem artystycznym, bo prowadzę wydawnictwo. Powieść była prawie cała napisana... Już dochodzę do sedna. Dochodzenie Tamary dziwnym trafem doprowadziło ją do Wilimowskiego...

Robiło się coraz ciekawiej.

– Tamara odnalazła jego córkę, panią Selmę Landhe, mającą podwójne obywatelstwo, niemieckie oraz państwa Izrael. Selma przyjechała do Polski i miała się spotkać z Tamarą, aby opowiedzieć jej o ojcu, który nigdy nie nazywał się Jan Wilimowski.

– A jak się nazywał?

– Nie mam pojęcia. Lecz Tamara zdążyła mi powiedzieć, że Selma po śmierci ojca zdołała poznać prawdę o nim... Jaka to była prawda, możemy tylko się domyślać.

– Chce pani powiedzieć, że to Wilimowski odpowiada za śmierć Felicji?

– Nie, nie, nie... O, nie, ja tego nie powiedziałam. Faktem jest, że znikąd szybko się zjawiał, po czym równie prędko zniknął z życia Tamary. Około czasu zamordowania Felicji. Prawdy nie poznamy, bo Tamara skąpo dzieliła się nią ze mną. A teraz zabrała ją do grobu.

– Może mi pani jeszcze coś powiedzieć? – zapytał na koniec Łukasz.

– Cyprzyk nie miał głowy do interesów po tym, jak wsadzono go do więzienia. Nim się zorientował, że może coś uratować, Tamara za bezcen sprzedała jego dorobek życiowy. Firma zmieniła nazwę i działa do dziś pod kierownictwem Wojciecha Kamińskiego, zdaje się, syna Jerzego, który tę firmę nabył.

Wyposażony w energetyczny zastrzyk wiedzy Łukasz odwiózł Łucję Blanc do domu pod miastem, gdzie w okolicy mieściły się same posiadłości, w hacjendach, których właściciele posiadali taką ilość pokoi, że w niektórych nawet nigdy nie byli, a z jednego można było się przebiec do drugiego i zmęczyć.

Obejrzał kącik pisarski Tamary, miejsce to roztaczało wokół siebie ciepłą, przyjemną aurę; panował w nim klimat minionych lat. Pod pretekstem śledztwa zabrał archaiczny maszynopis z zamiarem zostania najprawdopodobniej ostatnim czytelnikiem Tamary Okruch.

Później rozporządził poszukiwania Selmy Landhe, sam natomiast ustalił adres komisarza Grabczyka, który kierował sprawą zabójstwa Felicji. Jadąc do niego, dowiedział się, że Selma była zakwaterowana w niedużym hotelu, gdzie obcokrajowcy stanowili rzadkość, a wymeldowała się w poniedziałek wieczorem. Podobno była bardzo zdenerwowana, oddając klucze w recepcji. I pomyśleć, że z samobójstwa byłej pisarki zrodzi się tak pogmatwana sprawa.

Zatrzymał samochód przed zamkniętą, starą bramą. Grabczyk, niewysoki, szczupły mężczyzna o trójkątnej głowie, z siwiejącymi włosami, grabił liście obok podjazdu na swojej posesji. Łukasz wysiadł z auta, podszedł do mniejszej bramki i zapytał:

– Komisarz Grabczyk?

– O co chodzi? – zapytał emerytowany policjant, oparłszy grabie o ogrodzenie.

Łukasz okazał mu szmatę. Grabczyk wytarł dłonie o ciemnozielony polar i otworzył bramkę. Przywitali się, gdy Łukasz wkraczał na posiadłość emeryta. Podkomisarz rozejrzał się po podwórku i zerknął na dom –

budynek był skromny, ale obszerny.

– Chcesz wejść do środka? – spytał Grabczyk.

– Nie – odparł Łukasz. – Nie będę stwarzał kłopotu. Zajmę ci tylko chwilę. Zostańmy tutaj. Jak żyjesz?

Stali niedaleko bramki, ale Grabczyk, zaczynając mówić, ruszył w bok. Łukasz szedł za nim.

– Nudno. Pierdolona, melancholijna stagnacja. Żona, dzieci, wnuki. Jak zachodzi potrzeba, to dorabiam jako cieć. A tak to dom, cisza, spokój. Żadnych trupów.

– Tak jest lepiej – skomentował Łukasz.

Grabczyk przytaknął. Zatrzymali się z bocznej strony ogrodzenia działki, pod średniej wielkości orzechem. Pies, agresywne zwierzę, ostro szczekał z szerokiego kojca. Przy drzwiach do domu drzemała stara, chudziutka suczka.

– Już dawno nie odwiedzał mnie nikt z firmy...

– Brakuje ci tego?

– Czego?

– Fabryki?

– Nie. No mów, o co chodzi.

– Zabójstwo Felicji Cypryk, dziewiętnaście lat temu. – Przeniknął wzorkiem Grabczyka. – Mówi ci to coś?

– Mroczna sprawa – rzucił emeryt.

– Bardzo mroczna.

– Pamiętam. Młoda dziewczyna, jeszcze dziecko. Przyjechaliśmy do tego miasteczka. To była publiczna toaleta, mały budynek przed skwerkiem, nieco oddalony od rynku. Paskudny widok tam zastaliśmy.

– Wiem, widziałem akta – odpowiedział Łukasz. – Pytam o tę sprawę, bo przedwczoraj samobójstwo popełniła matka dziewczyny.

– Ta pisarka?

– Ta sama. Tamara Okruch. Wtedy, gdy ją poznałeś, jeszcze Okruch-Cypryk. Chcę się trochę dowiedzieć o śmierci jej córki. Jak ją zidentyfikowaliście, bo zapisy są niezbyt jasne?

– Kilka metrów dalej, w kontenerze na odzież używaną znaleźliśmy jej ubrania, portmonetkę, a w niej widniała legitymacja szkolna... No, od nitki do kłębka doszliśmy do Cypryka. W tej miejscinie wszyscy go znali, miał tam potężną fabrykę kabli, co dawało zatrudnienie wielu ludziom z okolicy.

Jak wiesz, znaleźliśmy go w jego domku letniskowym, jakieś dwa kilometry od miejsca odkrycia zwłok.

– Był pijany?

– Jak tramwaj. Do tego szpryca^[1] i kwas^[2].

– Na ciele dziewczyny nie zabezpieczono jego odcisków.

– Nie. Wiesz, biegli orzekli, że śmiertelny cios poszedł z tyłu, z zaskoczenia. A rozbierając ją, nie musiał nic zostawić, mógł mieć rękawiczki.

– Nie była zgwałcona, więc po co zostawił na jej ciele spernę? – spytał Łukasz, robiąc grymas bólu z powodu ukłucia uda.

– Odwaliło mu, był nachlany i naćpany. Dlatego pojebaniec spuścił się na nieżywą córkę.

– Z raportów wynika, że Cyprzyk stwierdził, że nigdy nie zażywał. Zaczął chlać wieczorem, następnie urwał się mu film. Felicja wracała z dyskoteki, ale do domku nie wróciła. Typowaliście kogoś innego?

– Nie było takiej potrzeby – stoicko odparł Grabczyk.

– Na pewno? Dlaczego nie spojrzeliście na to z innej strony? W domku letniskowym Cyprzyka nie znaleźliście żadnych dragów. Facet, szanowany biznesmen, zabiera córkę na urodziny z dala od dużego miasta, niedługo ma tam przybyć żona, z którą jest w separacji, prawdopodobnie z winy obojga. Cyprzyk i Tamara Okruch mieli niesnaski małżeńskie, ale rozmawiałem z osobą, która zapewniła mnie, że z córką miał świetny kontakt. Bezproblemowo wychowywał ją siedemnaście lat.

– Do czego zmierzasz? Takie rzeczy się zdarzają, przecież dobrze o tym wiesz... – podkreślił glina w stanie spoczynku.

– Ta zbrodnia nie ma żadnej logiki. Cyprzyk nigdy się nie przyznał, umrze w więzieniu za czyn, którego mimo niepamięci zawsze się wypierał. Jego była żona prowadziła własne śledztwo, które po latach doprowadziło ją do córki faceta, z którym miała romans, który przelał czarę goryczy i był bezpośrednią przyczyną ich rozstania. Ten gość, Jan Wilimowski, znikł po śmierci Felicji. Przepadł. A teraz okazuje się, że był Żydem z niemieckim paszportem.

– Strasznie mieszasz.

– Tamara Okruch dzień przed śmiercią najprawdopodobniej spotkała się z rzekomą córką jej kochanka sprzed lat, Selmą Landhe. Co więcej, kobieta ta nagle znikła wczoraj w niejasnych okolicznościach. Tamara przed

śmiercią odwiedziła znienawidzonego Cyprzyka w pierdłu. Dzień później strzeliła sobie w potylicę.

– To może zapytaj o wszystko Cyprzyka – podsunął pomysł Grabczyk.

– Pytałem, ale to człowiek wypruty z czegokolwiek, zmieniony przez odsiadkę. Powiedział, że... – nagle w umyśle Łukasza rozbłysła możliwa logika tej sprawy – ...że Tamara nareszcie poznała prawdę, a on tym samym mógł zrobić to, na co czekał latami...

– Nie, teraz to już naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. – Grabczyk ruszył z powrotem w stronę bramy wyjściowej. Łukasz poszedł wraz z nim.

– Czy Cyprzyk miał jakieś kontakty z WSI^[3]? – wypalił nagle.

– Co? Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy, ale tak... Kryminalni jeszcze kilka lat wcześniej odkryli, że znał ludzi ze ściśle tajnej komórki likwidacyjnej, tej legendarnej, w skład której wchodziła słynna Pajęczycyca... Babka, twarda sztuka. Słyszałeś o tym?

– Trochę.

– Józef, ojciec Cyprzyka, był szmalcownikiem – w trakcie wojny sprzedawał Niemcom Żydów, za bańkę mleka dla rodziców, bochenek chleba, takie tam.

Zatrzymali się przed mniejszą bramką. Chyba oznaczało to, że Łukasz miał już jechać.

– Jeszcze jedno pytanie – rzucił. – Nie zdziwiło was, że jak Cyprzyk wylądował w pace, to jego firmę przejął Jerzy Kamiński? Z tego, co pamiętam, to był Żyd, jego rodzinę wydał jakiś Polak, a on, jedyny z rodziny, przeżył jako mały chłopiec. Głośna historia, jeszcze głośniejszy był jego romans z tą Pajęczycą...

– Lubisz takie teorie spiskowe? To cię zasmucę. Wewnętrzna zasada firmy Cyprzyka zakładała, że w razie jego niemożności imperium przejmuje żona. Oczywiście nikt nigdy nie brał pod uwagę, że prezes wylądował w kiciu, ale fakt jest taki, że Tamara Okruch-Cyprzyk otrzymała sto procent udziałów i nadzór nad firmą zgodnie z prawem. Ale to była artystka, nie miała głowy do tak przyziemnych spraw jak interesy. Nawet jej się nie dziwiłem, że wszech miar nienawidziła Cyprzyka, to rozumiała. Sprzedała wszystko Kamińskiemu za grosze, ten tylko skorzystał z okazji. O ile wiem, to teraz biznes efektywnie prowadzi i rozwija Kamiński junior. Coś jeszcze? – Pod koniec wyczerpującej odpowiedzi Grabczyk delikatnie zasugerował swoim zachowaniem Łukaszowi, aby spadał.

– Tylko jedno. Pamiętasz jak dojechać do tego miasteczka i gdzie dokładnie był ten kłopot, w którym znaleziono Felicję?

Mróz pokrył drogi, drzewa i domy. Jechał tam w ciemności, przed miasteczkiem musiał się ostro przyglądać, bo mgła zalepiła okolice, chociaż tyle, że w samej miejscowości była nieco wyższa temperatura. Minął opustoszały rynek i brnął dalej wedle instrukcji Grabczyka. Miejski szalet wciąż tam stał, chyba zamknięty i niemodyfikowany od lat, ale nie zburzony. Znajdował się w sporej odległości od dwu bloków, zlokalizowany w kretyńskich współrzędnych. Przed budynkiem widniała rozdeptana ścieżka, rozwidlająca się w trzech kierunkach.

Wysiadł z auta i odpisał Dagmarze na esemesa, aby się nie martwiła, bo jest w pracy, i rozejrzał się wokoło. Jedyne, archaiczne, metalowe drzwi szaletu były zamknięte na kłódkę, dach pokryty wypłowiałym eternitem. Przejrzał kłódkę, wyciągnął latarkę. Trzymając ją w zębach, włamywał się, pokonując solidny zamek.

Wewnątrz istniało jedno pomieszczenie, żadnych podziałów na damską i męską ubikację. Na wprost od wejścia dwa pisuary, dwie kabiny toaletowe, naprzeciwko nich umywalki i kosz. Wszystko nadszarpnięte czasem, zupełnie niezadbane, niszczące. Pewnie nawet woda nie leci z kranu, a kible nieczynne. Przeglądał krok po kroku pomieszczenia, oświetlając sobie mrok nikłymi strugami światła.

Pisuar pierwszy, totalnie zniszczony, drugi w lepszym stanie, brudne, popękane płytki, trup. Podkurczona śliczna dziewczyna o ciemnych włosach i żydowskiej urodzie. W staniku i podwiniętych po kolana majtkach. Z siekierą wbitą w bok głowy. Nieomal w identyczny sposób jak przy zabójstwie Felicji Cypryk. Wróć, ktoś zwyczajnie zrekonstruował tę brudną zbrodnię sprzed dziewiętnastu lat. Impulsywnie przemieszczał błysk z latarki po całym ciele kobiety.

Wkrótce przyjechała tam ekipa, na prośbę Łukasza pofatygowała się również Wolnicka. Ze złością wyniosła swój mięciutki tyłek z drogiego i eleganckiego volvo. Podeszła do Łukasza. Zaprowadził ją, aby spojrzeć na martwe ciało. Technicy rozpoczęli tam pracę, tworząc porządne oświetlenie, niebawem miał się zjawić lekarz ostatniego kontaktu.

– Ohydna sprawa – skomentowała Ilona.

– Chciałem, żebyś to osobiście zobaczyła. Nie znajdę jej zabójców, ale chcę, żebyś przynajmniej odnalazła jej rodzinę, by nie leżała NN^[4]

w kostnicy. To Selma Landhe, obywatelka niemiecka, mająca również izraelski paszport.

– Skąd to wiesz?

– Proszę cię, zrób to.

Ostatnim krokiem Łukasza w tej sprawie nie była nawet wizyta u Bogusława Cyprzyka, lecz niespodziewane odwiedziny siedziby firmy Wojciecha Kamińskiego. Po licznych perturbacjach udało się i doszło do rozmowy. Oficer spotkał się z biznesmenem nad halą produkcji kabli, w dużej mierze zmechanizowaną i zautomatyzowaną. Środa na zewnątrz była brzydka jak ostatnio każdy dzień, zatem pracownicy produkcyjni mieli jakąś tam dodatkową motywację do roboty, wiedząc, że nie tracą nic a nic ze zdrowej pogody. Tu i tam brzmiały odgłosy zorganizowanej, rytmicznej, fizycznej pracy.

Wojciech Kamiński miał zgrabną sylwetkę, zadbane włosy, paznokcie i cerę. Jego ubiór stanowił opływowy frak za kilka albo kilkanaście kafli. Na ręce miał ślubną obrączkę, a na szyi łańcuszek z Matką Boską.

– Przepraszam pana, ale nie miał pan żadnego wniosku z prokuratury, choć oczywiście możemy chwilę porozmawiać. – Kamiński poprawił swoją marynarkę. – Na pewno nie chce pan usiąść w moim biurze?

– Na pewno.

– W takim razie zamieniam się w słuch.

– To prywatna rozmowa – wypalił Łukasz. – Będę bezpośredni, bo nie lubię pieprzyć się w tańcu.

Kamiński osłupiał.

– Twój ojciec zlecił morderstwo niewinnego dziecka.

– Proszę uważać, co pan mówi – zagroził oburzony właściciel firmy.

– Geneza tej zbrodni sięga czasów wojny. Ojciec Bogusława Cyprzyka wydał na śmierć twojego dziadka i jego rodzinę. Jak wiesz, z opresji cudem przeżył tylko twój ojciec.

– Nie mam zamiaru słuchać tych bredni...

– Poczekaj. Jerzy Kamiński na zemstę czekał długo, przy okazji zwietrzył okazję do zdobycia firmy, która teraz pod twoim kierownictwem wchodzi w branżę światłowodów, świetnie się rozwijając... Ceną za to była śmierć niespełna siedemnastoletniej dziewczyny, Felicji Cyprzyk, którą dziewiętnaście lat temu rzekomo zamordował Bogusław Cyprzyk. Moja teoria, poparta silną logiką, opiera się na tym, że zabójstwo zlecił Jerzy

Kamiński, dzięki czemu pogroził Cyprzyka, przejął jego biznes i zemścił się za zbrodnię jego ojca z lat okupacji.

Wojciech Kamiński zacisnął prawą pięść.

– Nie robiłbym tego – spokojnie zalecił Łukasz. – Sądzę, że za zabójstwem Felicji Cyprzyk stał mężczyzna, który wdał się w romans z jej matką, Jan Wilimowski. Był on Żydem z niemieckim obywatelstwem, szpiclem na zasadzie dwurury^[5]. W morderstwie mogła również brać udział kobieta zwana Pajęczycą, oficerka WSI, w której swego czasu zadurzony był twój ojciec. Na ciele dziewczyny znaleziono nasienie jej ojca, ale nie została zgwałcona... Domyśl się, czy ta bezwzględna kobieta nie potrafiłaby, że tak powiem, pobrać spermy z odurzonego mężczyzny?

– Nie wiem, o czym mówisz, człowieku. To są bzdury niepoparte dowodami.

– Tamara Okruch, niegdyś słynna pisarka, kilka dni temu popełniła samobójstwo. To matka Felicji. Poznała prawdę przez córkę Wilimowskiego, która nazywała się Selma Landhe. Mówię *nazywała się*, bo wczoraj znalazłem ją martwą w tym samym miejscu, gdzie dziewiętnaście lat temu leżały zwłoki Felicji Cyprzyk. Zabito ją w identyczny sposób. Dlatego, że przed śmiercią Tamara przekazała w więzieniu tę prawdę byłemu mężowi. Cyprzyk, zmieniony przez lata w celi, nie miał żadnych skrupułów, aby odnowić dawne brudne kontakty, a efektem tego jest kolejna niewinna ofiara, która otarła się o brutalną prawdę. Już dwadzieścia lat temu w pewnych strukturach spekulowano, że zarówno twój ojciec, jak i Cyprzyk mieli kontakty w prawdziwej polskiej mafii, która bez żadnych zawahań podejmowała się czynów niszczących ludzi, fabrykujących dowody i, przede wszystkim, mordowania z zimnym wyrachowaniem. Uważam, że tobie nic nie grozi, Cyprzyk nie ma kasy, a na więcej przysług od znajomych nie może liczyć... Poza tym on chciał ukarać konkretną osobę, która wbiła siekierę w głowę jego córki.

Kamiński wyraźnie pobladł.

– Ale niezidentyfikowany Wilimowski nie żyje, więc za grzech ojca odpowiedziała jego córka... Teraz widzisz, ile niewinnej krwi popłynęło w imię zemsty i przejęcia interesów? Zachłanność niszczy ten świat.

– Jeżeli to prawda, to co mam zrobić? – Kamiński drżał.

– Nie jesteś niczemu winien, lecz to imperium – Łukasz machnął ręką w koło – istnieje dzięki ohydnej zbrodni. Oczywiście jest jeszcze jedna

ofiara, której śmierć była pokłosiem tamtych wydarzeń i katalizatorem ku temu, abym dowiedział się, o co w tym wszystkim chodziło.

Wojciech Kamiński zaostrzył wzrok, Łukasz spojrzął mu prosto w oczy.

– Tamara Okruch, pisarka, która miała dar, straciła życie. Przez śmierć najbliższej osoby. Dwadzieścia lat temu. Później przez prawie dwie dekady wegetowała, przy życiu trzymała ją tylko obsesja poznania tajemnicy morderstwa córki. Prawda okazała się nader okrutna. Przez romans z mordercą Felicji straciła męża, a potem oczywiście córkę. Pałała bezustannym obrzydzeniem do Cypryka. Wilimowski zniknął, a ona wypłakiwała za nim oczy. Kiedy poznała prawdę, wszystko w niej pękło. Nie mogła unieść tego, że przez blisko dwadzieścia lat nienawidziła mężczyzny, którego powinna była kochać, a kochała tego, którego powinna była nienawidzić. Życzę miłego dnia i owocnej przyszłości.

W tę srodę Łukasz w każdej wolnej chwili chłonał maszynopis ostatniej powieści Tamary Okruch, która miała niedługo wyjść na rynek. Mimo że brakowało jej zakończenia, to była najlepsza książką, jaką w życiu czytał.

Arcydzieła trwają wiecznie, nie kończą się nigdy.

[1] Szpryca – narkotyk dozowany strzykawką.

[2] Kwas – kwas lizergowy (LSD).

[3] WSI – Wojskowe Służby Informacyjne.

[4] NN – nazwisko nieznane – osoba niezidentyfikowana.

[5] Dwurura – działanie dla dwóch państw lub organizacji.

Dać się złapać? A może po prostu przekazać im swoją tożsamość? Rozmyślał, patrząc i rozmawiając z tą istną piękną, bliską koleżanką Lidią Brożek. Konwersował z nią w tym cholernie dziwnym klubie. Cholernie innym. Był zupełnie pewny siebie, dziewczyna stwierdziła, że w życiu nie spotkała się z czymś takim w stosunku do niej. Po pół godziny rozmawiali już z dystansem, żartując, by po chwili przejść do poważnych tematów. Dialog był płynny, swobodny i wartościowy. Skurczybyk był w tym dobry. Wróc, był najlepszy. Jeszcze tego dnia opowiedziała mu o pewnym przykrym incydencie sprzed lat, którego skutkiem było niedawne leczenie choroby wenerycznej, o której długo nie wiedziała, oraz o śmierci bliskiej jej osoby. Słuchał jej uważnie, analizował, filtrując ważne informacje, po czym bezproblemowo odpowiadał.

Kolejny raz spotkali się u niego, w niedzielę. Miał zwykłe mieszkanie na mikroosiedlu, wcale nie tak daleko od centrum miasta. Wtedy opowiedziała mu już całą swoją historię, o tym jak trafiła do Polski. Pierwszy raz w życiu czuła, że mężczyzna naprawdę jej słucha, rozumie ją i zależy mu na niej. Wiedziała, nie miała złudzeń, że po części chce się dostać do jej majątek, ale zarazem w dużej mierze była pewna, iż interesuje go jej dusza. Poza tym, umówmy się, gdyby ją wezwał na seks, galopowałyby do niego jak ułański koń, po drodze zdejmując jeszcze te majtki. Taki był słodki, autentyczny, męski. Do tego czuły i wrażliwy... Idealny? Chyba tak, skoro już na tak wczesnym etapie relacji wparowała mu do mieszkania.

Następnym razem, u niej, nie wytrzymała, w końcu zaczęła się do niego dobierać. Nigdy przedtem jej to się nie zdarzyło, była przecież nieziemsko ładna, inteligentna, i miała pełną tego świadomość. Opanowała się po chwili i powiedziała, że może go jeszcze zarazić, nie chce tego zrobić, nie wybaczyłaby sobie, gdyby tak się stało.

– Jovano – odpowiedział – zdecydowanie nie chodzi mi o seks. Chyba cię kocham.

Serbsko-polski Boże jedyny, co za szaleństwo. Nie odpowiedziała, lecz z ogromną pieczołowitością w kwestii bezpieczeństwa zrobiła mu bezapelacyjnie kosmiczną laskę. Odwdzieczył się, równie staranną, bombową minetką.

I to by było na tyle. *Love story* skończyło się, kiedy znikąd wydobył chustkę nasiąkniętą chloroformem i przyłożył ją do jej ust. Po chwili górne i dolne drogi oddechowe Jovany napełniły się substancją, która w końcu trafiła do płuc, i bum. Zasnęła na wpół świadoma.

Obudziła się naga, beznadziejnie skrępowana na wygodnym stołku, miała mocny knebel w ustach.

Stał przed nią. Jakby nie on. Obok niego sennie leżała zgrabna walizeczka.

– Jovano. Zadam ci okropny ból, a potem cię zabiję – powiedział.

Wpadła w panikę, już coraz mniej niedowierzała. Obległ ją pot, bezwolne drżenie. Myślała tylko o tym, by przeżyć.

Uderzył ją pierwszy raz, z całej siły, prawym sierpowym w twarz. Potem lewym analogicznie w drugi bok.

Bolało. Ból był ostry, kumulował się sekundę po uderzeniu, po czym pulsował, aż w końcu złagodniał, bo się do niego przyzwyczaiła. Błagała Boga o życie. Próbując krzyczeć, błagała również jego.

Poprawił sobie czepek i rękawiczki. Uderzył ponownie dwa razy. Potem się rozkręcił. Walił prostą ręką, w sam środek twarzy, aż pękł jej nos. Później skupił się na dolnej części twarzy. Zależało mu na zębach, chciał choć parę wybić. Oczy na razie oszczędzał, miała to widzieć.

Nie mogła się ruszyć, instynktownie odsuwała twarz, nadaremno. Ból zrobił się stały. Czuła, jak pęcznieje jej buzia. Doskonale wyczuwała miejsce złamania nosa, kość wrzynającą się w skórę, braki w uzębieniu. Jednego połknęła, resztę jakimś cudem wypluła przez minimalną szparkę w kneblu, głównie dlatego, że on tak chciał. Jeszcze nie miała przecież umierać, dławiąc się własnymi zębami.

Kiedy zrywał jej włosy, w końcu zapragnęła śmierci. Już nie miała żadnych sił. Zemdlała. Ale cierpienie wciąż istniało. Wtedy zabrał się za oczy. Następnie poprawił buźkę.

Wyglądało to tak, jakby napieprzał bezwładną kukłę.

W taki sposób z anielsko ślicznej twarzy Jovany zrobił się jeden wielki strup krwi.

Ledwo oddychała, czując ostry zapach krwi.

Rozwiązał ją, mimowolnie upadła na podłogę, plecami do niego. Nie mogła się ruszyć. Nie wyjął jej knebla z ust, na wszelki wypadek. Wbił jej dwa sztylety, niemal na środku korpusu z tyłu, ostrza wbiły się po obu stronach kręgosłupa.

Ruszył ją jeszcze jeden nacisk, podwójny, a potem szarpanie, kiedy te ogromne, ostre noże jakby rozdzierały jej plecy. Żadnych iskierek nadziei, czekała już tylko na nieunikniony koniec.

W stworzone sobie luki wcisnął obie dłonie. Objął nimi kręgosłup. Gwałtownie szarpnął, wyrywając go niemal cały. Krew siknęła na ochronną, przezroczystą maskę, jaką nosił... Cóż... Krwawy Rzeźnik.

Jovana umarła. W najczarniejszych wizjach nie spodziewała się takiego końca.

On zaczął sprzątać po sobie.

No, dowiedzcie się, kim jestem – pomyślał. Może was to zdziwić, ale nie musi. Więc jak?

W dniu znalezienia kolejnej prawdopodobnej ofiary Rzeźnika, to jest w środę, tydzień po tym, jak Łukasz odkrył prawdę na temat samobójstwa Tamary Okruch, nie mógł natychmiast po informacji udać się na miejsce zdarzenia, gdyż wspierał Dagmarę w rozprawie sądowej jej dwóch żyjących gwałcicieli – Konara i Cześka. Nie obyło się bez komplikacji, ale koniec końców sąd wydał najwyższy wymiar kary względem byłych już członków rozbitego gangu Bestii – dwadzieścia lat pozbawienia wolności (dwanaście za gwałt ze szczególnym okrucieństwem i osiem za pobicie, którego skutkiem był ciężki uszczerbek zdrowia – nie zakwalifikowano brutalnego czynu jako usiłowanie zabójstwa, gdyż zgodnie z prawdą dowiedziono, że odpowiadałby za to Dentysta, gdyby Łukasz go nie zastrzelił). Bandziorów czekał jeszcze za kilka dni proces w sprawie zabójstwa Darii Idzik, a w niedalekiej przyszłości obszerne w treści, długie i przeciągłe w terminach rozprawy dotyczące strzelaniny, w której zginęło troje policjantów oraz w sprawie działalności gangu Bestii. Pewnym było w takim razie, że te ludzkie ścierwa zgniją w więzieniu.

Dagmara po rozprawie sprawiała wrażenie i czuła się, jakby zdjęła z siebie jakieś brzemie, piętno. Zdecydowanie postanowiła, że ma już dosyć żerowania na koncie bankowym Łukasza, już i tak źle się miała, korzystając z jego pieniędzy, kiedy leżał w szpitalu, szczególnie wtedy, kiedy nie wiadomo było, czy przeżyje. Planowała rozpocząć intensywne poszukiwania jakiegokolwiek pracy. Łukasz odparł jej na to, że to jej suwerenna decyzja, lecz jego zdaniem powinna podjąć się tylko porządnej roboty, a o mieszkanie niech się nie martwi – obiecał przyjaciółce, że kiedy będzie chciała się wyprowadzić, pomoże jej w znalezieniu i opłaceniu nowego lokum.

Gdy odwiózł do domu Dagmarę, natychmiast ruszył pod adres znalezienia nowego trupa. Dzień był mroźny, zapowiadało się na to, że

pierwszy śnieg niedługo oblepi miasto. W drodze zadzwonił do niego lekarz, który obficie zrugął go za nieprzybycie na badania kontrolne. Łukasz oświadczył, że zjawi się tam dnia następnego. O ósmej trzydzieści? Może być. Po rozmowie telefonicznej włączył radio, by sprawdzić, czy media przypadkiem nie trąbią o nowym dziele Przystojniaka. Na szczęście cisza. Usłyszał za to, że Wojciech Kamiński oficjalnie sprzedaje odziedziczoną po ojcu firmę. Łukasz wiedział to już dzień wcześniej, ponieważ Kamiński niespodziewanie połączył się z nim w fabryce i powiedział o porzuceniu interesu naznaczonego niewinną krwią i o wyjeździe z kraju.

– To mnie naprawdę nie interesuje. Do widzenia – odparł Łukasz.

Przyjechał pod małą kamieniczkę, na jej parterze funkcjonowała francuska restauracja, raczej marnej jakości, i apteka. Ludzie zebrali się niedaleko budynku, zdziwieni obecnością policji. Karawan przed głównymi drzwiami mieszkalnymi nie wróżył nic dobrego. Policjanci rozmawiali z pracownikami restauracji i apteki, interesy musiały zostać zamknięte. Przy zielonym oplu stali Maradona i Marek. Maradona opierał się o dach auta, stojąc przed półotwartymi drzwiami. Marek nasłuchiwał policyjnych komunikatów radiowych, oparty o maskę samochodu.

Łukasz przywitał się zgodnie z kolejnością względem niego, najpierw z Markiem, a potem z Maćkiem. Po minięciu Maradony skierował się do kamienicy, ale zdziwił się, że koledzy nie idą, więc przystanął i zapytał:

– Nie idziecie?

Maradona przecząco pokręcił głową i wsiadł do auta. Marek wykonał dezaprobującą, grymasną minę i rzucił:

– Skurwysyn przeszedł sam siebie. Po wszystkim zapukał do sąsiada i powiedział mu, żeby wezwał policję. Dałem mu chwilę na dojście do siebie i zabieram go do komendy w celu zrobienia portretu.

Łukasza niemało to zdziwiło. Poszedł do mieszkania ofiary. Było ono urządzone z gustem, przytulnie i z należyтым porządkiem. W małym salonie z miłym w dotyku, kremowym dywanem i równie jasnymi ścianami pracowali technicy, a grabarze^[1] zapinali worek na położonych na specjalnych noszach zwłokach. Podkomisarz wstrzymał ich, aby przyrzeć się ciału. Kobięce zwłoki leżały brzuchem do spodu, gdyż były pozbawione kręgosłupa. Leżał on zapakowany w specjalnej torbie na dowody. Przez taki a nie inny stan ciała wszystko rozlało się na plecach ofiary, zachowując wszelkie proporcje, jak mleko. Łukasz nie mógł obejrzeć jej twarzy, bo

w zasadzie przez działania mordercy była to czerwona kula, ale ciało i to, co dostrzegł na zmasakrowanej buzi, coś mu mówiło. W oczy rzucał się też brak włosów kobiety, sadystycznie zerwanych z głowy, które również osobno zabezpieczono.

Pozwolił zakryć i wywieźć zwłoki, będące w okropnym, krwawym stanie.

– Macie coś? – zwrócił się do technika, który starannie przeszukiwał pokój.

– Jovana jakaś tam... – Pracownik laboratorium kryminalistycznego sięgnął po jedną z torebek na dowody i podał Łukaszowi dowód osobisty prawdopodobnej ofiary.

Ze zdjęcia tajemniczym wyrazem twarzy ukazywała się tam Jovana, bliska znajoma Lidii Brożek. Serbsko-polska piękność, którą poznał przy okazji sprawy zabójstwa asystentki Justyny Brede.

Wolnicka minęła się w progu z dwoma ubranymi na czarno mężczyznami wynoszącymi trupa. W pokoju nie odezwała się ani słowem, po prostu zaniemówiła, nie mogąc nic wydobyć ze zgrabnych usteczek z sinoczerwoną pomadką.

Jakiś czas później Łukasz siedział w swoim pokoju w firmie. Wraz z Markiem i Maradoną analizowali sytuację.

– To jest on – Marek stuknął w portret pamięciowy sporządzony przez sąsiada Sary Kawki, a potem ogółem okazał drugi portret, niemal identyczny, stworzony z kolei przez sąsiada Jovany. – Gość najpierw wykonał tę podobiznę, a dopiero potem pokazaliśmy mu tę starą. I co? Nieomal identyczna.

– Zapukał do sąsiada, okazał się i kazał wezwać policję – dodał Maradona, trzymając w ręku kubek z kawą. – Powiedział, jak gdyby nigdy nic, że pod tym a tym numerem jest trup i że jest to jego dzieło. Dokładnie tak. Nie wierzę, że zabił ją rano, moim zdaniem dzisiaj postanowił wykonać tę szopkę z sąsiadem i wrócił tam, aby się ujawnić. Widocznie ma z tego sporą frajdę.

– Może spędził całą noc ze zwłokami, no nie wiemy jeszcze, kiedy zginęła. Co chciał nam przez to powiedzieć? – zapytał Łukasz, gapiąc się w białą tablicę, na której widniała obszerna fotogaleria z całej sprawy Przystojniaka.

– Chce pokazać, jaki jest cwany – rzucił Marek.

– Pogrywa z nami – dopowiedział Maciek.

– Albo chce, żebyśmy poznali jego tożsamość, tyle że szukanie po portrecie w bazach idzie słabo, więc musimy mieć do tego jakąś podpowiedź. Albo... chce dać się złapać i poddać ekspiacji.

– Czemu? – zapytał Maradona. Maciek też zrobił niewiedzący wyraz twarzy.

– Przebłaganiu za grzechy, odkupieniu winy, pokucie...

Do pokoju wtargnął Jaśniak.

– Mam coś – powiedział na starcie.

– Podpowiedź? – retorycznie zapytał Maradona.

– Co?

– Nieważne. Mów.

– Ofiara wczoraj wieczorem miała długie połączenie telefoniczne, o osiemnastej dziewiętnaście. Rozmowa trwała szesnaście minut.

– Namierzyłeś numer? – spytał Łukasz.

– Tak. To jest budka telefoniczna. Nie zdobędziemy treści nagrania.

– Gdzie jest ta budka? – to Maradona.

Jaśniak podał komisarzom lokalizację, po czym wyszedł z pokoju.

– Jedźcie tam, rozpytajcie wszystkich w okolicy. Wszystkich! – zakomenderował Łukasz. – Weźcie portret.

– A ty co będziesz w tym czasie robił? – spytał Maradona.

– Jadę do speluny, w której tak jakby pracowała ofiara.

– W sumie to nawet nie mamy stuprocentowej pewności, czy to Jovana. Sąsiedzi twierdzą, że nie miała rodziny, zwrócimy się do Interpolu. Może gdzieś przechowywana jest jej krew z oficjalnymi danymi, posprawdzamy laboratoria i przychodnie.

– Jak coś będziecie mieć, od razu dzwońcie – dodał przed wyjściem Łukasz. – Informujcie o wszystkim Wolnicką.

Dotarł do planowanego miejsca później niż powinien ze względu na korek spowodowany remontem pewnej drogi. Ciągłe kopiać to miasto, ale oczywiście nie mogą tego robić latem, bo nie ma funduszy, ani nocą, bo w nocy Polak śpi. Obok klubu, przed kinem zebrała się grupa dziwadł, którzy, kto wie, może chcieli udać się na wczesny seans, lecz nie za bardzo mieli za co. Łukasz miał szczęście, że w tej niecodziennej budzie, którą ktoś nazwał klubem, trafił na Cezara. Knajpa była zamknięta, ale informator wpuścił policjanta. Ostatni raz Jovanę widział w piątek, długo rozmawiała

z pewnym facetem.

– Skąd to masz?! – zapieklił się Cezar na widok portretu pamięciowego.

– Nikt z was w tej dziurze nie czyta gazet, nie przeglądacie Internetu? To był on?

– Tak. Kurwa, o co chodzi?

– Zachowaj to dla siebie. Jovana nie żyje.

Po standardowym czasie na przyswojenie przykrej wiadomości Cezar szczegółowo opowiedział o piątkowym wieczorze. Twierdził, że pierwszy raz na oczy widział tego faceta, a Jovana świetnie się z nim bawiła. Przyznał też, że ów typ często chodził do baru po drinki. Chciał się pokazać, aby ktoś go z całą pewnością rozpoznał, kiedy wpadną tu gliny. Kolejny element gry.

– Szkoda, że nie macie w tym burdelu kamer – rzucił Łukasz, wyciągając dzwoniący telefon. – Niebawem przyjdą tu ludzie od nas. Nie otwieraj klubu, tylko wezwij wszystkich z personelu, którzy byli tutaj w piątek. – Odebrał komórkę.

Nadeszła pora na następne rewolucyjne wiadomości. Mianowicie w budynku mieszkalnym oddalonym o rzut beretem od budki, z którą w prawdopodobny dzień śmierci łączyła się Jovana, mieszkańcy rozpoznali mężczyznę z portretu pamięciowego. Nic dziwnego, skoro był ich sąsiadem, z tym że w ich oczach wyglądał nieco inaczej. No i nie zachowywał się, jakby był seryjnym zabójcą.

Budynek ten był bezbarwny, niepasujący do okolicy. Mieściło się w nim kilka mieszkań. Dobra lokalizacja, niedaleko jedna z najlepszych w kraju uczelni, świetne połączenie komunikacyjne, blisko centrum, kilka sensownych lokali w pobliżu. Za budynkiem mieściła się kawiarnia z dużym ogrodowym placem z wieloma miejscami do wygodnego siedzenia i picia ulubionej kawy z ciastem. Łukasz dotarł tam przed ekipą, w mieszkaniu, które ich interesowało, przebywali tylko Maradona i Marek.

Kwadrat mieścił się na pierwszym piętrze, już od progu przyjemnie w nim pachniało. Na drzwiach przed wejściem (które po prostu były otwarte, nawet nie trzeba było się włamywać) nie widniało żadne nazwisko, a od ich wewnętrznej strony mieściły się wieszaki na klucze – wszystkie były puste. W przedpokoju nie uświadczylbyś żadnych butów, kurtek, płaszczy czy czapek bądź szalików. Podłoga była perfekcyjnie wyczyszczona, również meble z ogromną atencją zostały pozbawione wszelkiej warstwy kurzu.

Koledzy Łukasza przebywali w salonie, z tanią kanapą i dwoma obrazami z epoki pozytywizmu. Przeglądali pokój centymetr po centymetrze. To mieszkanie w całej swej krasie było najzwyczajniejsze, bez fajerwerków, ale zadbane, miłe. Wszystko wskazywało również na to, że też kompletnie wyczyszczone. Sterylnie wypolerowane kuchnia i łazienka nie dawały nadziei, że znajdzie się tam jakiegokolwiek ślady lokatora tego mieszkania. Żadnych naczyń, sztućców, szczoteczki do zębów, grzebienia, kosmetyków. Łukasz, wcale tego nie szukając, znalazł natomiast pod wanną, przy kratce odpływowej, cztery dowody osobiste.

– Chuj pierdolony! – huknął ze złością, rzucając różowo-szaro-białe blankietki na drewniany stół w głównym pokoju. – My sobie myślimy, że rozwiązujemy jakąś zagadkę, a tak naprawdę wykonujemy po kolei jego rozkazy.

– Co te dowody znaczą? – spytał Maradona, przeglądając dokumenty.

– Nie wiem, ale wyglądają na prawdziwe, znaczy, na solidne fałszywki, bo na każdym jest ta sama mordą – odparł Łukasz. – Wszystkie są zarejestrowane w mieście, z wyjątkiem jednego – widnieje na nim adres jakieś miejscowości, spójrz sobie, nic mi ona nie mówi. Biorę z domu GPS-a i jadę tam. Wy sprawdźcie pozostałych i wszystkich o takich imionach i nazwiskach. Zorientujcie się, czy są już jakieś wieści z ambasady. Po drodze wstąpię do syberii i przyjrzę się oczyszczonej twarzy ofiary. Może się poszczęści i ją rozpoznam...

Maciek odłożył znalezione dokumenty tożsamości.

– Sąsiedzi powiedzieli, że zawsze był miły, uprzejmy – podjął temat podejrzanego Marek. – Przedstawiał się jako... Łukasz. Nazwiska nie znali. Nikt z nich się nie zgłosił do nas, bo szkopał tkwił w tym, że pokazując się im, zmieniał najbardziej rzucające się w oczy elementy. Według nich to z pewnością ten facet z portretu, lecz oglądając go na co dzień, w życiu by nie skojarzyli go, widząc migawkę w telewizji. Dokładnie się przyjrząwszy, na razie dwoje osób powiedziało mi, że to on. Natomiast w wersji sąsiedzkiej zmieniał kolor oczu, czyli zakładał soczewki, nosił okulary, miał dłuższe włosy i większy zarost. A co to za problem? Mieszkał tam od ośmiu, dziewięciu miesięcy. Opowiadał im, że pracuje w jakimś wydawnictwie literackim, sprawdzimy wszystkie, ale sądzę, że to nikły trop. Uważam, że to ściema, nie ryzykowałby tyle, szczególnie gdy jego portret stał się publiczny – tak czy owak, ktoś mógłby się do nas zgłosić. Podobno zarabiał również

przez sieć na wykonywaniu zleceń informatycznych. Pisał programy czy coś w tym stylu. Zbadamy też ten temat. Tutaj nie ma żadnego peceta, tableta czy innego pierdoleta. Listy nie przychodziły pod ten numer, także meldunek musi mieć gdzie indziej. No i wisienka na torcie – w piątek wieczorem, zdaniem sąsiada, odwiedziła go kobieta, uwaga, bardzo ładna. Facet powiedział, że widział go tylko przez ułamek sekundy, ale nie miał okularów i, powiedział po dłuższym namyśle, miał chyba mniejszy zarost.

– Jovana nie czytała gazet ani nie oglądała wiadomości, więc nie widziała portretu – odpowiedział Łukasz. – Mało prawdopodobne, że w ten piątek rozpoznałyby go też podpite i naćpane palanty z tej budy, w której pracowała. Dużo ryzykował, a jeśli teraz miałyby zabijać kolejną ofiarę, moim zdaniem nie bawiłby się w bajerowanie, po prostu napadłby na nią w mieszkaniu.

– Za pomocą fikcyjnej szmaty?

– Dokładnie. Albo w inny banalny sposób.

– Maradona – podkomisarz zwrócił się po chwili do Maćka – musisz poprosić Wolnicką o więcej ludzi, z tego, co mówicie, wynika, że roboty będzie od pyty, chciałem również kogoś wysłać do klubu. W piątek Jovana nie była tam jako obsługa knajpy, tylko prywatnie, spędziła nieco czasu z naszym delikwentem.

– Postaram się, ale niczego nie obiecuję – stwierdził Maradona.

– Panowie – ogólnie rzucił Marek – sukinsyn chce dać się złapać, chyba rzeczywiście ma już dość. Musimy go wytropić.

– Obawiam się, że możemy zablokować się w tym momencie, który on sobie wymarzył – skonkludował Łukasz. Przed zdjęciem rękawiczek raz jeszcze przejrzał dowody osobiste.

Jacek Ripier. Janusz Knychąła. Kamil Kot. Lesław Pękalski.

Pojechał tropem tego ostatniego. Ileż ten typ ma tożsamości? Wśród sąsiadów postanowił być twoim imiennikiem.

Po drodze wstąpił do ZMS-u, gdzie ostatecznie upewnił się, że zamordowaną była Jovana. Wyczyszczona z krwi, zdeformowana od uderzeń głowa bez włosów. Lecz wciąż piękna. Ta, która powiedziała jemu i Edycie, że pasują do siebie. Niedługo potem zginęła Edyta, a teraz Jovana. Łańcuszek śmierci jak w jakiejś czarnej komedii. Tą komedią było życie.

Życie w tej wiosce, do której pojechał, musiało być arcynudne. Dla ludzi w niej mieszkających chyba nie istniał świat zewnętrzny. Jadąc przez

tę wieś, miał dziwne wrażenie, że cofnął się w czasie o dobre pięćdziesiąt lat. Temperatura na zewnątrz wynosiła niewiele ponad zero. Wolnym tempem jechał po wąskich szosach w poszukiwaniu numeru domu, w którym zameldowany był jegomość Lesław Pękalski. To, czy ten dom istniał, mogło warunkować istnienie tego człowieka. Zabawne.

Jest. To była drewniana chata z zaniedbanym podwórkiem, otoczona walącym się ogrodzeniem; niektóre przęsła zerwały się już całkowicie. Ale numer domu widniał obok wyschłego wianuszka wiosennych kwiatów nad drzwiami. Łukasz pukał tam intensywnie, pytając, czy ktoś tam mieszka. Próbował zajrzeć przez okna, ale widok zza szyby zasłaniały ciemne nocne firanki. Wstrzymał się przed wtargnięciem do chaty, wrócił pod samochód, by chwilę wszystko przemyśleć. Zastanawiał się, czy organizować nakaz i wbijać tam dopiero za kilka godzin, czy zrobić to teraz, na własną rękę i nielegalnie.

– O co chodzi?! – z sąsiedniej posesji wydobył się chrapliwy głos.

Łukasz przy drzwiach nieotynkowanego domu z pustaków zauważył ledwo wychyloną zza nich mężczyznę.

– Może pan tutaj podjeść?! – zaproponował, zbliżając się do małego mostku prowadzącego na działkę obok.

– O co chodzi?! – jeszcze głośniejszym głosem powtórzył przezorny mieszkaniec wioski.

– Jestem z policji. – Oficer pokazał służbową legitymację.

Po chwili mężczyzna zbliżył się do mostku, uprzednio zakładając gumki położne obok drzwi wejściowych do swojego domu.

– Aaa – rzucił przeciągle, kiedy stał już naprzeciwko Łukasza – czyli już koniec? – mignął twarzą na drewnianą chatę obok.

– Nie rozumiem.

– To młody Pękalski zmarł.

– W tym domu mieszka Lesław Pękalski?

– Nie, no jego tu nie ma. Jego brat, Michał.

– Jak pan się nazywa? – spytał Łukasz, częstując rozmówcę papierosem.

– Kazimierz Wichura.

Zaistniał niewielki problem z zapaleniem fajek, ze względu na warunki atmosferyczne, ale po chwili Łukasz i Kazimierz Wichura cieszyli się niezdrowym powietrzem za sprawą jaranych papierosów.

– Łukasz Kowalczyk – oficer podał rękę Wichurze. Przeszli tym samym na ty.

– Dlaczego sądziłeś, że ten Michał nie żyje?

– Bo cały czas pije i podobno zażywa te... narkotyki. To już stracony człowiek.

– Nigdy tak nie mów – wręcz rozkazał Łukasz. – Stracony człowiek to jest dopiero bez pulsu w trumnie.

Wichura schylił głowę w lewą stronę, jednocześnie unosząc brwi i spuszcżając usta.

– On jest w tej chacie?

– Pewnie tak. A gdzie ma być?

– Opowiedz mi coś o jego bracie, Lesławie.

– No co... normalny facet. – Wichura czknął z zamkniętymi ustami, przykładając do nich dłoń. – Wyjechał stąd już... będzie piętnaście lat temu, albo i więcej.

– Dlaczego?

– Ja zbyt nie lubię o kimś mówić, kiedy tej osoby nie ma w gronie rozmawiających...

– Rozumiem, ale to jest śmiertelnie poważna sprawa.

– Skoro tak...

Wichura ścisżonym głosem opowiedział Łukaszowi wszystko, co wie. Kiedy Lesław miał dwadzieścia lat, poznał dziewczynę, Hankę, co było dalej, wiadomo. Początek związku, wielkie nadzieje, potem stabilizacja, oświadczyzny, pierwsze zgrzyty, a później zamiast ślubu – rozstanie spowodowane przerwana ciążą Hanki. Poroniła, gdy Lesław uderzył ją w brzuch. Hanka niedługo po tym incydencie powiesiła się, a Lesław nie mógł sobie tego wybaczyć. Od tej pory nieustannie towarzyszyło mu poczucie winy, że odpowiadał za śmierć swojego nienarodzonego dziecka i jego matki, kobiety, która miała zostać jego żoną. Rodzice Lesława, swoją drogą totalni bigoci, po sytuacji z poronieniem ubłagali Hankę, choć ona po stracie miała to kompletnie gdzieś, oraz jej rodzinę, aby nie zgłaszano sprawy – tak też się stało, lekarze myśleli, że kobieta miała nieszczęśliwy wypadek. Nie wiedzieć czemu, Lesław po samobójstwie Hanki stał się mizoginem, niedługo później wyjechał ze wsi, porzucając pracę w pobliskim warsztacie samochodowym, zostawiając młodszego brata i rodziców. Matka z ojcem po kolei umierali, we wczesnym wieku, ale z przyczyn naturalnych,

zapewne z ciężkiej harówki od najmłodszych lat. Michał został sam, starszy brat nie zjawił się na żadnym z pogrzebów. Wichura stwierdził, że ostatni raz Pękalskiego widział wiele lat temu, jego zdaniem mężczyzna nie odwiedzał brata. Nie miał nawet świadomości, jak obecnie wygląda, a skoro nie miał jej najbliższy sąsiad, to z pewnością i cała wieś.

Chcąc nie chcąc, Łukasz musiał wejść do domu rodzinnego Pękalskich. Pożegnał sąsiada, później przekazał wszelkie informacje Wolnickiej. Oczywiście było, że nie czekał na nakaz ani ekipę, tylko wtargnął do chaty, posługując się niezawodnym skórzanym piórniczkiem.

Michał Pękalski żył, lecz jego stan pozostawiał wiele do życzenia. Leżał na podziurawionym materacu, wśród zakurzonych gratów. Wnętrze wyglądało, jakby jego właściciel cierpiał na natrętne zbieractwo. Kubki, radia, półki, naczynia, płyty, czasopisma, kasyety magnetowidowe, rozpieprzona elektronika – to tylko niektóre z elementów w mnogiej ilości, które otaczały Michała. Mężczyzna był nieprzytomny, w zarzyganych ubraniach i obsranych gaciach. Blisko niego widniał stos woreczków foliowych, rurki do wciągania, strzykawki i butelki po alkoholu.

Łukasz próbował doprowadzić go do porządku. Zajęło to sporo czasu, w trakcie którego upłynęło sporo zimnej wody. Oficer przy okazji przejrzał cały drewniany dom. Słowo *pieczara* to mało jak na określenie każdego tamtejszego pomieszczenia. Mieszkanie Łukasza przed pojawieniem się w nim Dagmary w porównaniu z tym było schludnym, zadbanym lokum.

W kuchni, na czarnej od brudu lodówce ktoś położył zadbaną fotografię w ramce. Na zdjęciu był mężczyzna, po bliższym i dłuższym przyjrzeniu można było stwierdzić, że to wczesna wersja człowieka z ich portretu pamięciowego, z młodszymi i delikatniejszymi rysami twarzy. Obok domniemanego Lesława Pękalskiego naturalnie i wesoło uśmiechała się ściskana za ramiona przez niego dziewczyna z prostą, ale ładną twarzą, z długimi, szatynowymi włosami. Para wyglądała na szczęśliwą. Kadr oprócz nich obejmował łąkę w kwiecie wiosny. Łukasz był pewien, że ktoś to zdjęcie położył w kuchni niedawno, gdyż pod ramką było równie dużo kurzu jak na całej górze lodówki.

Od Michała nie dowiedział się nic. Ten mężczyzna, plus minus w wieku Chrystusowym, potrzebował pilnego, drastycznego odwyku. A żeby mógł cokolwiek powiedzieć – co najmniej doby trzeźwienia. Łukasz zastanawiał się, skąd miał pieniądze na towar. Zapewne z zasiłku. A skąd

brał towar? Na pewno z miasta, może spotykał się tam z bratem? Wichura stwierdził, że Lesława nie widział tutaj kopę lat, czyli jeśli rzeczywiście to on jest Przystojniakiem, to wszystko by się zgadzało.

Wraz z głębokim mrokiem na miejscu zjawiała się karetka, ekipa techników i dwóch funkcjonariuszy z nakazem, Maradona i Marek. Trzech oficerów konkludowało dotychczasową wiedzę operacyjną w nagrzanym, nieoznakowanym, policyjnym oplu.

– Powinien przy tym być – Marek rzucił aluzję co do tego, że Michał Pękalski powinien być obecny przy przeszukaniu jego domu. Pił kawę z termosu na tylnym siedzeniu.

– My nie szukamy złodzieja akumulatorów, tylko seryjnego mordercy – natychmiast zareagował Łukasz. – Staramy się uratować komuś życie, bo ludzie z taką osobowością, dopóki mogą, nie przestają zabijać.

– Tylko ten dowód się zgadza – powiedział Maradona. – Lesław Pękalski. Reszta to lipa.

– Szukamy jego śladów w środowisku informatycznym, na podstawie tych danych, jak i imienia Łukasz – dodał Marek. – Te wydawnictwa to ślepy zaułek.

– Ten Cezar zidentyfikował zwłoki – rzekł Maciek. – Nie miał ostatecznej pewności, ale twierdził, że to ona. Nie wiem, czy to przejdzie, może uda się z tą krwią. Co prawda jej DNA zgadza się z porównanymi śladami z mieszkania, ale w świetle prawa to jeszcze nic nie znaczy. Idiotyczne, bo my wiemy, że to Jovana, tylko stan zwłok i jej pochodzenie utrudnia formalności.

– Dajcie sobie z tym spokój. Media trąbią o nim, za chwilę ujawnimy jego personalia, prześlemy to zdjęcie. – Łukasz pokazał leżącą na desce rozdzielczej fotografię w ramce. – Obawiam się, że przed złapaniem zdąży jeszcze kogoś zaatakować, teraz gra już *va banque*.

– Co my teraz możemy zrobić? – zapytał Maciek.

– Znamy jego tożsamość: nazywa się Lesław Pękalski. Mam jego profil: to jest jego dom rodzinny. To pruchło^[2], które zabrał ambulans, jest jego młodszym bratem, Michałem. Trzeba mu dać ochronę, a jak nabierze wigoru, kompletnie, od deski do deski wycisnąć z wszelkiej wiedzy. Na razie wiem tyle: mając dwadzieścia lat, Lesław poznał Hannę Kowal, miejscową dziewczuchę z wysokiej półki. Jego rodzina była uboga, jej też. Związek trwał niecałe dwa lata, zakończył się poronieniem Hanki. Dziecko

zmarło przez tatusia, bo otrzymało kopa przez napompowany brzuch matki. Albo kilka kopów. Nie złożono zawiadomienia, Hanna niebawem powiesiła się. Lesław nie mógł sobie tego wybaczyć, a jednocześnie zaczął odczuwać silną niechęć do kobiet, która mogła się przerodzić w nienawiść, nawet sąsiedzi to dostrzegli. Piętnaście lat temu znikł z radarów, nie zjawił się na pogrzebach rodziców. Michał w taki sposób – okazał spuściznę po państwie Pękalskich – zachował dobytek rodziców. Pękalski Lesław natomiast, wedle naszej hipotezy, uaktywnia się w tym roku jako Przystojniak, najbardziej nieuchwytny, inteligentny i makabryczny seryjny morderca w historii tego kraju. Nie wiem tylko, co znaczy ta długa luka pomiędzy jego zniknięciem a uruchomieniem.

– Czyli to on – podsumował Maradona. – To on popełnił błąd przy Sarze Kawce. Albo zrobił to celowo, bo chciał się ujawnić.

– To w takim razie po co usunął z laboratorium swoje wcześniejsze ślady? – sprytnie zauważył Łukasz.

– Bo wtedy miał inny plan – odparł Marek.

– Może – skwitował Łukasz.

– Co teraz? – Marek spytał po przerwie.

– Trzeba przekopać tę chatę od góry na dół, tak jak jego kwadrat w mieście, łącznie ze zrywaniem podłóg i tak dalej. Gadki szmatki z mieszkańcami. Musimy znaleźć rodzinę Hanny Kowal. Techniczni^[3] muszą przegrzebać w całości wszelkie spisy, zapisane dokumenty, no wszystko, gdzie przez piętnaście lat przewinęło się: *Lesław Pękalski*, ewentualnie dane z tych trzech fałszywek. Może uda się znaleźć jakieś karty pacjenta, pracownika, dowody zakupów, pośrednictwa... dosłownie wszystko, co pozwoli nam w najmniejszym procencie odtworzyć jego życie po tym, jak opuścił tę wioskę. Może nie trafił od razu do nas... To jest prawie niemożliwe do wykonania, ale musimy to zrobić. Nie ucieknie, chyba że zrobi sobie operację plastyczną.

– Angażujemy wszystkich policjantów, z wszystkich komend w mieście...

Gorączkowy wykład Łukasza przerwał telefon. Dzwoniła Wolnicka.

– Właśnie kończymy naradę i bierzemy się do...

– Wracaj do fabryki, natychmiast – mroźnie rzuciła Ilona, przerywając mu.

– Posłuchaj, mamy...

– To polecenie służbowe, jeśli go nie wykonasz, zostaniesz zwolniony dyscyplinarnie.

Rozłączył się. Bez słowa zmienił samochód i ruszył w drogę do miasta. Odjeżdżając, widział, jak koledzy ruszają dupy z ciepłej bryki do roboty.

Myślał, że chodzi o włamanie do rodzinnego domu Pękalskiego i że Wolnicka, której pali się stołek przy ponętym tyłku, zareagowała w tej sytuacji wyjątkowo impulsywnie.

Tak bardzo się pomylił.

Do gabinetu naczelnika wydziału zabójstw wszedł w czasie, kiedy przeważnie jest on już zamknięty, a piastująca w nim urząd kobieta przebywa w swoim domu pod hipotekę. Świeciła się tylko lampka przy biurku, więc Łukasz zapalił główne światło. Szefowa nie odzywała się, stąd on również nie zadawał żadnych pytań.

Popchnęła do przodu czasopismo, które leżało przed nią.

– Zapoznaj się.

Był to najnowszy numer poczytnego tygodnika ogólnotematycznego. Na okładce widniała rozerwana na pół, zamazana w celu nieczytelności, legitymacja policyjna. Napis głosił: *Cała prawda o polskich oficerach policji*. Na dole widniał dopisek mniejszą czcionką: *Na przykładzie podkomisarza Łukasza Kowalczyka*.

– Niedawno to otrzymałam. Ktoś uznał, że jednak powinnam się z tym zapoznać. Czasopismo trafiło w ręce komendanta...

Otworzył gazetę, znalazł duży artykuł. Zaczął czytać.

Długo zastanawiałam się, czy opublikować ten tekst, ze względu na pamiętną strzelaninę sprzed miesiąca, w której ciężko ranny został nasz bohater. Gdy dowiedziałam się, że oficer wyszedł ze szpitala w stanie niezagrażającym życiu, postanowiłam dokończyć i udostępnić ów artykuł. Jeszcze dłużej myślałam nad tym, czy ujawnić tożsamość mężczyzny, w końcu dane oficerów operacyjnych są tajne. Świadomi konsekwencji, zrobiliśmy to w naszym tygodniku. Poznajcie podkomisarza Łukasza Kowalczyka, znanego w swoim miejscu pracy jako Nietzsche.

Pod wprowadzeniem widniała miniatura czarno-białej fotografii autorki, Izabeli Kańskiej. Kobieta miała szczupłą, młodzieńczą twarz. Poniżej znajdował się już tekst właściwy.

Kiedy pierwszy raz zadzwoniłam do pana Kowalczyka, na moje pytanie dotyczące seryjnego zabójcy Przystojniaka oraz inwazyjnych działań

gangsterów w mieście, odpowiedział, cytując: Zadzwoń jeszcze raz, a każę cię wydymać na tygrysie. Dopiero po jakimś czasie dowiedziałam się, że słowo tygrys w więziennej grypszerze znaczy krata więzienna... Zaczniemy jednak od początku. Łukasz Kowalczyk wychował się w domu dziecka...

Przestał czytać. Odłożył magazyn na biurko. Stał bez słowa przed Wolnicką, siedzącą na fotelu.

– Słowo wyjaśnienia? – zapytała.

Chwilę pomyślał, po czym gestem pokazał *nie*.

– Zostajesz zawieszony w funkcji policjanta do wyjaśnienia sprawy.

Oddaj legitymację wraz z odznaką.

Podał jej dokument.

– Kajdanki, służbową broń i zapasowy magazynek.

Oddał policyjne akcesoria.

– Kluczki i dokumenty służbowego samochodu, jeśli masz przy sobie.

Przekazał naczelniczce kluczki i dokumenty volkswagena.

– Oficjalne pismo zostanie ci przekazane w najbliższym możliwym terminie.

Odwrócił się, aby wyjść. Stanął po kroku i zwrócił twarz w jej stronę. Jednak nic nie powiedział. Popatrzył na nią przez chwilę.

I wyszedł.

Co teraz robić? Jeszcze nie czas, jeszcze nie czas. Złap tego skurwysyna.

Wrócił pod swoje mieszkanie. Zatrzymał się przy jakimś kontenerze na śmieci, aby się na nim wyżyć. Wtedy coś strzeliło mu do głowy, pewien pomysł.

W mieszkaniu cichutko zabrał klucze do nubiry. Dagmara drzemała wraz z Majkelem przed cicho chodzącym telewizorem.

Pojechał na miejsce zamieszkania Lesława Pękalskiego alias Łukasza alias wiele, wiele imion i nazwisk. Co chwilę do niego telefonowano, to Maradona, to Marek. Wyłączył aparat.

Zbliżył się do skrytych za garażami kontenerów na odpady. Zaczął w nich grzebać. Prowadził drogę przez smród, pośród tego, co ludzie wywalili, by znaleźć trop Przystojniaka. Nikt o tym nie pomyślał. Taki drobiazg. Taka pierdoła.

Takie drobnostki przeważnie zdradzają seryjnych morderców.

W jednym z worków na kosz kuchenny było sporo rękawiczek,

czepków, ochraniaczy na buty. Do tego nieznanne Łukaszowi substancje chemiczne, w plastikowych buteleczkach, cienkie okulary, peruka i sztuczna broda. W sąsiednim worku, zawiązanym wraz z tamtym, znalazł karty SIM, zmiażdżony dysk twardy, szczoteczkę do zębów, nici dentystyczne, grzebień, trochę sztućców i talerzy. W jeszcze jednym, leżącym niżej, mieściły się ręczniki, ścierki i trochę kosmetyków.

Były tam jeszcze wizytówki. Firm, które z pewnością korzystają z usług informatyków, oraz te pisane ręcznie, przez osoby prywatne. Jedna zwróciła Łukasza uwagę.

Elwira Wrona, pracownica małego, lecz dobrze prosperującego wydawnictwa literackiego.

Włączył telefon. Sprawdził tę kobietę na stronie wydawnictwa. Na oko młoda, włosy ciemnoblonde, ładna, z ujmującymi, ciemnymi oczami. Zajmowała się analizowaniem wysyłanych do wydawnictwa maszynopisów, potencjalnych książek z dziedziny beletrystyki.

Znalazł jej bloga, po czym schował do bagażnika trzy nietypowe siatki ze śmietnika. Błyskawicznie przeglądał wpisy. W jednym natrafił na jej fotografię z przyjaciółmi, przed swoim budynkiem mieszkalnym. Tak przynajmniej głosił opis. Nad drzwiami głównymi można było dostrzec adres.

Obiecałem, że znajdę cię po tropach, jak pies. Resztę załatwiła intuicja.

Teraz pora cię skopać. Oby nie było za późno.

Z prędkością światła dotarł pod budynek, w którym rzekomo mieszkała Elwira Wrona, z jasnożółtą elewacją, dosyć duży, niedaleko przyjemnej galerii handlowej.

Wszystko wskazywało na to, że chyba tej nocy spadnie pierwszy śnieg.

Już miał dzwonić do sąsiadów Wrony i puszczać kit o przesyłkach kurierskich (o tej porze?!), ale drzwi otworzyły się i wyszedł z nich wysoki mężczyzna z kapryśnym małym psem. Łukasz udał, że są sąsiadami, kiwnął głową i rzucił:

– Dobry wieczór.

Trick zadziałał. Wszedł do budynku, jak gdyby nigdy nic. Opanował się, włączył najwyższy poziom trybu chłodnej głowy i szybkiej reakcji. Dotarł pod drzwi z napisem *E. Wrona*.

Nasłuchiwał. Słyszał krok jednej osoby. Rozejrzał się i sprawdził, czy drzwi są otwarte. Były zamknięte. To paranoiczne nastawienie, ale jeśli on

by tam był, a Łukasz zadzwoniłby przed zamkniętymi drzwiami, mogłoby być różnie.

Z zimną krwią, precyzyjnie i powoli, niesamowicie cicho, otworzył zamek za pomocą niezawodnych wytrychów.

Oby tylko nie miała żadnych dodatkowych zasuw, bo trzeba będzie wdepnąć z hukiem.

Pociągnął klamkę od drzwi. Uważnie i delikatnie spróbował je minimalnie uchylić. Uchyliły się. Potem podobnie rozwarł szerzej, by zrobić sobie wystarczającą lukę do wejścia i zajrzeć w głąb mieszkania.

Pusty korytarz, a naprzeciwko, zdawało się, pusty pokój. Pozostałe pomieszczenia po bokach zamknięte.

Za chwilę w obrębie jego wzroku, w pokoju naprzeciw ujawnił się on. Lesław Pękalski. W koszuli z krawatem, w grubej marynarce i pasujących do ubioru spodniach. Z eleganckimi, czarnymi butami. Marynarka i krawat w tym samym kolorze, koszula i spodnie w innym. W prawym ręku trzymał skalpel chirurgiczny.

Łukasz z impetem ruszył w jego stronę. Gdy znalazł się w pokoju, natychmiast schwycił Pękalskiego za nadgarstek ręki, w której trzymał skalpel. Morderca nie zdążył go zranić.

W niewidocznej z korytarza części pomieszczenia leżała Elwira Wrona. W szlafroku, z mokrymi po zażyciu kąpieli włosami, bez widocznych obrażeń. Wyglądała na nieprzytomną, miała zamknięte oczy.

Łukasz szarpnął nadgarstkiem Pękalskiego do tyłu, a potem do siebie, schylając napastnika tak, by mógł mu wymierzyć cios z kolana. Trafił go w brodę, kiedy siła uderzenia wyrwała Pękalskiego z uchwytu, wyszarpał narzędzie z dłoni zabójcy. Skalpel upadł na dywan, oficer wyrzucił go nogą ku oknu, a Pękalskiego bezwładnie dobił do ściany.

Łukasz natychmiast zbliżył się do niego, serwując mu dwa ciosy z pięści w brzuch, po czym poprawkę prawym sierpem w twarz i ból zadany w lewą kończynę, poprzez kopnięcie w łąkotkę. Po tym ciosie Pękalski zgął lewe kolano, zniżając swoją pozycję, więc Łukasz walnął go potężnym lewym sierpowym, co ostatecznie zważyło go na podłogę. W momencie tego ciosu komórka podkomisarza zaczęła znów wibrować.

Leżącego i kwilącego z bólu Pękalskiego, dla profilaktyki, kopnął jeszcze raz w bok pleców. Potem zbliżył się do Elwiry Wrony i sprawdził, czy oddycha, cały czas kontrolując wzrokiem Pękalskiego.

Oddychała. Ustawił ją w pozycji bezpiecznej i uchylił okno.

Wyciągnął kabel z gniazdka, był on złączony z rozgałęziaczem pod telewizorem, dlatego w pewnej długości przerwał go zębami, prawie nie spuszczać oczu z Pękalskiego, do którego potem zbliżył się z naprędce zaimprovizowanymi kajdankami. Przytłumionego Lesława strzelił jeszcze raz w plecy, po czym związał razem jego ręce i nogi, tak że był wygięty jak łuk.

Komórka znów wibrowała. Sprawdził to. Dzwonił Maradona. Odebrał.
– Mam Rzeźnika – rzucił do słuchawki.

Podał adres, zaznaczył, że natychmiastowo potrzebny jest też ambulans. Maradona powiedział, że są w mieście i już tam jadą.

Po zakończeniu połączenia rozejrzał się w koło. Żadnego neseseru albo plecaczka, czyli miał tylko skalpel. Tak jak myśleli: chciał zabić, by znów się z nimi zabawić. Oraz dlatego, że nie mógł się powstrzymać. Jak dostał się do mieszkania?

Wtem zorientował się, że musi przeszukać Pękalskiego, powoli dochodzącego już do siebie. Najpierw znalazł szytą chusteczkę nasiąkniętą chloroformem. Później z marynarki mordercy wypadła policyjna legitymacja ze zdjęciem Pękalskiego.

Na dokumencie było napisane: Łukasz Kowalczyk.

Pękalski się zaśmiał.

– Co to jest?! – Łukasz zapytał go.

– Dobrze wiesz, p(P)rzystojniaku... – odparł Pękalski.

Małe pe czy duże?

[1] Grabarz – mężczyzna pakujący zwłoki do worka.

[2] Pruchło – narkoman, człowiek bliski śmierci.

[3] Techniczny – oficer wydziału techniki operacyjnej.

Pękalskiego zabrała suka, Marek pojechał z nimi. Elwirę Wronę od sąsiadów przejęli funkcjonariusze medyczni z karetki. Łukasz i Maradona stali przed wejściem do budynku.

– W bagażniku mam przedmioty, które mogą należeć do niego – rzucił Łukasz. – Maglujcie i dojeżdżajcie go bez przerwy, jak się przyzna, organizujcie wizje lokalne.

– Zaczniemy od zabójstwa Sary Kawki, bo z niego mamy DNA – zapowiedział Maradona.

– Przekaż Wolnickiej, że wszystko szczegółowo wyjaśnię jej jutro.

– Mamy go. Mamy Przystojniaka.

Łukasz nie podzielał entuzjazmu kolegi. Przekazał mu siatki z kontenerów na odpady i odjechał.

Nie wrócił do domu. Zatrzymał się przy parku. Poszedł w głąb zielonej strefy, która nie była za grosz zielona, tylko szara, błotna, bezsensowna. Usiadł w martwym uboczu, na ławeczce.

Pierwszy śnieg nie spadł.

Tkwiał tam zimną nocą (a może włóczył się po mieście?) i myślał. Ta introspekcja była jednak nie lada zaskakująca.

Po kolei.

To ty jesteś Wampirem z sierocińca. Ty zadałeś piętnastolatce szesnaście ciosów nożem kuchennym w brzuch. A swojego przyjaciela, nie do końca zrównoważonego psychicznie, co potwierdziła jego krótka przyszłość, w to wmanewrowałeś. Nie było żadnej niedoszłej następnej ofiary. Albo inaczej. Nigdy nie było żadnego przyjaciela z bidula, a sprawcy brutalnego zabójstwa dziewczyny nie znaleziono, poskromiłeś swoje chore żądze i przestałeś planować kolejne morderstwa. Nieprawda. To on, twój przyjaciel, zabił tę dziewczynę, a ty go złapałeś i uchroniłeś kolejną ofiarę.

Jak było?

Zamordowałeś Oliwkę i Monikę. Nie zdarzył się żaden wypadek, tylko pozbawiłeś je życia bezbolesnym zastrzykiem przez sen. Chciałeś uchronić je od tego świata, dać im ukojenie. Upozorowałeś, że to robota nieznanego mordercy, a ciebie nie było w domu na czas, nie uratowałeś ich. To jest twoje fikcyjne poczucie winy, o którym wszyscy myśleli. Edycie sprzedałeś bajeczkę o wypadku, wiedziałeś, że z nikim nie będzie na ten temat rozmawiać. Teraz nie żyje i masz już pewność, że kłamstwo nie wyjdzie na jaw. Garlicka nie pocieszała cię, bo dowiedziała się o wypadku, ale o zabójstwie Moniki i Oliwki. Sam wtedy powiedziałeś, że je przepraszasz. A o czym pomyślałeś przy zwłokach Olgi Bonin? Że ktoś pozbawił ją życia, wyzwalając kolejną duszę. Tak jak ty wyzwoliłeś swoją żonę i córeczkę. Nie, to nie jest prawda. Monika z Oliwią zginęły w wypadku, który ty nieszczęśliwie spowodowałeś. Wszyscy o tym wiedzą, Garlicka, ludzie z fabryki. Edycie powiedziałeś prawdę. Kochałeś ją, kochasz ją nadal, tak jak nieżyjącego przyjaciela z sierocińca oraz Monikę i Oliwkę.

A tutaj, co jest prawdą?

Wreszcie: jesteś Przystojniakiem vel Krwawym Rzeźnikiem czy Niewyraźnym, jak wolisz. Najbliżej objawienia ci tego był twór z własnych halucynacji. Wyzwoliłeś w sobie mordercze zapędy, nienawiść do świata i poczucie winy zmieniłeś w sadyzm względem kobiet. Zamordowałeś ich pięć: Olgę Bonin, Katarzynę Szymańską, Martynę Karłowską, Adrianę Maciejewską oraz Lidzię Brożek. Sarę Kawkę i Jovanę zabił twój uczeń, Lesław Pękalski, którego obarczą winą za wszystkie morderstwa. Bo się przyzna do wszystkich i szczegółowo o nich opowie. Ścigałeś sam siebie, a potem swojego ucznia. Znasz miasto, masz swobodny dostęp do monitoringu miejskiego, laboratorium. Często znikales na kilka godzin, zwykle wieczorem, nocą. Martynkę, córeczkę wiceprezydenta, zabiłeś na przykład po tym, jak nocą pijany opuściłeś mieszkanie Edyty, kiedy mogłeś tam zostać z nią. Ale wolałeś spuścić krew z młodej kobiety. Z kolei na przykład Lidzię znałeś pobieżnie, stąd jej mówienie o tym, że słabo go znała oraz iż nosił przy sobie broń. *Et cetera*. Idąc dalej, usunąłeś ślady, które zostawiłeś przy Szymańskiej i Brożek, jeszcze przed strzelaniną. Bo nie byłyby one zgodne z DNA i odciskami Lesława Pękalskiego. Kiedy zauważyła cię Maria Prus, błyskawicznie jej się pozbyłeś po mocnej fazie i zaliczeniu Justyny. Manipulowałeś długim śledztwem. Kroileś, zdzierales skórę i wyciągałeś gałki oczne, zarzynałeś jak świnie, wyciągałeś jelita

i masakrowałeś narządy kobiece, wyrywałeś zęby i wyjmowałeś mózg. Mordowałeś bezlitośnie, precyzyjnie, prawie bez śladów. Na żywca znęcałeś się, aż kobiety umierały. Sam siebie powinieneś był skopać. Nie, to obłudne kłamstwo. Wszystkie kobiety zabił Pękalski, ślady ukradł z laboratorium, bo wtedy miał inny plan. Przy Kawce bardziej powinęła mu się noga, bo każdy popełnia błędy, nie miał też na nią pomysłu, stąd prostacko zmienione *modus operandi* tej zbrodni. Chciał dać się złapać, pragnął, by go powstrzymano. Lecz jego chęć zabijania była silniejsza, dlatego zabijałby dalej. Tak jak zarznął choćby Karłowską, kiedy ty, wstawiony, wróciłeś do mieszkania i bachnąłeś się na łóżko. Tak jak zamęczył na śmierć Lidie Brożek, a jej słowa można łatwo wytłumaczyć (to, że słabo go zna, powiedziała celem mniejszej reprimendy od duchowego przewodnika, a poza tym *słabo* może równie dobrze znaczyć *jedno spotkanie*; natomiast kwestia noszonej broni palnej – skoro Pękalski-Przystojniak potrafił zdobyć fikcyjne dowody osobiste, podróbkę policyjnej szmaty czy te wszystkie narzędzia i substancje pomocne w mordowaniu, to bez problemu zdobyłby też klamkę). Wreszcie: tak, jak zabił pozostałe dziewczyny, bezdyskusyjnie, zabijałby dalej. Ale ty go powstrzymałeś. Bo jesteś doskonałym psem. Lesław Pękalski to człowiek ze specyficzną, patologiczną osobowością. Idealny kłamca, więc jego słowa: *Dobrze wiesz...* to sztuczka, marna sztuczka. Przyzna się do wszystkich morderstw, bo wszystkie popełnił. To on jest Przystojniakiem vel Krwawym Rzeźnikiem. Cholernym geniuszem zła. A szmata z twoim nazwiskiem to celowy zabieg: po prostu dowiedział się, kto prowadzi jego sprawę. Zwyczajnie wybrał twoje imię i nazwisko. Może też być po prostu tak, że złapałeś naśladowcę prawdziwego Przystojniaka, tak jak przypuszczałeś, a ten właściwy wciąż jest na wolności. I albo się wycofa, albo znów uderzy po jakimś czasie. Lub się zabije. Pracujesz w wydziale zabójstw i wszystko ci się pomieszało, ale wiesz, kim jesteś. Nie mordercą, tylko oficerem polskiej policji, zajmującym się szukaniem morderców. Zabijasz tylko w obronie koniecznej. Co prawda jesteś gotów zabić wyjątkowych zwyrodnialców tego świata, ale zawsze się powstrzymujesz. Jak to ktoś kiedyś powiedział: *Świat potrzebuje złych ludzi, żeby chronili go przed jeszcze gorszymi.*

Czyli jak jest?

Teraz pytanie, co mam zrobić? W fabryce czeka cię ciężka przyszłość, jeśli w ogóle jakaś czeka. Ale możesz wyjechać, polecieć na Wyspy

Brytyjskie, by złapać tamtejszych rytualnych morderców, przerwać poezję piekieł. Z drugiej strony chciałeś już skończyć. Odejść z tego świata. Spotkać przyjaciela, Monikę i Oliwię oraz Edytę. Wszystkich, których kochasz. Jeśli jesteś Przystojniakiem, to nie spotkasz ich, trafisz w martwą czeluść dla takich potworów. Jeśli to nieprawda, i tak musisz zasłużyć sobie na raj z bliskimi. Coś zmienić, naprostować, uczynić tyle dobra, aby w odpowiedniej chwili, nie poprzez samobójstwo, tam się znaleźć, kiedy zawołała cię Bóg. Patrząc jeszcze inaczej, to nie jest potrzebne. Już możesz tam trafić. Od razu. Spotkać przyjaciela, Monikę, Oliwię, Edytę.

Co zrobić?

Każda karta ma dwie strony. Albo więcej. Nic nie jest jednoznaczne, pewne, istnieją różne perspektywy. Nie ma *tak i koniec*. Zawsze jest wiele warstw danej sprawy.

A to wszystko jest iluzją.

Łukasz Kowalczyk wrócił do domu z mroźnego ranka. Za wejściem spotkał Dagmarę, która zbierała się do sklepu po świeże bułki.

– Coś się stało? – spytała go.

– Nie.

– Byłeś w pracy?

– Tak.

– Idę do sklepu. Chcesz coś?

– Nie.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Dzisiaj mam rozmowę o pracę w takim sympatycznym butik, niedaleko... Na pewno wszystko w porządku?

– Oczywiście.

Przytulił ją. Później się uśmiechnął. Trochę zaskoczona, ale radosna wyszła z mieszkania.

Łukasz Kowalczyk wszedł do salonu i usiadł na kanapie. Komórka nie wibrowała ani nie dawała dźwięku, bo gdzieś ją zostawił. Niech sobie dzwoni.

Sięgnął po berettę, schowaną pod szklanym stolikiem. Przeładował broń i włożył ją do ust. Nie czuł nic.

Za oknem spadł pierwszy śnieg.

Strzelił?